

JAROSŁAW KACZYŃSKI LAUREATEM NAGRODY BIAŁO-CZERWONYCH RÓŻ PORTALU wPOLITYCE.PL
O ROLI LIDERA PiS W POLSCE PISZE MICHAŁ KARNOWSKI



DODATEK
BOHATEROWIE NIEPODLEGŁEJ

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 39 (304) 2018
24–30 września
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

JONNY DANIELS I JEGO WROGOWIE

MOCNY WYWIAD O KULISACH BRUTALNEJ POLITYCZNEJ ROZGRYWKI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
39
9 772544 269809

O Totalizatorze Sportowym

TOTALIZATOR SPORTOWY

Totalizator Sportowy jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych i zasłużonych polskich spółek. Działa nieprzerwanie od ponad 63 lat. Spółka powstała by gromadzić środki, z których finansowano remonty i budowy obiektów oraz urządzeń sportowych. Później do zadań Totalizatora Sportowego doszło też przekazywanie funduszy na szeroko rozumianą kulturę narodową. Dziś spółka jest jednym z najważniejszych filarów wspierających te dwie dziedziny życia społecznego. Totalizator Sportowy dysponuje siecią ponad 17 000 punktów sprzedaży, które każdego dnia oferują szeroki wachlarz produktów loteryjnych. Nadrzędnym celem spółki jest stały rozwój, poszukiwanie nowych innowacyjnych rozwiązań, które pozwolą wyprzedzać potrzeby rynku i wpływać na rozwój polskiej gospodarki, wpisując się tym samym w Strategię na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Spółka nie tylko dba o rozwój tradycyjnych produktów spod znaku LOTTO, ale rozpoczyna również działalność w zupełnie nowych obszarach biznesowych, takich jak salony gier na automatach poza kasynami gry czy kasyno internetowe.

Totalizator Sportowy jest członkiem najważniejszych międzynarodowych organizacji loteryjnych – World Lottery Association oraz The European State Lotteries and Toto Association.

WORLD LOTTERY ASSOCIATION WLA

THE EUROPEAN LOTTERIES

11,3 MLD ZŁ
przekazane dla Ministerstwa Sportu i Turystyki od 1994 roku

2,1 MLD ZŁ
przekazane dla Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego od 2003 roku

Totalizator Sportowy – właściciel marki

LOTTO

Każda złotówka gracza LOTTO **to 19 groszy dla polskiego sportu i kultury**

Lotto · Multi Multi · Mini Lotto · Ekstra Pensja · Kaskada · Super Szansa · Keno · Zdrapki

www.totalizator.pl

eprasa.pl a83b4f9e6a

SIECI spis treści



36 *Jesteśmy botami*
Konrad Kołodziejski



42 Cafe Równik
Dorota Łosiewicz



51--66 Dodatek historyczny
Bohaterowie Niepodległej (cz. IX)

NA POCZĄTEK

4 POŻEGNANIE KRYSTYNY GRZYBOWSKIEJ
Michał Karnowski

6 PORTAL, KTÓRY ZMIENIŁ BIEG HISTORII
Edyta Hołdyńska

10 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

12 PÓŁHEROSI ZZA KRZAKA
Krzysztof Feusette

16 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Piotr Skwieciński

18 KONIEC ŚWIATA STARTYCH ELIT
Jan Pietrzak

19 Z PERSPEKTYWY LEPSZYCH
Bronisław Wildstein

20 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

21 PAMIĘĆ WYBIÓRCZA
Marta Kaczyńska-Zielińska

22 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY
Dorota Łosiewicz

23 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

24 FELIETONY
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

26 Z JONNYM DANIELSEM
rozmawia Jacek Karnowski

KRAJ

34 WSZYSCY PRZECIW SCHETYNIE
Stanisław Janecki

36 JESTEŚMY BOTAMI
Konrad Kołodziejski

39 W ZIELONEJ STREFIE
Piotr Skwieciński

42 CAFE RÓWNIK
Dorota Łosiewicz

KOŚCIÓŁ

46 AFERA PEDOFILSKA TO AFERA HOMOSEKSUALNA
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

67 PLATYNOWE LWY DLA SKOLIMOWSKIEGO
Jolanta Gajda-Zadworna

69 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

70 „KLER", CZYLI „DROGÓWKA" W KOLORATKACH
Łukasz Adamski

72 HERBERTIADA W ROKU HERBERTA
Milena Kindziuk

74 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

76 POLECA I ODRADZA
Łukasz Adamski

78 Z ARKADIUSZEM GOŁĘBIEWSKIM
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

82 FAŁSZYWE NUTY
Piotr Filipczyk

ŚWIAT

84 BREXIT, CZYLI BŁĄD ZAŁOŻYCIELSKI
rozmowa Aleksandry Rybińskiej

88 PRAWOSŁAWNY ROZŁAM
Jan Rokita

GOSPODARKA

92 Z ADAMEM KWIATKOWSKIM
rozmawia Maciej Wośko

KUCHNIA

102 MOJE SMAKI: DOMINIKA ĆOSIĆ
Jolanta Gajda-Zadworna

103 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 ANNA, ADAM, ALEXIS
Piotr Skwieciński

106 ROMANTYZM CELÓW I…
Wojciech Reszczyński

107 FELIETONY
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 ŁOMOT
Aleksander Nalaskowski

109 „MASA" DLA KAŻDEGO
Wiktor Świetlik

110 MACIEJ KAZIŃSKI – POŻEGNANIE
Jan Pospieszalski

111 FELIETONY
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 DZIENNIKARSKIE KUKIEŁKI
Ryszard Makowski

113 A JESIENIĄ W BIESZCZADACH…
Leszek Długosz

114 PRZESZLIŚMY OBOK PRAWDY?
Andrzej Zybertowicz

22/0918/F

eprasa.pl a83b4f9e6a

Pani Krystyno,
dziękujemy za wszystko

Jeszcze w miniony poniedziałek była z nami na redakcyjnym kolegium. Omawialiśmy nowe wydanie tygodnika „Sieci”, planowaliśmy kolejne, ocenialiśmy sytuację w kraju, raz poważnie, raz żartobliwie. Wszyscy wiedzieli, że pani Krystyna lubi słodycze, nie zabrakło więc ciastek ani dobrej czekolady, tym razem przywiezionych ze Słowacji.

Ale kiedy kończyliśmy pracę nad tym numerem pisma, nadeszła straszna wiadomość: Krystyna Grzybowska nie żyje. Nestorka dziennikarstwa polskiego i wielki autorytet naszej redakcji, życzliwy bliźnim człowiek, nigdy już do nas nie zajrzy, nie podzieli się refleksjami, nie napisze tekstu. Ten, który publikujemy obok, jest ostatni.

Zamknęła się w ten sposób historia wyjątkowego życia. Krystyna Grzybowska urodziła się w Wilnie w 1940 r. Jak opowiadała, zapamiętała dramatyczną ucieczkę rodziny przed niemieckimi, ostrzeliwującymi cywilów samolotami. Pech chciał, że kiedy wszyscy skryli się pod wozem z dobytkiem, o Niej, leżącej pod kocykiem, w panice na chwilę zapomniano. Po wojnie rodzinę spotkał los milionów Polaków z Kresów – przenosiny na Ziemie Odzyskane.

Została dziennikarką. Jak wspominała w rozmowie na tych łamach w 2013 r., coraz trudniej było uprawiać ten zawód z czystym sumieniem. „Pod koniec lat 70. Maciek miał coraz więcej zakazów druku, mnie też wyrzucono z jednej pracy. Byliśmy bez niczego z małym dzieckiem. W końcu ktoś załatwił mi pracę w »Sztandarze Młodych«. Po sierpniu 1980 r. założyliśmy w kilka osób w redakcji koło „Solidarności”. Po wprowadzeniu stanu wojennego zorganizowano tzw. weryfikację. Zapytał mnie wojskowy z tej komisji: »Czy popiera pani wprowadzenie stanu wojennego?«. Odrzekłam krótko: »Oczywiście, że nie«. On na to: »Nie ma dla pani miejsca w prasie polskiej«. Odpowiedziałam: »Nie, w polskiej jest, nie ma w peerelowskiej. To różnica«. Po wyjściu się rozpłakałam. Nie było pracy, nie było nic. A jeszcze mocno nam sugerowano, byśmy dla bezpieczeństwa własnego wyjechali. Musieliśmy emigrować”.

Gdy upadł komunizm, została korespondentką prasy polskiej w Bonn. Potem wraz mężem Maciejem Rybińskim i córką wrócili do kraju. Przez ostatnich kilka lat pani Krystyna była publicystką tygodnika „Sieci”, portalu wPolityce.pl i stałym gościem telewizji wPolsce.pl.



We wstępie do wydanego niedawno, z okazji 50-lecia Jej pracy dziennikarskiej, zbioru tekstów napisałem: „Polacy przywiązani do polskości, Polacy atakowani za wierność dziedzictwu przodków, zawsze mogli i mogą na nią liczyć. Niewiele autorek potrafi jak ona w krótkim tekście wykazać absurdalność tych wszystkich »izmów«, które próbują na zawsze i nieodwracalnie zmienić nasz świat. Nie ma jednak w tych tekstach grama zgorzknienia. Pisze z uśmiechem, żartem i dużą dozą optymizmu. Bo wierzy, jak i my, że szaleństwo nie może wygrać, że ludzie są w gruncie rzeczy dobrzy, że chcą normalności i nie pozwolą na kolejną odsłonę orwellowskiej utopii”.

Zawsze była gotowa płacić za wolność wymaganą cenę. Ostatnio musiała się mierzyć z brutalnym pozwem z jednego z wielkich niemieckich koncernów medialnych, który w odwecie za kilka zdań krytyki chciał doprowadzić Ją do bankructwa i upokorzyć. Ale nawet Jej przez myśl nie przeszło, by się ugiąć.

Nie mogę pominąć w tym krótkim wspomnieniu jeszcze jednej pięknej cechy pani Krystyny.

To Jej oddanie śp. mężowi Maciejowi Rybińskiemu, z którym przez dekady tworzyli wspaniałą, barwną, nieugiętą w walce o prawdę parę dziennikarską. Po śmierci męża pani Krystyna podjęła wraz z córką Aleksandrą Rybińską zadanie organizacji konkursu dla młodych felietonistów – Złota Ryba im. Macieja Rybińskiego. Dziś jest to jedna z najbardziej prestiżowych nagród dziennikarskich i piękny znak pamięci o wielkim felietoniście.

Kiedy już odprowadzimy po raz ostatni naszą wybitną Autorkę, kiedy przeminie żałoba, musimy pomyśleć, jak i Jej nazwisko godnie upamiętnić.

Pani Krystyno, dziękujemy za wszystko, niech Pani spoczywa w spokoju. Olu, jesteśmy z Tobą w tych trudnych chwilach.

W imieniu redakcji
Michał Karnowski

eprasa.pl a83b4f9e6a



Ostatni felieton Krystyny Grzybowskiej

I chcieliby, i się boją

Ta miękka wersja totalitaryzmu – jak nazwał Europę przewodniczący Episkopatu Polski i wiceprzewodniczący Rady Episkopatów Europy abp Stanisław Gądecki – jest coraz bardziej dokuczliwa, cyniczna, namolna i pusta zarówno moralnie, jak i intelektualnie.

Dołączyli do tej pustki politycy i ludzie kultury, żyjący z pluskania się w ciepłej wodzie nihilizmu i czerpiący z niego korzyści finansowe i prestiżowe. Nawet tacy, których nie podejrzewalibyśmy o sprzyjanie miernocie, to znaczy samozwańczym elitom władzy, takim jak Komisja Europejska i jej 55 tys. urzędników inwigilujących społeczeństwa i ich przywódców w krajach UE. Wszyscy oni z Junckerem i Timmermansem włącznie są członkami superbiura porównywalnego do Biura Politycznego KC PZPR czy KC KPZR, organami władzy niewybieralnej, ustanowionej przez grupy wpływów pod przewodnictwem Sorosa i jemu podobnych finansistów.

Politycy nawet najmądrzejsi i najbardziej szanowani w swoich krajach nie mają szans zostać komisarzami UE, jeśli mają nieliberalne, a tym bardziej konserwatywne poglądy. Oni mogą zostać wybrani na europosłów i zabierać głos podczas debat Parlamentu Europejskiego. A jak za bardzo podskoczą, jak to się przydarzyło Ryszardowi Czarneckiemu, to mu odbiorą stanowisko wiceprzewodniczącego parlamentu, stosując niedemokratyczny system głosowania, który nie bierze pod uwagę głosów wstrzymujących się. W ten sam sposób potraktowano rezolucję wzywającą do zastosowania artykułu 7 w stosunku do Węgier.

Prym w tym bezczelnym i łamiącym procedury unijne liczeniu głosów wiedzie przewodniczący PE Antonio Tajani, podający się za gorliwego katolika działacz prawicowej Forza Italia. Tajani od wielu lat działa w Brukseli. A wiara? Tajani wierzy w moc pieniądza i ziemskich przywilejów. Jest takim samym chrześcijaninem jak większość posłów jego frakcji w PE: Europejskiej Partii Ludowej z dodatkiem: Chrześcijańscy Demokraci. Oni się uważają za liberalnych konserwatystów i jako tacy uprawiają miękki totalitaryzm, przepełniony arogancją i pogardą dla nieliberalnych, czyli prawdziwych, chrześcijan. Zwłaszcza dla katolików.

Tajani gra tak, jak mu unijny establishment pozwoli, jest człowiekiem ambitnym i marzyło mu się objęcie funkcji premiera Włoch, lecz Forza Italia przegrała z inną prawicową partią – Ligą Północną – i z Ruchem Pięciu Gwiazd. Tajani może liczyć tylko na posadę w Brukseli albo na europosłowanie, jeśli zostanie wybrany. Do Włoch przyszło jednak nowe, ludzie wybierają świadomie i odpowiedzialnie, a nie bezmyślnie jak poprawne politycznie barany.

Miękki totalitaryzm objawia się w politycznych deklaracjach i medialnych dywagacjach tzw. elit. Widząc głębokie przemiany w świadomości narodów Europy, wywołane m.in. polityką otwartych drzwi dla imigrantów muzułmańskich, zastanawiają się, jakich metod użyć, żeby odebrać wpływy oraz władzę rządom dobrej zmiany w Polsce, na Węgrzech i we Włoszech. Napaść na te kraje zbrojnie? Nic gorszego nie można by wymyślić, bo to by oznaczało koniec UE, integracji, no i koniec napastników. Pozostaje więc ten miękki terroryzm, polegający na nękaniu przeciwników politycznych, opluwaniu ich i odbieraniu godności ludziom prawym. Media liberalne w swoim repertuarze mają Putina, Kim Dzong Una, Erdoğana, Stalina, Hitlera i paru innych bohaterów negatywnych, których ponoć naśladują Kaczyński i Orbán. Okazało się jednak, że ten numer nie przejdzie, bo ludzie doskonale wiedzą, kto jest kim, a internauci nie pozostawiają suchej nitki na bieżących „autorytetach", wyżywając się w internecie na takich jak Merkel, Tusk, Schetyna albo Balcerowicz.

No więc nie siłą, ale codziennym nękaniem niepoprawnych politycznie przywódców, ale i to nie pomaga, bo oni się nie przejmują politycznym acz namolnym bełkotem mainstreamu i robią swoje. Pozostała jeszcze cenzura, czyli ACTA 2, ale to będzie zamach na wolność obywateli, zwłaszcza na ludzi młodych, którzy nie znają życia w niewoli. I to się dla cenzorów źle skończy.

Światem rządzą pieniądz i wielkie korporacje. A te mają na względzie interesy gospodarcze. I nie będą zwalczać Polski w imię ideologii, bo nasz kraj wyrasta na gospodarczą potęgę, z którą opłaca się prowadzić interesy. Muszą się z tym liczyć elity liberalne, zwłaszcza niemieckie, by nie zepsuć współpracy z Polską, bo jak napisała lewicowa „Süddeutsche Zeitung", w grę wchodzą miliardy.

I to by było na tyle w kwestii europejskiego totalitaryzmu. Unijni decydenci chcieliby nam przywalić, ale się boją. Więc marudzą i nudzą człowieka poczciwego, który ma już dość tej politycznej dziecinady.



Fot. Andrzej Wiktor (x4)

Portal, który pomógł zmienić bieg historii

Osiem lat temu z głodu wobec prawdy i buntu wobec kłamstwa powstał portal wPolityce.pl. Uroczysta gala urodzinowa była okazją do wręczenia statuetki Biało-Czerwonych Róż. Laureatem drugiej edycji nagrody został w ubiegłą środę Jarosław Kaczyński, prezes Prawa i Sprawiedliwości

„Umiał dać impuls wielu środowiskom tworzenia wysp, które później złożyły się na archipelag wolności i wywalczyły zmianę. To wzmacnianie narodowej wspólnoty i państwa polskiego" – uzasadnił wybór kolegium redakcyjnego Michał Karnowski, członek zarządu wydawnictwa Fratria skupiającego m.in. takie media jak wPolityce.pl, „Sieci", wPolsce.pl.

W laudacji na cześć laureata podczas gali w Centrum Sztuki Fort Sokolnickiego na warszawskim Żoliborzu przypomniał moment, w którym zrodził się pomysł na stworzenie portalu wPolityce.pl. I historyczne – ale też bolesne – chwile, które nieodwracalnie zmieniły polskie dziennikarstwo.

Pomysł portalu zrodził się kilka dni przed katastrofą smoleńską, ruszył w internecie 17 czerwca 2010 r.

„Portal powstał w momencie, w którym cała wspólnota narodowa wskutek niewyjaśnionej do dziś śmierci narodowej elity stanęła przed najpoważniejszą od dekad próbą. Był znakiem naszego sprzeciwu, naszej moralnej niezgody, intelektualnej złości, był naszą odpowiedzią na narastające poczucie upokorzenia" – dodał Michał Karnowski.

Zdawało się, jak mówił dalej, że gaśnie w Polsce iskra narodowego ducha. Że polityka „ciepłej wody w kranie", a w istocie cynizm, rozkradanie wszystkiego i zwykła nieudolność, infantylizm, przyjęcie pozycji wasala, pogardliwy

eprasa.pl a83b4f9e6a

stosunek do narodowej tożsamości na dekady już nas zdominują.

„I tak w istocie by było, gdyby ten obóz polski i propolski nie został szybko ogarnięty i przygotowany na lata ciężkiej walki. Dokonał tego Jarosław Kaczyński" – uzasadnił Michał Karnowski.

Prezes PiS po odebraniu statuetki i bukietu biało-czerwonych róż z rąk redaktor naczelnej portalu Marzeny Nykiel i Romualda Orła, prezesa wydawnictwa Fratria, zaznaczył, że nie był demiurgiem wszystkiego, co się w Polsce działo. „Po tragedii smoleńskiej doszło do aktywizacji wielu grup społecznych. Wielu ludzi przedtem biernych podjęło aktywność. Wielu ludzi zaczęło być bardziej aktywnych. Były wspaniałe pomysły, jak ten pomysł z portalem. Tylko dzięki temu można było zmienić bieg historii w Polsce, który rzeczywiście wydawał się zdeterminowany przez ogromną przewagę zasobów naszych przeciwników. Ale udało się, a ja byłem tylko skromnym pracownikiem winnicy pańskiej" – powiedział Jarosław Kaczyński.

Na galę, którą prowadzili Agnieszka Ponikiewska i Przemysław Babiarz, przybyli politycy, m.in. marszałek Sejmu Marek Kuchciński, wicemarszałkowie Beata Mazurek i Ryszard Terlecki, a także prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska. Obecnych było wielu dziennikarzy, publicystów, przede wszystkim jednak czytelnicy i sympatycy portalu wPolityce.pl.

Portalu, który istotnie przyczynił się do zmiany na rynku medialnym w Polsce. Portalu, który – jak zaznaczyła Marzena Nykiel – codziennie deklaruje i realizuje swoje hasło: „Pilnujemy Polski".

Jak podkreślił w liście do uczestników gali Stanisław Karczewski, marszałek Senatu, polskie media przeszły drogę od pism zdominowanych przez komunistyczny reżim do pism w wolnej Polsce: „Stało się to dopiero wtedy, gdy w przestrzeni pojawiły się silne media prawicowe, do których niewątpliwie zalicza się portal wPolityce.pl".

„Jesteście jednym z najbardziej opiniotwórczych portali, tworzonym z pasją" – zaznaczył z kolei premier Mateusz Morawiecki w przesłanym liście.

Gala była także okazją do zaprezentowania nowej inicjatywy portalu wPolityce.pl. Niebawem ruszy jego anglojęzyczna wersja – Facts from Poland.

Uroczystość uświetnił koncert zespołu Lombard. Po części oficjalnej goście spotkali się na bankiecie, na który – z okazji 100-lecia Odzyskania Niepodległości – zaprosiła Polsko-Słowiańska Federalna Unia Kredytowa, największa polska instytucja finansowa poza granicami Polski.

Edyta Hołdyńska

Laudacja na cześć laureata Biało-Czerwonych Róż portalu wPolityce.pl *Jarosława Kaczyńskiego* wygłoszona przez Michała Karnowskiego

Z wszystkich mediów, które współtworzymy w naszym środowisku, do portalu wPolityce.pl mamy stosunek najbardziej osobisty, najbardziej emocjonalny. Powstał on bowiem w momencie, gdy cała nasza wspólnota narodowa, wskutek niewyjaśnionej do dziś śmierci naszej państwowej elity, stanęła przed bardzo poważną próbą. Był znakiem naszego sprzeciwu, a można powiedzieć i mocniej: intelektualnej złości, był naszą odpowiedzią na narastające poczucia upokorzenia.

Pamiętam to jak dziś: był 6, może 7 kwietnia 2010 r., gdy wyszedłem z gabinetu śp. prof. Janusza Kurtyki, ówczesnego prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Przy okazji innej rozmowy przedstawiłem mu koncepcję powołania takiego medium, takiego portalu, a on z entuzjazmem zachęcił do działania. Umówiliśmy się na kolejne spotkanie, które miało się odbyć tuż po powrocie polskiej delegacji z Katynia. Niestety nie wrócili żywi. Straciliśmy wielu przyjaciół. I właśnie dla nich ten projekt mimo wszystko uruchomiliśmy.

PARTNER ZŁOTY:
ORLEN
PARTNER STRATEGICZNY:
Bank Pekao
PARTNERZY GŁÓWNI:
TAURON
Bank Polski
PGE Polska Grupa Energetyczna
LOTOS
PZU
Enea
synthos chemical innovations
TOTALIZATOR SPORTOWY
PARTNERZY:
ALIOR BANK
arp
POLREGIO
PGNiG
PKP POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE Spółka Akcyjna
Energa
Poczta Polska

21/0818/F, 22/0818/F, 5/0618/F, 56/0818/F, 57/0818/F, 60/0818/F, 63/0818/F, 7/0918/F, 64/0818/F, 32/0918/F, 23/0918/F, 33/0918/F, 22/0918/F, 34/0918/F, 35/0918/F, 39/0918/F

eprasa.pl a83b4f9e6a



Czarna, straszliwa smoleńska chmura zasnuła nasze niebo. Zdawało się, że gaśnie w Polsce światło narodowego ducha, że owa „ciepła woda w kranie", a w istocie cynizm, rozkradanie wszystkiego, co się da, zwykła nieudolność, infantylizm, przyjęcie pozycji wasala najsilniejszych państw i ośrodków władzy w świecie, pogardliwy stosunek do tożsamości i dziedzictwa 1000-lecia, na dekady już nas zdominują.

I tak w istocie by było, gdyby ten obóz polski i propolski, który został tak nagle osierocony przez śmierć śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, nie został szybko ogarnięty, przeorganizowany i przygotowany na lata ciężkiej walki. Dokonał tego nasz laureat – człowiek, któremu redakcja portalu wPolityce.pl zdecydowała się przyznać statuetkę Biało-Czerwonych Róż; szczególnie ważną dla nas nagrodę, przyznawaną przez kolegium redakcyjne za wzmacnianie narodowej wspólnoty i państwa polskiego – pan premier Jarosław Kaczyński.

Stając w obliczu wielkiej osobistej tragedii, której rozmiar, wybaczą państwo tę osobistą nutę, zrozumieć może tylko ktoś, kto sam ma brata bliźniaka, znalazł w sobie siłę, by podjąć zadanie dalszej walki o szansę naprawy państwa polskiego, gromadzić wokół siebie ludzi, konstruować programy, prowadzić kampanie. Ale umiał też dać impuls wielu środowiskom – naukowym, medialnym, kulturalnym, lokalnym – które podjęły wysiłek samoorganizacji, oddolnej budowy wysp; które połączone stworzyły archipelag polskości i wywalczyły zmianę.

Tamten czas wciąż czeka na swojego kronikarza. Mamy oczywiście wiele wspaniałych książek, filmów, reportaży i tekstów publicystycznych, ale tworzone były na gorąco, z natury rzeczy pozbawione są perspektywy, którą daje czas. Ich autorzy byli w ogniu, bo wszyscy w nim byliśmy. Dobrze oddał to poeta Jarosław Marek Rymkiewicz w wierszu do Jarosława Kaczyńskiego:

Co zrobicie? – pytają nas teraz
przodkowie
I nikt na to pytanie za nas nie odpowie

To co nas podzieliło – to się już nie sklei
Nie można oddać Polski w ręce
jej złodziei
Którzy chcą ją nam ukraść
i odsprzedać światu
[...]
Dokąd idziecie?
Z Polską co się będzie działo?
O to nas teraz pyta to spalone ciało.

Dziś możemy spojrzeć z oddali i spróbować nazwać ten czas. Nie będzie przesadą powiedzenie, że to był kolejny polski zryw, była to kolejna narodowa mobilizacja, wyrastająca z najlepszego ducha prawdziwej „Solidarności" i całego jej dziedzictwa. Oczywiście mobilizacja prowadzona współczesnymi sposobami, na miarę aktualnych wyzwań, ale w istocie taka sama. Oto dziesiątki i setki tysięcy ludzi uznało, że nie można dać się złamać, że trzeba dać z siebie wszystko, że „nie można oddać Polski w ręce jej złodziei", że wszyscy jesteśmy coś winni tym, którzy polegli na nieludzkiej ziemi, wykonując w imieniu Rzeczypospolitej misję uhonorowania ofiar sowieckiej masakry na polskich oficerach.

Ale dobre chęci i miłość ojczyzny to za mało. Ileż to razy narodowa ambicja





i polska krew niweczone były przez złe, słabe, niemądre, zaprzedane za mieszek talarów, przywództwo. I dzisiaj takich polityków nie brakuje: ze dwa rzędy w tej sali wypełniliby ci byli posłowie, premierzy, którzy porzucili swoich wyborców i obóz naprawy Rzeczypospolitej. Lub ci, którzy po prostu nie wytrzymali tej potężnej presji.

Obóz polskiej prawicy, choć to mylna nazwa, bo kryterium podstawowym przynależności do niego jest stosunek do Polski i polskości, a nie politologiczne i ideologiczne definicje, miał tym razem szczęście. Twarde, jednoznaczne przywództwo, organizacyjna sprawność połączone z intelektualnym wizjonerstwem pozwoliły przetrzymać najtrudniejszy czas. A potem przejść do ofensywy. Szansa nie została stracona, wysiłek nie został zmarnowany, a nawet odwrotnie: został pomnożony. Stąd, pozwolą państwo na gorzką uwagę, mam wrażenie, że chwilami ten obóz nie docenia przełomu, który stał się jego udziałem, nie rozumie, iż jego niewielkie na tle przeciwnika zasoby zostały wykorzystane perfekcyjnie, i nie chce pamiętać, że niesie to zobowiązanie dyscypliny, pokory, ciężkiej pracy, także nad sobą. Niesie też wymóg szanowania jego konstrukcji oraz – pozwolę sobie na takie stwierdzenie – rozstrzygającego autorytetu naszego laureata. Wszak bez niego wielu byłoby jak ślepe kocięta.

To, czego dziś w Polsce jesteśmy świadkami, ta widoczna w tak wielu miejscach ambitna próba podniesienia naszego życia państwowego, społecznego i gospodarczego na wyższy poziom, dogonienia Zachodu, tam, gdzie warto, ominięcia pułapek, w które tam wpadnięto, wcale nie jest oczywista. To nie musiało się tak potoczyć. Można sobie wyobrazić, że walec rzekomo nieuchronnej reedukacji przetacza się właśnie po nas.

Co było czynnikiem, który to zatrzymał? Postawię tezę, że uparte trwanie przy wymogu patriotyzmu w odniesieniu do polskiej polityki. Odrzucenie tezy, że liczy się efekt wow; że jeśli tylko sprawnie piarowsko będą wywozić ostatni kamień z Polski, to musimy zaklaskać, bo tak jest nowocześnie.

Wymóg patriotyzmu zakłada takie stawianie spraw, w którym – odczytywany w bieżącym kontekście – interes naszej polskiej wspólnoty zawsze stoi na pierwszym miejscu. Padły takie słowa w jednym z wywiadów pana prezesa dla tygodnika „Sieci" o tym, że musi istnieć grupa osób bezinteresownie służących państwu, że bez takiej elity nie da się przełamać oligarchicznych i zewnętrznych powiązań.

Dekadę wcześniej śp. Lech Kaczyński ujął to tak: „Polityki nie powinni uprawiać ci, którzy ponad interes Rzeczypospolitej stawiają swoje grupowe interesy, swoje ambicje lub swoje urazy. Oni mogą się zajmować różnymi sprawami, ale nie polityką, nie rządzeniem naszym krajem. Polska wymaga patriotów, ludzi, którzy chcą jej służyć, którzy służbę jej przedkładają nad inne służby, służbę materialnemu powodzeniu czy osobistej karierze".

W tym kontekście warto przywołać także słowa Bronisława Wildsteina, ubiegłorocznego laureata Biało-Czerwonych Róż: „Instytucje państwa są sprawą ważną, ale nie wolno ich fetyszyzować. Najlepiej zaprojektowane mogą zostać zepsute przez grupę, która przejmie nad nimi kontrolę. Wymiar sprawiedliwości jest tego doskonałym przykładem. I to nie tylko w Polsce".

Tak, wiemy, że krajach Europy Środkowo-Wschodniej, które usiłują wyjść z komunizmu, egoizm lokalnych establishmentów, uwłaszczonych na tubylcach, za to ze światłym mandatem europejskim na sztandarze, może być doświadczeniem traumatycznym, może nieść nieodwracalne szkody społeczne, kulturowe, demograficzne. Przeciwstawienie się temu prądowi naraża na przemysł pogardy, wymaga mądrości i odwagi.

I te Biało-Czerwone Róże są naszym podziękowaniem za to, że pan premier Kaczyński to wytrzymał. A także za to, że przez całe lata 90., odrzucając próby kooptacji do systemu III RP, budował pan intelektualne i organizacyjne tkanki, które w odpowiedniej chwili, dzięki sukcesowi śp. Lecha Kaczyńskiego jako ministra sprawiedliwości w 2001 r., pozwoliły uruchomić nowy projekt polityczny. Tamten wcześniejszy dorobek został przez pana premiera opisany w książce „Porozumienie przeciw monowładzy. Z dziejów PC". I bardzo państwu ją polecam, bo trudno bez niej zrozumieć historię najnowszą.

Uważamy, że wspomniany tu już wymóg patriotyzmu musimy przykładać także do tworzenia mediów. Jest kłamstwem i szaleństwem wmawianie Polakom, że medialna aktywność nie ma narodowości, że ten kapitał nie ma barwy, a polscy dziennikarze nie mają polskich obowiązków. Tak mogą mówić tylko ludzie, którzy nie znają świata albo świadomie chcą, by założone przez Niemców dla Polaków gazety, portale i inne agendy, trwale i w całości przejęły polskie umysły, ułożyły nam świat po berlińsku czy też po berlińsko-moskiewsku, bo to się ostatnio łączy, także wielkimi rurami z gazem.

Oczywiście uprawianie polityki zawsze będzie się różnić od uprawiania dziennikarstwa i publicystyki, nawet na tym samym gruncie miłości do Polski i całego naszego dziedzictwa. Media, by były prawdziwe, wolne, żywe, muszą być niezależne. I taki był, jest i pozostanie portal wPolityce.pl. Ale też pamiętamy, że możliwe to jest w świecie, w którym dzięki tegorocznemu laureatowi nagrody Biało-Czerwonych Róż portalu wPolityce.pl fundamenty wolności i niepodległości zostały obronione i wzmocnione.

eprasa.pl a83b4f9e6a



Sygnalista nadaje

Czy te sondaże są jednak rzeczywiście aż tak dobre, jak być mogą? Bardzo ważny polityk PiS argumentuje tak: z badań szczegółowych, tematycznych, wynika, że wyborcy PiS i PO zgadzają się w jednym: nasz program jest najlepszy. Gdyby nie ciągła awantura, gdyby nie histeria i wrzask, mielibyśmy poparcie jak CSU za najlepszych lat, a więc sięgające 60 proc. Popularna teza, że totalność opozycji szkodzi, jest więc tylko w połowie prawdziwa: uniemożliwia PO i Nowoczesnej marsz do przodu, ale i zapobiega zsunięciu się jeszcze niżej.

Sondaże ciągną ciężko harujący: premier ***Morawiecki*** i kandydat Jaki, więc strategia opozycji jest dziś prosta – skoncentrować na nich ogień, podważać wiarygodność. W Warszawie sztab Trzaskowskiego świadomie ogranicza aktywność kandydata PO, bo nie chce, by produkował on kolejne wpadki; cała energia idzie w produkowanie i kolportowanie coraz bardziej chamskich fejków. W przypadku premiera chodzi o podważenie jego wiarygodności jako sprawnego menedżera. Stąd duża akcja pt. „Morawiecki kłamie". Opozycja bijąca się o prawdę to pocieszny widok.

Premiera ostro atakują także w terenie. Nową taktykę zaprezentowano w Sochaczewie: dobrze przygotowani kodziarze wmieszali się w tłum. Prowokowali przepychanki, popychali nawet SOP-owców, czyli dawny BOR. Stanęli dwa metry od premiera i krzyczeli mu prosto w twarz. Poza tym kilka transparentów blisko sceny tak ustawionych, by łapały je kamery. A gdy premier ruszył porozmawiać z ludźmi, także zaczepki: jeden agresywnie zaga-

Sondaże dla PiS dobijają do rekordowego poziomu z przełomu roku. Według Kantar Public na PiS chce głosować 42 proc. badanych, a na PO – ledwie 20 proc., czyli o 6 punktów mniej niż w poprzednim badaniu. Jest tak dobrze, że niektórzy pytają: czy aby nie za wcześnie? Do wyborów jeszcze kilka tygodni i fala poparcia może nieco opaść. Z drugiej strony czy opozycja w obecnej formie – skłócona i niekreatywna – jest w stanie cokolwiek szarpnąć?

duje, drugi nagrywa. W sumie taktyka podobna do tej z miesięcznic: agresywna, intensywna, w bezpośrednim kontakcie. Znowu ściągnięto jakichś esbeków na szkolenia.

Między wyjazdami premier zdymisjonował wiceministra inwestycji i rozwoju Pawła Chorążego za wypowiedzi w sprawie imigracji, w tym za słowa, że „napływ imigrantów do naszego kraju musi wzrosnąć, żeby utrzymać wzrost gospodarczy". To akurat smutna prawda. Problem jest inny: rząd próbuje przemilczeć sprawę widoczną gołym okiem, ale na dłuższą metę to się nie uda. W całej sprawie najciekawszy był jednak przeciek medialny, według którego „premier się wściekł" na Chorążego. Przestrzegamy: rzekome „wściekanie się" było sztuczką Tuska, który zużył ją doszczętnie.

Cóż pozostało opozycji poza rozróbami? Tylko zagranica. ***Władysław Frasyniuk*** przekroczył kolejną granicę, apelując o dalsze donosy na Polskę. Ten haniebny apel brzmi tak: „Drodzy politycy, nie lękajcie się! Europa to nasz dom, tu nie działa zasada »nie sra się do własnego gniazda«". Może na Wschodzie to nie działa, ale spróbowałby ktoś takiego numeru w Niemczech albo we Francji. Tym ludziom nie można oddać znów Polski, bo Polska tego już może nie przeżyć. Tak jak nie przeżyła powrotu targowiczan.

Ale nie trzeba donosów, by Berlin działał. Im bliżej wyborów i im sondaże dla PiS lepsze, tym nasi zachodni sąsiedzi grają brutalniej. Widzieliśmy to na przykładzie Ludmiły Koz-

eprasa.pl a83b4f9e6a

łowskiej. Znawcy tematu mówią jednak, że Niemcy przyjęły ostry kurs wszędzie tam, gdzie mogły, a przy okazji coraz śmielej wchodzą w rolę oficjalnego patrona opozycji. Gdzie tylko mogą, stawiają twardy warunek: w każdej dyskusji, w każdym panelu ma brać udział przedstawiciel Platformy.

A Nowoczesna, z pustą kasą, umiera. Pieniędzy nie ma także Joanna Schmidt, już poza tą partią, która zażądała od byłego męża Pawła, by płacił wyższe alimenty na rzecz córki. Kwota robi wrażenie – chodzi o 7,7 tys. zł miesięcznie. Uzasadnienie też robi wrażenie: „Rodzina dwa–trzy razy w roku wyjeżdżała na tygodniowe turnusy narciarskie do Włoch lub Austrii [...]. Po rozwodzie rodziców wyjazdy narciarskie mają miejsce tylko raz w roku". Straszna degradacja, prawda? W tym kontekście pogarda, z jaką liberałowie traktują 500+ i inne programy społeczne, staje się lepiej zrozumiała.

Prezydent Duda przywiózł z USA umowę o partnerstwie strategicznym i ciepłe słowa Trumpa pod adresem Polski. Dla mainstreamu najważniejsze było jednak, że stał, gdy podpisywano dokument, podczas gdy Trump wygodnie siedział. Cóż, Trumpa nie zmienisz, tak jak nie zmienisz naszego mainstreamu żądnego rewanżu za kampanię, z której Komorowski wyszedł w roli wiejskiego roztropka. Po powrocie prezydent zatweetował o „szyderstwach i napadach lewackich mediów". Cóż, od początku było jasne, że z tymi ludźmi nie sposób się dogadać.

Sytuację skomentował także prezydencki minister Krzysztof Szczerski: „Prezydent Duda tyle razy ostatnio słyszał, że będzie siedział, że postanowił tym razem trochę postać". Dodał także ironicznie: „Tak mało dzieje się w Pałacu Prezydenckim, że nawet piwo się przedatowało. Ostatnio gość chciał wypić piwo i okazało się, że jedyne dwie butelki w Pałacu się przedawniły". Ładne słowo: „przedatowało". Musi być z Krakowa, bo w Warszawie nieznane.

Trump ani słowem nie wspomniał o „praworządności", rzekomo zagrożonej wolności ani tym podobnej agendzie opozycji. A jest przecież pod silną presją amerykańskiego lewactwa. Poważne gazety piszą, że polują na niego nawet członkowie jego własnej administracji. Co ciekawe, również nowa ambasador USA w Warszawie pani Georgette Mosbacher zdaje się szczególnie okadzać tych nadwiślańskich dziennikarzy i polityków, którzy Trumpa utopiliby w łyżce wody i którzy wylali na niego kubły pomyj. Cóż, wolny kraj, ale to dość mało lojalne zachowanie wobec własnego prezydenta.







Fot. Andrzej Skwarczyński (x2), Julita Szewczyk

Na medialnym podwórku tematem numer jeden są finansowe kłopoty ważnego sprzedawcy prasy, czyli RUCH-u. Ale poruszenie wywołuje i inny temat: otóż w Krynicy wyszło na jaw, że redaktor naczelny zaprzyjaźnionego pisma, czyli Tomasz Sakiewicz, ma własnego asystenta, który chodzi za nim z teczką. Jak świat światem nie słyszano jeszcze o takim przypadku. Sekretarki, owszem, bywają, ale asystenci w terenie? Ochroniarzy nikt nie wypatrzył, ale to pewnie kwestia czasu.

Sprawa ACTA 2 przycichła, ale wróci, bo stawka jest ogromna. Zdaniem TVN nie należy jednak mówić ACTA 2, bo to błędne, propagandowe określenie. Co ciekawe, tego samego zdania był wiceprezes Polskiego Radia Mariusz Staniszewski, który 13 września rano rozesłał do dziennikarzy następującego maila: „Szanowni Państwo, bardzo proszę o nieużywanie terminu »ACTA 2« w stosunku do dyrektywy Parlamentu Europejskiego dotyczącego praw autorskich. Dyrektywa nie ma nic wspólnego z ACTA, więc używanie terminu ACTA 2 jest wprowadzaniem odbiorców w błąd. Poważne media powinny unikać tego rodzaju przeinaczeń".

Po paru godzinach Staniszewski jednak się zreflektował i o godz. 17.41 wystosował już inny apel: „Szanowni Państwo, kilkoro z Państwa zwróciło uwagę, że dyrektywa Parlamentu Europejskiego w sprawie praw autorskich funkcjonuje już w powszechnym obiegu medialnym i świadomości społecznej jako ACTA 2, a więc unikanie tego terminu utrudnia komunikację ze słuchaczami oraz grozi uznaniem, że Polskie Radio angażuje się po jakiejś stronie sporu w tej kwestii. Argumenty te wydają się zasadne. W tej sytuacji stosowanie terminu ACTA 2 wydaje się mimo wszystko dopuszczalne. Przepraszam Państwa za zamieszanie, ale sprawa jest bardzo gorąca i delikatna". Trudno się nie zgodzić: to delikatna sprawa. I duży biznes.

Poza tym w mediach antykościelnie. Ludzie, którzy bardzo często nie umieją pokierować swoim życiem, którzy kończą, kupując samotnie wieczorem w sklepie „flaszkę i parówki", niszczą jedną z niewielu instytucji, która prowadzi ludzi do dobra. Teraz klaszczą uszytemu na urbanoidalną miarę filmowi „Kler" Wojciecha Smarzowskiego. Przy okazji reżyser oświadczył, że „jest ateistą, wpatrzonym trochę w kosmos, w naukę, w naturę, ale niewierzącym". Wezwał także do wypowiedzenia konkordatu i wyprowadzenia religii ze szkół. Kosmos mu to podpowiada czy jednak ktoś tu, na ziemi?

eprasa.pl a83b4f9e6a

Półherosi zza krzaka



KRZYSZTOF FEUSETTE

Opozycja się zbroi. Być może powinienem napisać „opozycja uliczna", ale skoro najważniejsze cienie w gabinecie Grzegorza Schetyny milczą na ten temat, można uznać, że poniżej wymienione działania są im na rękę. I jeśli nawet cienie ich nie pochwalają, to boją się zareagować. A nuż ostrze antypisowskich zombie zostanie nagle zwrócone przeciw nim samym? Jak się wyhodowało potwora, lepiej nie przerywać karmienia.

A więc – opozycja się zbroi. Jeszcze nie kupują działek przeciwlotniczych ani kałasznikowów, ale nie chcę już nawet przypominać, że gdy – dla czytelnej prowokacji – napisałem, że podczas mundialu totalsi będą kibicować naszym przeciwnikom, natychmiast Krystyna Janda zaczęła życzyć Polsce przegranej, bo „zwycięstwo jest dla mądrych". Więc umówmy się – o tej broni teraz nie wspomniałem. Opozycja, na razie, plan ma inny. Najpierw przejęcie policji i wojska, a dopiero potem realizacja dekretu Bolka I Żałosnego, czyli pałowanie, zamykanie i wyrzucanie przez okna. Byłoby to nawet śmieszne, gdyby powoli nie stawało się niebezpieczne z jednego powodu – nietrudno dziś o kretyna, który wezwania do policjantów i żołnierzy, by złamali przysięgę, ba, by przeprowadzili coś na kształt zamachu stanu – może wziąć na poważnie. Cyba siedzi, ale w sieci niejednego już widziałem potencjalnego następcę. Oczywista oczywistość, żaden z wzywających do przeprowadzenia na ulicy – kiedyś „polskiego Majdanu" – dziś buntu w służbach mundurowych nie ruszyłby wtedy czterech liter z telewizyjnego studia, choćby po to, by policzyć czarne worki. Zapewne – z ciałami nie ich bliskich, uprzedzonych wcześniej, by nie wychodzili z domu, bo „będzie gorąco".

Oto Władysław Frasyniuk wespół z Pawłem Kasprzakiem uznali za stosowne napisać list do polskiej policji. Nie po to, by przeprosić za robienie z siebie palanta na oczach policjantów tudzież lekceważenie ich mundurów. Nie, oni wzywają do buntu. Jeszcze w lipcu Frasyniuk alias Grzyb straszył polskich policjantów: „To wasze twarze, to wy pierwsi będziecie ofiarami tego państwa bezprawia. Tak jak po stanie wojennym ścigano szeregowców i sierżantów, a na końcu Jaruzelskiego i Kiszczaka, tak za chwilę, jak upadnie PiS, to wy w pierwszej kolejności staniecie przed sądami, a nie Błaszczak i Brudziński!".

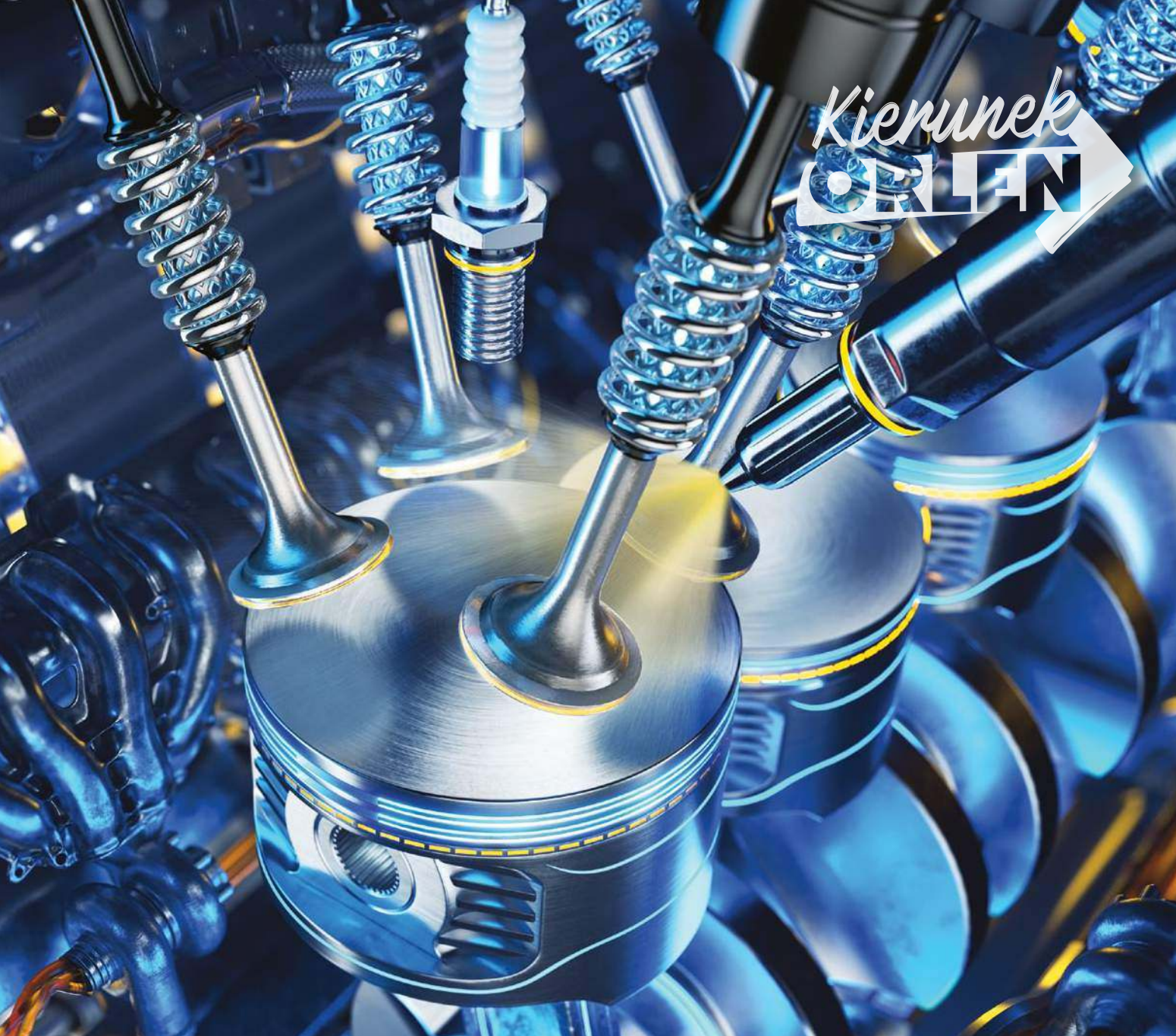
Niestety, odzew był zerowy. Ale przecież Grzyb nie z tych, co łatwo się poddają – nie chcieli klęknąć przed groźbą, może trzeba prośbą? Siedli więc z pierwszym zapiewajłą Obywateli RP i wspólnymi siłami spłodzili do policjantów odezwę „Nie każdego stać na odmowę wykonania rozkazu. Ale przynajmniej nie bądźcie nadgorliwi. I pamiętajcie: pierwszy z Was, który odmówi wykonania rozkazu nakazującego popełnić przestępstwo, może odwrócić bieg historii". Przypomnijmy – piszą to superbohaterowie, spośród których jeden potarzał się przez chwilę na chodniku i podał fałszywe nazwisko, a drugi trząsł się ze strachu w bagażniku, bo jakby ktoś otworzył, to „byłby wstyd". „Doświadczamy z Waszej strony represji" – piszą dalej, dowodząc, że albo Frasyniuk nie zna tego słowa, albo w stanie wojennym represjonowany był inny Frasyniuk. „Wasi dowódcy kryją się za Waszymi plecami, tchórzliwie unikając odpowiedzialności. Wiedzą, że kiedyś przyjdzie czas zdać rachunek […]. Nie przeciw Wam występujemy, ale przeciw tym, którzy wydają Wam rozkazy" i tak dalej. Jak mają się te żałosne zapewnienia do wcześniejszych gróźb Frasyniuka, że to właśnie zwyczajni policjanci „w pierwszej kolejności staną przed sądami"?

Nie licząc wezwań Kramka, Broniatowskiego czy Lisa do organizacji „polskiego Majdanu", trzeba odnotować, że podobne odezwy nagłaśniane były przez media już wcześniej. Znany z wychwalania stanu wojennego płk Mazguła, jedna z gwiazd kodziarskich demonstracji, już w październiku 2017 r. pisał „list otwarty do generałów, oficerów, podoficerów i żołnierzy Wojska Polskiego". „Koledzy Żołnierze, […] dzisiaj służycie złu, […] Budujecie, razem z PiS-em, faszystowski wymiar armii, narodowo-socjalistyczny system represji i budzenia upiorów rasowych […]. Nie stójcie jak kukły, gdy nasz kraj się wali". W podobnym tonie wypróżniła się chora na wudu pisarka Maria Nurowska. „Panowie Generałowie i Wyżsi dowódcy wojskowi […]. Przez obecnie rządzących łamana jest Konstytucja, na którą przysięgaliście. Czas, aby wojsko stanęło na Jej straży, odsunęło od władzy nieodpowiedzialnych polityków i zarządziło wybory, które będą kontrolowane!". Przez kogo? Ano, pewnie przez Nurowską, Jandę i Stuhrów.

W podobne tony uderzają także najzapalczywsi antypisowscy dziennikarze. Red. Czuchnowski z „Gazety Wyborczej" wprost nawoływał do walki z policją. Sam ma pewnie czarny pas z siedzenia w krzakach, gdy „coś się dzieje!", ale innych zagrzewa do boju. Po tym, gdy policja zatrzymała kilkoro agresywnych wandali, piszczał na pół Twittera: „Ludzie, czemu w takiej sytuacji nie odbijacie zatrzymywanego? Podczas zadym w latach 80. milicja nie ośmieliłaby się tak wejść w tłum. Trzeba walczyć do cholery!". Znamy te Papkinowe gadki w stylu: wy tu się bijcie, a ja ich zajdę z tyłu i zastrzelę ripostą. Poseł Szczerba podał nawet odważnie do wiadomości publicznej nazwisko i stopień jednego z policjantów ochraniających manifestację. Potem trochę żałował, jednak stwierdzić należy, że w przypadku autentycznego rozlewu krwi na polskich ulicach swoje spóźnione żale wszystkie wyżej wymienione osoby będą mogły sobie wsadzić. W paszport. Bo ten przyda się natychmiast.

15/0818/F

eprasa.pl a83b4f9e6a



NOWE PALIWO

efecta

CZYSZCZĄC SILNIK,
dba o:

- żywotność
- wydajność

efecta DIESEL

efecta 95

Dowiedz się więcej na **dlakierowcow.orlen.pl**

ORLEN

eprasa.pl a83b4f9e6a



Sojusz mocny jak nigdy

Odnowienie umowy o partnerstwie strategicznym pomiędzy Polską a Stanami Zjednoczonymi sprzed dziesięciu lat nie jest tylko pustym gestem. To wzmocnienie sojuszu, który stanowi o gwarancji bezpieczeństwa Polski. I to na wszystkich strategicznych płaszczyznach.

Przede wszystkim mowa o obecności amerykańskich wojsk w Polsce. To z kolei w praktyce oznacza, że atak na nas automatycznie wiązałby się z wypowiedzeniem wojny Stanom Zjednoczonym. Na pewno nie uczyni tego Rosja, która przez obu prezydentów została zdiagnozowana jako główne źródło zagrożenia w naszej części Europy. Właśnie dlatego prezydent Duda zabiega o stałą obecność U.S. Army w Polsce, nawet jeśli za stworzenie baz mielibyśmy zapłacić my. I to zapłacić niemało. Choć konkretne kwoty nie padły, to już z wcześniejszych ustaleń wiemy, że wiązałoby się to z inwestycjami w wysokości ok. 2 mld dolarów. Ale, zauważmy, że byłyby to inwestycje, np. w infrastrukturę, z której przecież korzystać będą nie tylko amerykańscy żołnierze.

Od lat mówimy także o bezpieczeństwie energetycznym, które w obliczu coraz bardziej realnie kształtującego się planu budowy gazociągu Nord Stream 2 staje się sprawą naglącą. Nawet jeżeli dla USA dostawy surowca do Polski to wyłącznie intratny biznes, to nie ma się co obrażać na realia. Wydane w ten sposób pieniądze oznaczają, że Polska dostaje nie tylko gaz, lecz także możliwość uniezależnienia się od Moskwy, co kilka lat temu wydawało się utopią. Co więcej, w pewnej perspektywie staniemy się hubem gazowym, z którego będą również czerpać inni, do tej pory szantażowani przez monopolistę – Rosję.

Trzecim benefitem, który dostajemy wraz z umową Duda–Trump, jest otwarcie drzwi dla amerykańskiego biznesu w Polsce. Zaproszenie nad Wisłę dolarowego kapitału przy zastrzeżeniu, że wymagamy także transferów nowoczesnych technologii, da nam szansę na wyjście z pewnej zapaści przemysłowej i naukowej, która ciągnie się za nami jeszcze od głębokiej PRL.

A atak niechętnych polskiemu prezydentowi mediów i skupienie ich uwagi na didaskaliach, zamiast na treści podpisanej umowy, najlepiej recenzuje to, co osiągnęliśmy w Waszyngtonie.

Mimo że wielu chciałoby zamknąć sens tej wizyty w jednej niekorzystnej fotografii, Andrzej Duda mógł zza oceanu wrócić dumny i wyprostowany.

Marcin Wikło

eprasa.pl a83b4f9e6a



Fot. Grzegorz Jakubowski/KPRM

Rosja

Komunistyczna alternatywa?



Zdumiewająca rzecz stała się w rosyjskim Kraju Przymorskim (leżącym nad Pacyfikiem, ze stolicą we Władywostoku).

Odbywały się tam wybory gubernatora. W pierwszej turze liderem był urzędujący Andriej Tarasenko, z putinowskiej Jednej Rosji, rzecz jasna. Ale w drugiej turze nieoczekiwanie wyprzedził go inny Andriej – Iszczenko, kandydat Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej. W noc wyborów komunista prowadził dość pewnie – po podliczeniu 95 proc. protokołów miał 51 proc., a putinowiec – 46. Po czym portal komisji wyborczej zawiesił się, a gdy po godzinie się odwiesił, rezultaty były już odwrotne – po przeliczeniu 99 proc. prowadził nieznacznie Tarasenko.

Innymi słowy: użyto tzw. resursu administracyjnego, a bardziej konkretnie – czegoś tam zapewne dosypano. Cała sprawa stała się tak głośna, że centralna komisja wyborcza zażądała powtórzenia wyborów. I ta bezprecedensowa reakcja jest pierwszą przyczyną, dla której cała sprawa stała się znacząca.

Druga przyczyna to fakt, że wykazała ona, w jakim stopniu i jak szybko depopularyzuje się rosyjska władza. Jak daleko do czasów patriotycznej euforii po inkorporacji Krymu. Jak bardzo poczucie ogólnego braku perspektyw, zwielokrotnione przez podwyższenie wieku emerytalnego (według wszystkich ekonomistów w błyskawicznie starzejącej się Rosji konieczne; tylko co z tego, skoro przez społeczeństwo znienawidzone?) niszczy wizerunek rządzących.

Trzecia przyczyna: Tarasence nie pomogło nawet – i to jest znamienne – pojawienie się we Władywostoku z poparciem dla niego samego Władimira Władimirowicza, co socjolodzy komentują jako silny dzwonek ostrzegawczy dla Kremla. I możliwą zapowiedź zmiany rewolucyjnej, jaką byłoby załamanie jego osobistej popularności.

I czwarta przyczyna: nieoczekiwanie i dla Zachodu, i dla rosyjskiej liberalnej opozycji beneficjentami sytuacji okazują się komuniści. KPFR nie jest żadną partią stalinowską, choć i takie sentymenty można w niej znaleźć. Jest ugrupowaniem niejednoznacznym, partią poradzieckiej nostalgii i rosyjskiego nacjonalizmu, ale też momentami eksperymentującą z otwieraniem się na niekomunistycznych lewicowców, a w pewnych regionach potrafiącą bronić miejscowych społeczności przed samowolą elit władzy z Jednej Rosji. Ale przede wszystkim jest, w odróżnieniu od opozycji, dla zwykłych Rosjan wystarczająco swojska i niepodejrzana o zachodniość, by móc w ich oczach stać się przekonującą alternatywą dla władzy – kiedy ta, również w ich oczach, się kompromituje.

Robi się ciekawie.

Piotr Skwieciński

Fot. Shutterstock

USA

Demokraci torpedują nominata Trumpa

53-letni Brett Kavanaugh był już na ostatniej prostej. Nominat prezydenta Trumpa do Sądu Najwyższego świetnie poradził sobie podczas przesłuchania przed senacką komisją sądowniczą, gdzie demokraci usiłowali udowodnić, że jest on stronniczy. Nie udało im się to.

Chwilę później jednak senator demokratów Dianne Feinstein otrzymała list od profesor psychologii z Kalifornii Christine Blasey Ford, w którym pani ta twierdzi, że 36 lat temu, na jakiejś studenckiej imprezie, pijany Kavanaugh usiłował ją zgwałcić. Ten – dziś sędzia federalnego Sądu Apelacyjnego oraz wykładowca Harvard i Yale – stanowczo zaprzeczył zarzutom Ford. Jedyny świadek, obecny na imprezie kolega sędziego, potwierdza jego wersję zdarzeń, ale jego oskarżycielka przeszła pomyślnie badanie wykrywaczem kłamstw.

Demokraci domagają się wycofania nominacji Kavanaugh. Według nich w najważniejszych sprawach nie może orzekać osoba, na której moralną sylwetkę padł cień. Prezydent mimo to twardo broni nominata. „To wspaniały człowiek. Nie zasługuje na to. Współczuję jemu, jego cudownej żonie i córkom" – zadeklarował.

Jednocześnie poparł jednak pomysł, by przeprowadzić drugie przesłuchanie Kavanaugh przed senacką komisją sądowniczą. Zarówno sędzia federalnego Sądu Apelacyjnego, jak i jego oskarżycielka mają przedstawić swoje wersje zdarzeń z 1982 r. To oznacza jednak, że proces zatwierdzania Kavanaugh może się znacznie opóźnić.

Prawicowe media i niektórzy politycy republikanów sugerują, że demokraci „wyciągnęli z kapelusza Ford", bo wiedzą, iż jest to w epoce #metoo najłatwiejszy sposób na załatwienie przeciwnika. A 6 listopada odbędą się wybory do Kongresu, w których demokraci mają nadzieję przechylić szalę na swoją stronę. Wówczas nie będzie już nawet mowy o konserwatywnym kandydacie do SN.

Jak podkreśla CNN, wszystkie scenariusze są obecnie możliwe: zatwierdzenie lub odrzucenie nominacji Kavanaugh, a nawet to, że wakat w Sądzie Najwyższym pozostanie nieobsadzony do 2021 r., czyli do czasu po następnych wyborach prezydenckich. Byłaby to ogromna porażka Trumpa.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl a83b4f9e6a

Chiny

Żółty rasizm na Czarnym Lądzie

60 mld dol. – taką sumę Chiny zamierzają zainwestować w Afryce w ciągu najbliższych trzech lat. To kolejna transza, poprzednią – w tej samej wysokości – ogłoszono w 2015 r. Podczas Forum Współpracy Chińsko-Afrykańskiej (FOCAC), które odbyło się na początku września w Pekinie, przywódcy z 50 krajów afrykańskich ustawiali się w kolejce do prezydenta Chin Xi Jinpinga, aby prosić go o pożyczkę.

Największe szanse mieli ci, którzy zaoferowali atrakcyjny majątek pod zastaw. Bo warunki spłaty chińskich pożyczek są brutalne – kto terminowo nie zwraca długu w gotówce, ten musi oddać jego równowartość w naturze. Przekonała się o tym Zambia, która prawdopodobnie będzie zmuszona oddać Chinom kontrolę nad branżą energetyczną oraz lotniskiem w stolicy kraju Lusace.

Nic dziwnego, że prezydent RPA Cyril Ramaphosa, który wynegocjował w Pekinie 10 mld dol., musiał po powrocie nerwowo się tłumaczyć z „sukcesu". „Jesteśmy zazdrośni i nie oddamy naszego majątku żadnemu obcemu państwu" – zapewniał. Jednak nie wszyscy w to wierzą, zwłaszcza że zadłużenie RPA w Chinach wzrosło tym samym do 25 mld dol. A Pekin ostrzy już sobie podobno zęby na południowoafrykańskiego giganta energetycznego Eskom, który pożyczył w Chinach ponad 2 mld dol.

Chińskie inwestycje – oficjalnie wspierające rozwój infrastruktury na Czarnym Lądzie – prowadzą w rzeczywistości do ekonomicznego i politycznego uzależnienia Afryki od Pekinu. Trudno tu uniknąć skojarzeń z neokolonializmem, zwłaszcza że Chińczycy są oskarżani o zachowania rasistowskie. Ostatnio takie doniesienia dotarły z Kenii, gdzie chińskie przedsiębiorstwo CRBC rozbudowuje i obsługuje linię kolejową z Nairobi do Mombasy. Według relacji w firmie praktykowany jest apartheid: w bufetach Kenijczykom nie wolno siadać przy stołach, które zajmują chińscy pracownicy. Podobnie jest w busach dowożących do pracy. Dokumenty, oznakowania i polecenia nie są tłumaczone na język zrozumiały dla miejscowych. W rezultacie nawet kenijscy inżynierowie posyłani są do najprostszych prac. Przypadki odmowy wykonania poleceń są karane fizycznie. Ogromna jest także rozpiętość wynagrodzeń: chiński pracownik otrzymuje czterokrotnie wyższą pensję niż Kenijczyk.

I choć na wieść o tych praktykach zarząd kolei kenijskich postawił chińskiego wykonawcę do raportu, trudno się spodziewać jakichkolwiek konsekwencji. Wręcz przeciwnie, mówi się już, że Kenia będzie musiała zapłacić Pekinowi za pomoc, oddając Chinom port w Mombasie.

Konrad Kołodziejski

Włochy

Salvini woli dzieci od niewolników



Fot. MikeDotta/Shutterstock.com

Przez ostatnie trzy lata główną twarzą ruchu antyimigranckiego w Europie pozostawał Viktor Orbán. To właśnie na nim skupiały się ataki środowisk lewicowych, liberalnych, a nawet części prawicowych (jak niemiecka CDU), które opowiadały się za Wilkommen Politik. Teraz jednak to się zmienia i na czołowego wroga publicznego nr 1 wyrasta lider koalicji rządowej we Włoszech, wicepremier i szef MSW Matteo Salvini. Jego silna pozycja w Europie wynika w dużej mierze z tego, że 60-milionowa Italia odgrywa znacznie większą rolę niż 10-milionowe Węgry. To jeden z krajów założycieli UE, czwarta gospodarka na kontynencie i członek G7.

Salvini – tak jak Orbán – łączy wyrazistość poglądów ze zdecydowanym działaniem. Gdy tylko objął urząd, zamknął włoskie porty dla statków z imigrantami i nie ugiął się pod zmasowaną krytyką mediów. Podczas niedawnego szczytu migracyjnego UE w Wiedniu ścisł się w tej sprawie z szefem luksemburskiej dyplomacji Jeanem Asselbornem, który próbował co chwila przerywać wystąpienie Salviniego. Niezbity z tropu mediolańczyk zauważył, że „podczas gdy szef MSZ Luksemburga uważa, iż starzejąca się Europa potrzebuje migrantów, włoski rząd woli pomóc młodym Włochom, tak aby mieli więcej dzieci, tak jak kiedyś". I dodał: „Może w Luksemburgu macie zapotrzebowanie na obcych, to wasza sprawa. My nie chcemy zastąpić naszych dzieci niewolnikami z Afryki. Włochy powinny być dla Włochów".

Salvini odciął się również wiceprzewodniczącemu Komisji Europejskiej Marošowi Šefčovičowi, który stwierdził, że martwi go obecny kurs władz w Rzymie, ale wyraził nadzieję, iż Włochy znów staną się proeuropejskie. W odpowiedzi usłyszał: „Lepiej byłoby, gdyby się zamknął i przeprosił".

Salvini jest pewny siebie, ponieważ wie, że w tej sprawie ma za sobą większość rodaków, a każde takie starcie dodaje mu tylko popularności. Elity unijne atakują go zawzięcie, ponieważ boją się, że po majowych wyborach do europarlamentu może się stać liderem nowego bloku partii, który zmieni politykę imigracyjną UE.

Grzegorz Górny

eprasa.pl a83b4f9e6a

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Koniec świata starych elit



Jan Pietrzak

Ciekawe jest, że po wymianie przez szanowny elektorat ekipy rządowej w 2015 r. środowiska, które określały się mianem elity, znalazły się w większości po stronie upadłej władzy. Nadzwyczajna kasta sądowa, wyblakłe gwiazdy filmowe, postkomunistyczna profesura, celebryci medialni, autorytety oralne... Co więcej, stali się oni przegranej władzy wiernymi kibicami. Razem z bojówkami totalnej opozycji uczestniczą w seansach dzikiej nienawiści do propolskiego rządu. Na poziomie zupełnie nieelitarnym odsłaniają swoje prawdziwe oblicza. Z grubsza można ich określić mianem zmutowanej kołtunerii. Nieco inaczej rozłożone akcenty, ale istota kołtuństwa, dulszczyzny zachowana.

Tak się złożyło, że właśnie wyszła książka „Koniec świata starych elit" opisująca elitarność w perspektywie historycznej i globalnej, co pozwala nasz krajowy problem ujrzeć w szerszym kontekście. Zaskakujące może być nazwisko autora, powszechnie znanego specjalisty od ekonomii i finansów, posła Janusza Szewczaka. Poprzednie jego dzieło sprzed dwóch lat, „Banksterzy", świetnie utrafiło w zainteresowanie społeczne i było sukcesem wydawniczym. Jak widać, autor postanowił wziąć na warsztat temat pokrewny, bo nie ma elit bez finansów. Czy widział ktoś bankiera w poczekalni artysty? Wątpię. Natomiast muzycy, malarze, pisarze, uczeni w poczekalniach bankierów to codzienność.

Powstała książka arcyciekawa, pełna erudycyjnych odniesień, od Biblii poczynając, na najmodniejszych nazwiskach i zjawiskach kończąc. Pośród wnikliwych obserwacji i błyskotliwego wywodu przewija się nieubłagana teza, że coś się kończy, ale nie wiadomo, co się zaczyna, że kończą się stare elity, ale nie widać nowych. Jak będą opisywać ludzką rzeczywistość, co proponować nadchodzącym pokoleniom, jakie idee wpiszą na sztandary, by gęstniejącym miliardom ludzi dać nadzieję godnego życia? Taka powinna być rola elit.

Wracając na lokalne podwórko, dzień po dniu postępuje kompromitacja chamlajfu III RP, brudnych moralnie, paskudnych estetycznie typków, którzy uważali się za elitę, a okazali się pustymi wydmuszkami... Czort z nimi.

OLI RYBIŃSKIEJ

wyrazy szczerego współczucia i słowa otuchy
w trudnych chwilach po śmierci

MAMY

składają

koleżanki i koledzy z tygodnika „Sieci", portalu wPolityce.pl
i telewizji wPolsce.pl

eprasa.pl a83b4f9e6a

BRONISŁAW WILDSTEIN

Z perspektywy lepszych

Dlaczego pisać o kolejnym tekście Anne Applebaum, żony ministra Sikorskiego? Można odwoływać się do rangi, jaką nadaje mu jego miejsce w „The Atlantic", uznawanym za jedno z bardziej prestiżowych pism współczesnego świata, można zastanowić się, ile zła może on przynieść, najciekawsze jednak wydaje się potraktowanie go jako świadectwa stanu ducha autorki, która jest doskonałym wcieleniem establishmentu zachodniego. Ciągnący się bez końca artykuł nosi tytuł „Ostrzeżenie z Europy: gorsze jeszcze przed nami", i traktuje głównie o Polsce.

W opisie Applebaum nie ma żadnych dwuznaczności ani półcieni, nie pojawiają się kontrowersje, wątpliwości, różnice zdań, odmienności perspektyw, nie ma ani jednego argumentu strony przeciwnej. Wszystko jest oczywiste aż do bólu. W 2015 r. władzę przejęła partia „nie tylko ksenofobiczna i głęboko podejrzliwa wobec reszty Europy, ale otwarcie autorytarna". Po wygranej, ostentacyjnie łamiąc konstytucję, podporządkowała sobie Trybunał Konstytucyjny i Sąd Najwyższy, przejęła media publiczne, wyrzucając stamtąd popularnych i bezstronnych dziennikarzy, ustawowo ograniczyła debatę na temat Holokaustu, usunęła kompetentnych pracowników państwowych, zastępując ich partyjnymi nominatami. Buzuje w niej antysemityzm – daje do zrozumienia Applebaum.

Jakim cudem tego typu ugrupowanie wygrało wybory w kraju, w którym wszystko szło jak najlepiej, gospodarka rozwijała się świetnie, a struktury państwa przyjmowały najwyższe, zachodnie standardy?

Applebaum wskazuje „kłamstwo smoleńskie". W tej dziedzinie jest arbitrem: pisze o tym, że polscy specjaliści pojawili się w Smoleńsku w dniu katastrofy, że wspólnie z Rosjanami przebadali jego miejsce, szczątki wraku, ciała ofiar oraz czarną skrzynkę. Według niej zachowane zostały nagrania świadczące o tym, że ludzie prezydenta Kaczyńskiego, telefonicznie naciskanego przez brata, wymusili na pilotach lądowanie, które musiało doprowadzić do tragedii. Wszystko to bezdyskusyjnie potwierdzić miała bezstronna komisja. I nie ma żadnych, ale to żadnych danych świadczących o czymś innym. Ale Polacy dali się zwieść cynicznemu, a zarazem myślącemu wyłącznie w kategoriach spiskowych Kaczyńskiemu i dlatego zagłosowali na jego partię.



Fot. Andrzej Wiktor

Dlaczego jednak tak łatwo dali się uwieść? Otóż współczesna liberalna demokracja to, zdaniem autorki, system konkurencji. Rządzi ona wszystkim: gospodarką, polityką, kulturą czy administracją. Wygrywają lepsi: bardziej utalentowani, lepiej wykształceni, mądrzejsi. Wydawałoby się, że jest to system najlepszy z możliwych, ale – tu Applebaum potrafi uruchomić empatię – przecież nie dla wszystkich. Głupsi, nieutalentowani, słabo wykształceni przegrywają. Można zrozumieć, że narasta w nich frustracja i to oni stają się łatwym łupem teorii spiskowych, które wyjaśniają ich niepowodzenie.

Ponad 20 lat temu napisałem tekst, w którym porównywałem ideologię III RP do trywialnie rozumianej teorii predestynacji. Nadziei na zbawienie protestanci upatrywali wyłącznie w łasce Bożej. Z czasem podejście to zaczęło się przenosić na ziemską kondycję człowieka, a jego sukcesy i kariera miały być w tym ujęciu znakiem Boskiej przychylności. W III RP słyszeliśmy dokładnie to samo, tylko już bez transcendentnej sankcji. Bezrobotny w zbankrutowanej fabryce i milioner z nomenklaturowego nadania jednakowo zasłużyli na swój los. Applebaum proponuje nam uniwersalizację takiego podejścia.

Co nią powoduje? Czy obrona własnego i środowiskowego interesu sprawia, że odrzuca wszelkie skrupuły i jakiekolwiek intelektualne standardy? Potrafi być przecież wybitnym historykiem. O Polsce kłamie jak z nut, smoleńskie łgarstwa to daleko nie wszystko. Niekiedy manipuluje bardziej subtelnie. O mężu pisze: „przez półtora roku był ministrem obrony narodowej [w pierwszym rządzie PiS], potem zerwał z partią i był siedem lat szefem MSZ w rządzie PO". Nie informuje, że zerwał z partią dlatego, że został usunięty ze swojego stanowiska, a nowe otrzymał w nagrodę za wyjątkową zajadłość, z jaką atakował dawnych towarzyszy.

Nie wiem, czy Applebaum kłamie zupełnie świadomie, czy zamyka oczy i zdaje się na relacje męża. Ale czego świadectwem jest cała owa kompromitująca intelektualnie teoria, którą przytoczyłem? Przecież to świadectwo nie tylko degrengolady autorki „Gułagu", lecz i środowiska, które publikuje tego typu idiotyzmy bez śladu refleksji. To chyba wyjaśnia wszystko.

OGNIEM NA WPROST

W sprawie fajansu



Redaktor Beata Lubecka postanowiła odpytać kandydata na prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego ze znajomości gwary warszawskiej, zwanej również w niektórych kręgach dialektem nadwiślańskim. Ale sama przy tym popełniła błąd. Choć Trzaskowski w miarę prawidłowo wyjaśnił znaczenie frazy „Capić jak fajans", to jednak ani słowo „capić", ani „fajans" nie znajdują swej etymologii w języku warszawiaków z krwi i kości, czyli takich, którzy żyją w tym mieście od pokoleń. „Capić" jest słowem slangowym używanym powszechnie w całej Polsce i pochodzi od samca kozy – capa, który – jak wiadomo – potrafi czasem wprost niewiarygodnie cuchnąć. Z kolei „fajans" wywodzi się w prostej linii z języka więziennego (grypsery zwanej również kminą) i oznaczało pierwotnie człowieka, który wykonywał w celi różne przedmioty użytkowe lub ozdobne służące na ogół przekupywaniu klawiszy, czyli – przechodząc na język polski literacki – funkcjonariuszy służby więziennej. Z czasem fajans nabrał nowych, pokrewnych znaczeń, stając się synonimem tandety, barachła, a w ostatniej fazie ewolucji – śmietnikiem. Od dziesięcioleci funkcjonuje jako ogólnopolskie wyrażenie slangowe, którym operuje głównie młodzież. Oczywiście wiele wyrazów przeszło z grypsery do dialektu nadwiślańskiego i używa się ich przemiennie ze słowami pochodzącymi z autentycznej gwary warszawskiej (już od dawna stanowią całość), ale bynajmniej nie należy do nich fajans w znaczeniu śmietnika. Starając się przybliżyć czytelnikom i redaktor Lubeckiej ten problem, kolejne opowiastki mojego felietoniku piszę w języku mieszanym (gwara warszawska z grypserą), a więc w prawdziwym dialekcie nadwiślańskim.

Piszę bez bajery. Tak było. Czarne gity z Arabami z XV dzielnicy znowu narobili dymu w Marsylii. Dwóch lewusów postanowiło chlasnąć w metę Lidla. Widać wyprztykali się z kasy. Robota standard. Beemwica, lewe blachy, giwery, klamki i wjazd! Anawa! Jak Francuziki zobaczyli najaranych na szmal przybrudzonych z gnatami, dali dyla. Kiziory zajumali hajc z kasy, a resztę fantów – kirę, ramki i czego tam nie było – załadowali w dwa wory, a potem długa. Myśleli, że kozaki. Dwa zwody i charakter w girach wystarczy. Za wcześnie przyhamowali piętą. Na zewnątrz stało 50 z innej ferajny z XV. „Wyskakiwać z fantów, frajerzy!" – rzucili do nich. A ci znowu w długą. To tamci za klamki i ognia. Jeden dostał w gicę, ale się jakoś dowlókł do fury. Drugiemu wyheblowali bańkę bejsbolem. Padł jak długi. Lebiega za kółkiem beemwicy spanikował i jeszcze go potrącił zderzakiem. Ale się zerwał. Psiarnia jak zwykle przyjechała, jak było po sprawie. Zwinęli tylko tego tarachniętego drewnianą lagą. Teraz żeni bałach na mentowni, bo osłania wafla. Śledztwo stanęło w miejscu. Fanty przepadły. Czysta robota. Redystrybucja dóbr.

Kandydat Śpiewak ześwirował kompletnie. „Chciałbym zadeklarować, że jeżeli zostanę wybrany prezydentem Warszawy, tęcza wróci na plac Zbawiciela" – nawija Śpiewak, jakby się berbeluchy nakirał. W dodatku chce otworzyć „hostel interwencyjny dla osób homoseksualnych i transpłciowych". Jaki hostel? Przestań pan wciskać bałach. Już to rozkminiła TVP. Żaden hostel, tylko bałagan dla cweli. Oj, będzie się działo. Na górnych kojach cwele zgredy, a na dolnych małolaty, bo jak sam kandydat nadaje: „Jest dużo dzieciaków, które przez to, że są gejami czy lesbijkami, stają się ofiarami przemocy domowej albo są z domów po prostu wyrzucane. Chodzi o to, żeby mieli gdzie pójść". No to trafią. Stodoła i komora, panie, a nie hostel.

Słowniczek

(w nawiasach: warsz. – gwara warszawska, gr. – grypsera, sl. – slang ogólnopolski)

bajera (warsz.) – kłamstwo, cwana nawijka
nawijka (gr.) – gadka
git (gr.) – przestępca z charakterem, autorytet
lewus (gr.) – niegodny zaufania
chlasnąć w metę (warsz.) – okraść sklep
lewe (gr.) **blachy** (sl.), giwera (sl.), **klamka** (sl.) – podrobione tablice rejestracyjne, broń długa, broń krótka
anawa (warsz.) – naprzód, z franc. en evant
najarany (warsz.) – napalony papierosami, silnie nastawiony na coś
kizior (warsz.) – rozrabiaka
juma (warsz.) – kradzież
hamuj piętą (warsz.) – wyluzuj
gica (warsz.), **szkita** (gr.) – noga
tarachnąć (warsz.) – uderzyć
żenić bałach (gr.) – wciskać kłamstwa
mentownia (gr.) – komisariat
berbelucha (gr) – zupa lura, warsz. – politura na spirytusie
cwel (gr.) – osoba o skłonnościach homoseksualnych, bardzo niska pozycja w hierarchii więziennej
stodoła i komora (warsz.) – Sodoma i Gomora

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl a83b4f9e6a

Pamięć wybiórcza



Marta Kaczyńska-Zielińska

W trakcie wizyty w USA prezydent Andrzej Duda podpisał z prezydentem Stanów Zjednoczonych Donaldem Trumpem „Wspólną deklarację o polsko-amerykańskim partnerstwie strategicznym". Dokument ten ma na celu potwierdzenie aktualności i wzmocnienie dotychczasowych założeń współpracy pomiędzy oboma państwami, które zostały ustalone 20 sierpnia 2008 r. Deklaracja dotyczy współpracy w dziedzinach bezpieczeństwa i obronności, energetyki, wymiany handlowej, inwestycji, badań oraz innowacji. W jednym z postanowień porozumienia wskazano potrzebę wzmacniania obecności NATO na wschodniej flance, a w ślad za tym przyjęto zobowiązanie do rozważenia wariantów wzmocnienia militarnej roli USA w Polsce oraz oceny wykonalności tej koncepcji.

Zwolennikiem obecności amerykańskich wojsk w naszym kraju był prezydent Lech Kaczyński, który uważał, że ścisła współpraca militarna ze światowym mocarstwem sprawi, iż nasza pozycja także w Unii Europejskiej będzie znacznie silniejsza i zapewni nam większe bezpieczeństwo na Wschodzie. Lech Kaczyński miał duży wpływ na podpisanie wspomnianej deklaracji sprzed 10 lat, o czym wiele osób nie wie, a niektórzy zdają się nie pamiętać.

Krytycy obecnej ekipy rządzącej, w tym głowy państwa, zarzucają, że podpisana w Białym Domu deklaracja nie zawiera konkretnych ustaleń co do formy obecności wojsk amerykańskich na terytorium RP i jest znacznie bardziej ogólna niż dokument sygnowany 10 lat temu przez Condoleezzę Rice i Radosława Sikorskiego. W odniesieniu do tych zarzutów trzeba zauważyć, że najnowsze polsko-amerykańskie porozumienie, stanowiąc gwarancję aktualności umowy sprzed lat, w swej istocie nie powtarza dokonanych wcześniej ustaleń. Ponadto i przede wszystkim należy wspomnieć, że to za aktualnych rządów PiS amerykańscy żołnierze zaczęli stacjonować w polskich bazach. Obecność wojskowych zza oceanu na wschodniej flance NATO po latach dyskusji stała się faktem. Trzeba zaś z całą stanowczością podkreślić, że w deklaracji podpisanej w 2008 r. przez ministra spraw zagranicznych w rządzie Donalda Tuska wspomniano o rozmieszczeniu w Polsce amerykańskiej baterii rakiet Patriot i ustanowieniu garnizonu, jednak plany te przez siedem kolejnych lat rządów PO nie zostały zrealizowane.

W 2005 r. rząd PiS jako pierwszy polski gabinet oficjalnie zadeklarował wolę posadowienia w Polsce elementów amerykańskiego systemu. Negocjacje w tej sprawie rozpoczęły się w 2007 r., prowadził je ówczesny wiceszef MSZ Witold Waszczykowski. Proces ten aktywnie wspierał prezydent Lech Kaczyński w trakcie swoich rozmów z prezydentem George'em W. Bushem. 4 lipca 2008 r. z niewyjaśnionych przyczyn rząd Donalda Tuska odrzucił ofertę współpracy złożoną przez Amerykanów. Wcześniej przedstawiciele Białego Domu proponowali, by podpisanie umowy o tarczy antyrakietowej odbyło się 9 lub 10 lipca 2008 r. w obecności prezydenta Kaczyńskiego, w Belwederze. Spekulowano, że właśnie opisane sugestie Amerykanów co do miejsca i głowy państwa uczestniczącej w akcie stanowiły dla ekipy PO przeszkodę w zawarciu umowy o bezprecedensowym znaczeniu dla interesów państwa. Na wieść o odrzuceniu propozycji przez gabinet PO-PSL ówczesny prezydent zwołał spotkanie z przedstawicielami rządu i podjął wiele innych działań w celu ratowania projektu wzmacniającego bezpieczeństwo Polski. Z dokumentów ujawnionych w 2011 r. przez WikiLeaks wynika, że w depeszy z 2008 r. ambasador Victor Ashe pisał: „Prezydent Kaczyński nie chce, żeby tarcza antyrakietowa stała się przedmiotem rozgrywki w Polsce, i jest gotów oddać sukces Tuskowi i Sikorskiemu za zawarcie porozumienia, byle tylko było zawarte". Interwencje Lecha Kaczyńskiego okazały się skuteczne i polscy ministrowie powrócili do negocjacji, których efektem było właśnie podpisanie deklaracji 20 sierpnia 2008 r. Prezydent uznał to wydarzenie za wypełnienie jednego ze strategicznych celów swojej prezydentury.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 13 września 2018 roku zmarł w Lublinie

ŚP

PPŁK ZBIGNIEW MATYSIAK

PS. „KOWBOJ", „DYM"

urodzony 26 marca 1926 roku w Lublinie.
Od marca 1944 roku żołnierz Armii Krajowej
w Lubelskim Okręgu AK.

W lipcu 1944 roku uczestniczył w Akcji „Burza".
Od kwietnia do września 1945 roku żołnierz
Ruchu Oporu Armii Krajowej
w Oddziale „Juranda" w składzie Zgrupowania „Zapory".
Uczestnik starć z siłami komunistycznego aparatu bezpieczeństwa.
Aresztowany w kwietniu 1946 roku, następnie więziony
w lubelskim areszcie przy ul. Krótkiej,
na Zamku Lubelskim oraz w Sieradzu.
W kwietniu 1947 roku zwolniony na mocy amnestii.

Zasłużony sportowiec i trener,
wielokrotny mistrz Polski w rajdach motocyklowych.

Uhonorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski
oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

41/0918/F

eprasa.pl a83b4f9e6a

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Śmierć ekologa

Podczas likwidacji domków aktywistów okupujących las Hambach w Niemczech pod Kolonią zginął jeden z ekologów. Społeczny dziennikarz, który opisywał na swoim blogu akcję ekologów i działania policji przy ich usuwaniu, miał spaść z drzewa z wysokości ok. 15 m i w wyniku odniesionych obrażeń ponieść śmierć na miejscu. Policja zapewnia, że wypadek nie miał związku z akcją policji, ale ekolodzy są innego zdania. Jak przypomina TVP Info, stary las Hambach w Nadrenii Północnej-Westfalii należy do koncernu energetycznego RWU. Koncern zamierza go wyciąć, by przygotować obszar pod teren odkrywkowej kopalni węgla brunatnego. Ekolodzy od kilku lat protestują. Od tygodnia policja usuwa ich z lasu. Gdyby do takiego wypadku doszło w Polsce, pewnie Bruksela zatrzęsłaby się z oburzenia, a tak nikt się pewnie nawet sprawą nie zainteresuje.





118
metrów
– tyle ma mierzyć mierzyć Big Falcon Rocket.

5
mld dol.
– tyle wynosi szacowany przez Elona Muska koszt stworzenia BFR.

380
tys. km
– tyle mniej więcej wynosi dystans między Ziemią a Księżycem.

Wenecja, baczność!

Władze Wenecji prześcigają się w pomysłach na to, co zrobić, by uczynić miasto piękniejszym. Właśnie pojawił się pomysł, by zakazać siadania na ziemi i na schodach w centrum miasta. Zakaz został zawarty w rozporządzeniu policji i straży miejskiej. Dotychczasowo obowiązujące prawo, i tak dość restrykcyjne, zabrania jedzenia prowiantu na schodach, schodkach, mostach i chodniku. Teraz okazuje się, że nie będzie można tam również siadać. Jeszcze trzeba by tylko porozwieszać tabliczki: „Jesteś w Wenecji. Baczność!".



Bez śladu?

Czy można po imprezie zapomnieć o samolocie? Okazuje się, że dla chcącego nic trudnego i można zostawić po sobie na pustyni porzucony samolot. Tak zrobili uczestnicy jednego z festiwali. „Podczas tegorocznej edycji Burning Man stary samolot Boeing 747 był pokaźną, ale wciąż tylko jedną z wielu atrakcji. Właściciele najwidoczniej nie byli z nim zbytnio związani, ponieważ dwa tygodnie po zakończeniu zabawy wciąż stoi na pustyni Black Rock w Nevadzie. […] Urzędnicy stanu Nevada z Bureau of Land Management wezwali już do usunięcia maszyny" – czytamy na Wprost.pl. Ten festiwal to według mediów istna parada osobliwości, miejsce „radykalnej autoekspresji". A porzucony na pustyni samolot pokazuje tylko, jak bardzo radykalnej. Kłóci się tylko z mottem imprezy, które brzmi: „Nie zostawiamy śladu". Może należałoby je zmienić na: „Nie zostawiamy małych śladów, bo wielkie to nasza specjalność".

eprasa.pl a83b4f9e6a



Wiewiórczy węzeł

Młode wiewiórki z Wildlife Rehabilitation Center w stanie Wisconsin w USA splątały się ogonami. Wiewiórek było pięć. Zaalarmowani pracownicy centrum rehabilitacyjnego dla zwierząt szybko przystąpili do akcji ratunkowej. Na ten czas wiewiórki uśpiono. „Okazało się, że zwierzęta to rodzeństwo, a ich ogonki splątały się przez trawę i plastikowe fragmenty, z których ich matka uwiła gniazdo" – informuje Onet.pl. Po 20 min udało się ogony rozplątać i wiewiórki mają się dobrze. Dobrze, że nikt nie zdecydował się rozwikłać wiewiórczego węzła jak tego gordyjskiego. Wtedy wiewiórki mogłyby nie być tak zadowolone.

Nie piję już wódki i żadnych mocnych alkoholi – stwierdził w porannej audycji RMF FM Aleksander Kwaśniewski. I tak na naszych oczach skończyła się pewna epoka.

W kosmos!

Japoński biznesmen Yusaku Maezawa poleci komercyjnie w kosmos. Ma go tam wynieść rakieta firmy SpaceX. Elon Musk zaprezentował nabywcę biletu, który wybierze się w kosmiczną podróż już w 2023 r. Przeleci wówczas wokół Księżyca i wróci na Ziemię. Wyprawa będzie trwać niecały tydzień. Ponieważ japoński biznesmen zapłacił z góry, rakieta powinna być gotowa na czas. Prace nad Big Falcon Rocket (BFR) trwają. Przed lotem z załogą na pokładzie SpaceX planuje kilka bezzałogowych startów testowych rakiety. Oto co znaczy: planować wakacje z wyprzedzeniem.



Fot. Andrzej Wiktor, Christophe Gateau/DPA via A.P. Facebook/Wildlife Rehabilitation Center at Wisconsin Humane Society, YouTube (x2)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Z perspektywy 20 wieków



Dominik Zdort

Od początku lat 70. ubiegłego wieku katolicy podczas mszy świętej modlili się już w językach narodowych. Na Zachodzie przy łacinie i starym rycie mszy pozostały niewielkie grupy.

Jednak jeszcze 20 lat później był kraj, gdzie 5 do 10 mln wiernych uczestniczyło w mszach w tradycyjnym rycie po łacinie. Kościół katolicki w tym kraju nie uznawał nie tylko papieskich nominacji biskupich, lecz także dokumentów wydanych przez Stolicę Apostolską od roku 1949, w tym postanowień Soboru Watykańskiego II, encyklik, kanonizacji, a nawet dogmatu o Wniebowzięciu Najświętszej Marii Panny.

Mimo tego ów Kościół narodowy był przez Watykan traktowany jak część Kościoła powszechnego, papieże nie zarzucali mu schizmy i uznawali sakramenty udzielane przez duchownych tej wspólnoty za ważne.

Mowa o Patriotycznym Stowarzyszeniu Katolików Chińskich, podlegającym wyłącznie władzom komunistycznym. Oprócz niego istnieje w Chinach także podziemny Kościół katolicki, wierny papieżowi, liczący prawdopodobnie drugie tyle wiernych.

Dziś Chińczykom i Watykanowi zależy na podpisaniu umowy, dzięki której Franciszek będzie mógł odwiedzić najludniejszy kraj świata. Dokument ma zakładać pełne uznanie przez Watykan prorządowych struktur i włączenie w nie „podziemia". Kandydatów na biskupów nadal będzie zgłaszało prorządowe stowarzyszenie, ale to papież będzie wskazywał hierarchę.

Projekt porozumienia budzi kontrowersje. Komentatorzy piszą, że „nagrodzeni" zostaną hierarchowie, którzy podjęli kolaborację z komunistami, a ukarani ci, którzy pozostali wierni (paru biskupów z „podziemia" ma stracić funkcje).

Nie jestem wielkim wielbicielem obecnego kursu naszej Matki Eklezji, ale mam przekonanie, że akurat w tej kwestii – niedotyczącej bezpośrednio spraw wiary ani nauczania Kościoła – konieczne jest poszukiwanie kompromisu i działanie metodą drobnych kroków.

Rozsądne było uznawanie przez Watykan równocześnie chińskich „księży patriotów" i struktur nieoficjalnych. Podobnie w czasach stalinowskich (ani później) nie doszło do ekskomuniki czy ostrych represji kościelnych wobec polskich „księży patriotów" – wielu z nich potem robiło kariery kościelne, zostało wybitnymi naukowcami, a nawet dziekanami i rektorami uczelni katolickich. Co się Kościołowi opłaciło.

Może więc warto zaufać mądrości instytucji spoglądającej na współczesność z perspektywy 20 wieków.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl a83b4f9e6a

RZECZY POSPOLITE

Punkt siedzenia



Tomasz Łysiak

Ile to rzeczy człowieka dziwi. Oto się okazało, że zdjęcie, na którym prezydent Duda stoi, a prezydent Trump siedzi, przy czym obaj pozują w ten sposób do fotografii – ma być, według chóru z nagła objawionych krytyków, oznaką jakiegoś wstydu, upokorzenia i w ogóle powodem do rwania włosów z głowy. I nikogo już nie obchodzi, co podpisano ani jaki ma sens to, co się naprawdę stało, czyli mocny uścisk ręki między Polską i Stanami Zjednoczonymi, ogłoszony we wspólnej deklaracji. Zapomniano już o Komorowskim wchodzącym na krzesło w japońskim parlamencie czy też o tym, jak opowiadał Obamie dykteryjki o niewiernej żonie, co tłumaczka przekładała niefrasobliwie na „your wife"... To, że Duda stał, a Trump siedział, doczekało się komentarzy, tweetów, dysertacji, wywiadów ze specjalistami od wizerunku i polityki zagranicznej. Jak tak dalej pójdzie, powstaną na ten temat prace magisterskie i doktorskie, wszystko zostanie wpisane do Księgi rekordów Guinnessa, a „New York Times" napisze, że Duda mógł usiąść, tak jak Wałęsa siedział dla wolności, ale stał przez swoją nacjonalistyczną agresję przemieszaną z uległością.

Do sprawy stania Dudy mogliby się zabrać fizycy i politolodzy do spółki, opracowując prawo Dudy–Trumpa: „Gdy prezydent stoi, autorytet siada" i na odwrót: „Gdy prezydent siada, autorytet się podnosi". Te dwie zasady powinny zacząć funkcjonować w podręcznikach tak jak zasady dynamiki.

Jednocześnie zastanawia mnie, jak według szyderców powinien się zachować nasz prezydent w Gabinecie Owalnym, w którym nigdy nie ma krzeseł obok fotela prezydenta USA podczas podpisywania umów? Zacząć krzyczeć, że nie podpisze, póki nie dadzą mu krzesła?! Wyjąć własne, składane, wędkarskie?! Usiąść Trumpowi na kolanach?!

W każdym razie dobry wyjazd, dogadanie współpracy, w tym przede wszystkim na niwie militarnej, plan powstania w Polsce bazy wojsk USA zostały sprytnie zakryte szyderczymi komentarzami związanymi z tym, że nasz prezydent stał (w sytuacji, w której nie mógł zrobić nic innego). A jeśli już w czyjąś stronę można kierować jakieś żale, to jedynie w tę amerykańską...

Czarna szpilka prezesa



Piotr Cywiński

Czy ktoś jeszcze pamięta te dyrdymały? Był taki prezydent, który chciał z Polski zrobić drugą Japonię. Lech Wałęsa się nazywał. Nie zrobił, bo miał za mało czasu, tak mało, że – jak sam powiedział podczas oficjalnej wizyty w Niemczech – „nie miał nawet kiedy się wysikać". Na szczęście przytomny tłumacz przełożył z Wałęsowego na niemiecki, że „pan prezydent nie miał nawet kiedy rąk umyć", ale tzw. afera nocnikowa wybuchła, że ćwok nieobyty, że wstyd i w ogóle. Notabene, twierdzi wielu, do dziś mu tak zostało. Czyli Japonii nie mamy. I dobrze, może dzięki temu uniknęliśmy katastrofy w Fukushimie pod Żarnowcem, gdzie mieliśmy mieć elektrownię atomową, której też nie mamy. Ktoś pamięta? Kiedyś kandydat na prezydenta, potem premier, obecnie gastarbeiter w Brukseli, pardon, szef Rady Europejskiej Donald Tusk chciał budować nad Wisłą drugą Irlandię. Źle to świadczyło o jego wiedzy, bo Irlandia wkrótce zbankrutowała. I znów mogliśmy mówić o szczęściu, że to nie nas cała wspólnota musiała wyciągać za uszy z dołka.

Ale przez chwilę byliśmy tą „zieloną wyspą" Tuska, z ciepłą wodą, niby kwitnącą i niezatapialną. Niestety i ten wizerunek szlag trafił jeszcze za jego urzędowania, bo zanim porzucił był gabinet prezesa Rady Ministrów, partię, wyborców i cały kraj, Bank Światowy orzekł, że w rozwoju gospodarki przegoniły nas Rumunia, Słowacja i Litwa. Ale to już było. Po rządach rozliczanej dziś niby obywatelsko-ludycznej spółki z o.o. PO-PSL nastał czas prawa i sprawiedliwości. I oto proszę: prezes, nomen omen, rozliczającego Prawa i Sprawiedliwości zapodał w Szczecinie, że chce, aby Polska była w przyszłości jak Niemcy. To znaczy nie tak od razu: „Nam chodzi o to, żeby w Polsce było przynajmniej najpierw tak jak we Włoszech, później tak jak we Francji, a w końcu tak jak w Niemczech. Może później jeszcze jak w Holandii" – stwierdził Jarosław Kaczyński.

Podczas wizyty za oceanem naszej pary prezydenckiej pani prezydentowej Agacie Dudzie przy wsiadaniu do auta zsunęła się ze stopy czarna szpilka. Chciała nie chciała, wszyscy to zauważyli, nawet filmik z tego „zdarzenia" krąży w sieci. A że nie udało jej się wcisnąć bucika na nogę, musiała się po niego schylić i zabrać z asfaltu. No to może niech także pan prezes się schyli i zabierze swoją czarną szpilkę, którą zgubił w Szczecinie? Bo mnie akurat nie chodzi o to, aby budować u nas Japonię, Irlandię, Włochy, Francję ani – Boże broń – Niemcy czy jeszcze Holandię, tylko po prostu Polskę właśnie.

eprasa.pl a83b4f9e6a

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE





Metafizyczna gra z przeszłości

*Z reżyserem **Bartoszem Konopką** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Pamiętamy „Lęk wysokości” nagrodzony w Gdyni w 2011 r. za reżyserski debiut, ale też filmy dokumentalne: „Sztukę znikania” i nominowanego do Oscara „Królika po berlińsku”. Mam wrażenie, że najnowsza fabuła – „Krew Boga” – mogłaby nosić tytuł „Lęk metafizyczny”. Co pan na to?

Bartosz Konopka: To była dla mnie bardzo ważna osobista sytuacja. Kiedy siedem lat temu zaczęliśmy ten projekt, „zapadałem się” w związku z wiekiem i życiowymi doświadczeniami. Podświadomie szukałem tego, co wypełni egzystencjalną pustkę się gdzieś na dnie serca. Jednocześnie czułem wewnętrzny głos, by pójść w stronę tej historii.

Ważne pytania przełożyły się na film o czasach wczesnego chrześcijaństwa; obraz odpowiadający formą potrzebom młodych widzów. Zamiast „Gry o tron” „Gra o wiarę”?

Ale też o władzę, o przywództwo, o ambicje. Rozgrywająca się w „gdzieś w średniowieczu”, bez wyraźnego wskazania czasu, ale też, jak się okazuje, podlegająca znanym również dziś mechanizmom ludzkiego działania.

Ktoś przychodzi z Bogiem i zaprowadza nowy porządek świata: ogniem, mieczem i krzyżem?

Ale również zaszytymi ustami. „Niemy” wchodzi do plemienia przez asymilację. Nie przez skompromitowane słowa.

„Krew Boga” mimowolnie wpisała się w dyskusję wywołaną przez film „Kler”. Jak się pan w tym odnajduje?

Zgadzam się, że w Kościele narosło zbyt wiele poważnych problemów, że potrzebne są zmiany, ale wierzę, że nawet jeśli ktoś odcina się od wiary, gdzieś głęboko w sercu wie, jak powinno być.

Fot. Piotr Matusewicz/East News

eprasa.pl a83b4f9e6a



Nie dam się wyrzu

eprasa.pl a83b4f9e6a



cić z Polski

W tych atakach na mnie czuć dziwną rękę, to jest wyraźny zapach rosyjskich trolli. Musimy mieć świadomość, gdzie jesteśmy i w którym momencie. Jeśli spojrzymy na okres od zwycięstwa PiS do dziś, i jeśli mamy w głowie, że zbliżają się wybory, to nie możemy wykluczyć żadnej możliwości

Z Jonnym Danielsem, założycielem i prezesem fundacji From The Depths, zajmującej się relacjami Polaków i Żydów, rozmawia Jacek Karnowski

Zdjęcia Andrzej Wiktor

Co się dzieje? Ktoś przeciął opony w pana samochodzie, otrzymuje pan także groźby. Do tego można mówić o swoistej nagonce w mediach społecznościowych.

Jonny Daniels: Rzeczywiście, ostatnio musiałem się zmierzyć z falą agresywnych ataków. To zaczęło się jakieś cztery, pięć miesięcy temu. Nie mam pełnej jasności, skąd wychodzą te ataki. Na pewno biorą w nich udział ludzie powiązani z ekstremistyczną prawicą, ze środowiskami w sumie marginalnymi. To zresztą część szerszego procesu, bo ci ludzie atakują wszystkich, których uważają za choćby nieco inaczej myślących lub mających inne wyobrażenie Polski. Ataki na moją osobę są związane z szerszym problemem rasizmu, antysemityzmu, nienawiści.

eprasa.pl a83b4f9e6a

Z czym wiąże pan pojawienie się tych ataków?

Jest dla mnie jasne, że cała historia związana z ustawą o IPN; jej przyjęcie, a później wycofanie się z niektórych zapisów, bardzo zaszkodziły relacjom polsko-żydowskim. Ale ta sprawa ośmieliła także niektórych ludzi, którzy jeszcze dwa lata temu wstydziliby się głosić publicznie to, co dziś wypisują w swoich tweetach.

Z polskiej perspektywy sporo złego wyrządziła także niewspółmierna reakcja Izraela i środowisk żydowskich, która nakręciła emocje i która sprawiała wrażenie ataku na Polskę przy użyciu wątpliwego pretekstu.

Mówię jasno: nienawiść jest obecna po obu stronach. W Polsce ludzie nie wiedzą, jak ostro jestem atakowany przez skrajną lewicę w Izraelu, przez marginalne, ale głośne środowiska. To są na razie ataki słowne, ale one są faktem. Mam wrażenie, że obie te grupy – skrajna polska prawica i skrajna lewica izraelska – są swoistymi partnerami w ataku na mnie, a szerzej na ludzi, którzy burzą ich obraz świata. Niektóre zarzuty, które słyszę w Polsce, zostały spreparowane przez ludzi mi niechętnych w Izraelu. Sytuacja jest absurdalna: osoby, które atakowały mnie za kontakty z polskim rządem, za spotkania z ojcem Tadeuszem Rydzykiem, za chęć dialogu, teraz faktycznie współpracują z takimi polskimi antysemitami, jak ci, którzy atakują mnie w sieci.

Jest więc pan problemem dla przeciwników dialogu w obu krajach.

Tak. Dotyczy to również wielu środowisk diaspory żydowskiej. I doskonale wiem, dlaczego jestem problemem dla skrajnej lewicy izraelskiej. To zostało wyłożone w kilku oświadczeniach i listach, oficjalnie podpisanych i opublikowanych. Otóż jestem postrzegany jako ktoś, kto przeszkadza w realizacji roszczeń majątkowych wobec Polski. Jako ktoś, kto niszczy lewicowy monopol w obszarze relacji polsko-żydowskich. Monopol, który trwał przez ostatnie 30 lat.

Ten monopol wiązał się z narzucaniem wykrzywionego spojrzenia na relacje polsko-żydowskie.

Edward Mosberg, urodzony w Krakowie Żyd, cudem ocalały z Holokaustu, wielki przyjaciel Polski i Polaków, bardzo mądry człowiek, powiedział mi ostatnio: „Jonny, oczywiście, że były także zdarzenia tragiczne, byli Polacy, którzy mordowali Żydów, byli szmalcownicy, byli źli ludzie, ale to wszystko zostało rozdęte poza wszelkie proporcje, do tego wyjęte z kontekstu niemieckiej okupacji". I dodaję już od siebie, że te tragiczne zdarzenia wpisano w swoistą grę, której celem jest uzyskanie czegoś od Polski i w której ramach należy Polskę stale atakować. Ukrytym założeniem tego mechanizmu jest blokowanie prawdziwego dialogu. A przecież nasze narody muszą ruszyć do przodu. Musimy otwarcie i uczciwie omawiać dzielące nas kwestie. Nie możemy się godzić na kłamstwa ani manipulacje. Tak postrzegam swoją misję.

> Jestem postrzegany jako ktoś, kto przeszkadza w realizacji roszczeń majątkowych wobec Polski. Jako ktoś, kto niszczy lewicowy monopol w obszarze relacji polsko-żydowskich. Monopol, który trwał przez ostatnie 30 lat

Zarzuca się jednak panu, że jest pan przeciwny dokończeniu ekshumacji w Jedwabnem, która mogłaby ostatecznie wyjaśnić wydarzenia z 1941 r.

Tak, jestem przeciw ekshumacji i nie zmienię zdania w tej sprawie. Ale mówię też jasno: moje stanowisko ma źródło religijne. Nie jestem zapewne najbardziej religijnym z Żydów, ale wierzę w Boga, wierzę w życie pośmiertne i uznaję żydowską zasadę, że jeśli ciało zostało pogrzebane, to powinno zostać pozostawione w spokoju. Ciało jest złączone z duszą i każde naruszenie szczątków wpływa na duszę. Ci ludzie dość już wycierpieli, nie powinni być więcej nękani. W tym kontekście czasem wykorzystuje się moje zdjęcie z ludzkimi kośćmi w ręku. Ale to manipulacja, bo zostało ono wykonane w Dobrzyniu nad Wisłą, w mieście, skąd pochodzi moja rodzina. To nie była ekshumacja, ale wyjmowanie szczątków ludzkich z Wisły, do której obsunęła się część żydowskiego cmentarza. Te szczątki zostały natychmiast ponownie pochowane pod nadzorem religijnym; to był pochówek, nie ekshumacja.

Ale Jedwabne jest miejscem szczególnym – wątpliwości co do przebiegu zdarzeń mają potężne konsekwencje.

Zdaję sobie sprawę, że to już symbol, dla obu stron, czasem instrumentalnie wykorzystywany. Ale chcę jasno podkreślić, że sprawą Jedwabnego, poza wypowiedzią dotyczącą ekshumacji, nigdy się nie zajmowałem. Jestem osobą praktyczną i uważam, że nawet jeśli zostałaby przeprowadzona ekshumacja – załóżmy, że przez wspólny zespół polsko-żydowski – i tak nie będzie powszechnej akceptacji wyników. Po co więc to ruszać? Ta sprawa ma tak wiele kontekstów i jest nią zainteresowanych tyle czynników zagranicznych, że to nie może się dobrze skończyć. Niektórzy mówią: to jest polska ziemia i możemy robić, co chcemy. Tak, to jest polska ziemia, ale czy to oznacza, że można się nie liczyć z cudzą wrażliwością? Takie jest moje zdanie, ale decyzje w tej sprawie należą do władz Polski, a w wymiarze religijnym do odpowiednich gremiów rabinicznych.

Wróćmy jeszcze do tego przecięcia opon w pana samochodzie. Jak to było?

eprasa.pl a83b4f9e6a

Chcę podkreślić, że nie mam żadnego problemu z tym, że ktoś mnie nie lubi albo nawet ostro krytykuje. Wierzę w wolność słowa. Jestem też otwarty, nie unikam odpowiedzi na żadne pytania, udzieliłem bardzo wielu wywiadów. Nie przeszkadza mi, że ktoś tworzy strony mi poświęcone. Niestety, są ludzie, których żadna odpowiedź ani nie zadowoli, ani nie interesuje. Niektórzy hejterzy w internecie przenieśli ataki na mnie na kolejny poziom, używając wprost antysemickiej retoryki. Przekroczyli granice, fabrykując ordynarne kłamstwa i atakując także moją rodzinę. Każdy ma prawo pytać o moją działalność i moją pracę, ale sprawy osobiste, zwłaszcza dzieci, powinno się zostawić na boku. Ja sam nigdy nie sięgam po tego typu argumenty, zawsze współczuję ludziom, którzy zostali tak potraktowani, choćby ostatnio Leszek Miller. To są nikczemne zachowania.

Zdecydował się pan złożyć w tej sprawie zawiadomienie na policję.

Tak. Chodziło mi o ochronę dzieci, a także o groźby, które zacząłem otrzymywać po tym, gdy zostałem wzięty na cel propagandy ekstremistów. Były to także groźby dotyczące życia. Nie lekceważę takich spraw, uważam, że trzeba je zgłaszać. Zaparkowałem więc samochód w okolicy posterunku policji i poszedłem złożyć zawiadomienie. Gdy po załatwieniu sprawy wróciłem, dwie opony były przecięte. Sądzę, że za pomocą dużego noża; to były raczej silne dźgnięcia niż cięcie. Wróciłem więc na posterunek i złożyłem kolejne zawiadomienie.

Jakie są szanse na ustalenie sprawców?

Z tego, co wiem, policja ma już poważne poszlaki dotyczące sprawcy lub sprawców. Zastanawiam się, co by było, gdybym pojawił się przy samochodzie wcześniej, gdy ta osoba – lub osoby – wciąż tam była? Czy nie zostałbym zaatakowany? To nie są miłe myśli. To nie jest błaha sprawa: ktoś zebrał informacje na mój temat, ktoś mnie śledził, ktoś podjął ryzyko, że zostanie złapany. Nikt z nas nie przeszedłby wobec takiego zdarzenia obojętnie. Nie oznacza to, że nie sypiam dobrze. Jestem tu od czterech lat i zawsze czułem się niewiarygodnie bezpiecznie. Żyłem tak jak wszyscy wokół, nic złego nigdy mnie nie spotkało. Oczywiście z czasem stałem się dość mocno rozpoznawalny...

Niektórzy hejterzy przenieśli ataki na mnie na kolejny poziom, używając wprost antysemickiej retoryki. Przekroczyli granice, fabrykując ordynarne kłamstwa i atakując także moją rodzinę

Stał się pan swego rodzaju celebrytą.

[śmiech]. Może i tak. Ta moja rozpoznawalność z pewnością także nakręca ataki.

To był pierwszy incydent, który przekraczał granicę między słowną agresją a czynem?

Tak. Mam świadomość, że 99 proc. ludzi atakujących nie tylko mnie, lecz i inne osoby w mediach społecznościowych tej granicy nie przekroczy. To nie są ludzie odważni, chowają się za pseudonimami, odreagowują swoje frustracje i niepowodzenia, siedząc przed komputerem w jakiejś piwnicy...

Albo za biurkiem w niemieckim banku.

Być może. To wolny kraj, wolność słowa jest piękna, mogą pisać, co chcą, z zastrzeżeniem, że jeśli formułuje się groźby, jeśli sięga się po przemoc, to przekracza się granicę. Wszyscy przyzwoici ludzie muszą w takich sytuacjach mówić „Dość!".

Czy w pana ocenie za tymi atakami, za tą akcją, mogą stać jakieś inne siły? Animowanie antysemityzmu w Polsce albo kreowanie wrażenia, że jest on problemem, to stara technika naszych sąsiadów ze wschodu.

Moim zdaniem czuć w tym dziwną rękę, to jest wyraźny zapach rosyjskich trolli. Musimy mieć świadomość, gdzie jesteśmy i w którym momencie. Jeśli spojrzymy na okres od zwycięstwa PiS do dziś i jeśli mamy w głowie, że zbliżają się wybory, to nie możemy wykluczyć żadnej możliwości. Relacje międzynarodowe są sferą, w której PiS było i jest bardzo ostro atakowane. Nie chodzi wyłącznie o ustawę o IPN, ale także o tzw. zagrożenie demokracji i „praworządność", wreszcie o rzekomy wzrost antysemityzmu. Te wszystkie tezy są rozpowszechniane na świecie przez lewicowe media, zarówno polskie, jak i zagraniczne. Ale niezależnie od tego, czy da się udowodnić aktywność jakichś ciemnych siły, czy też nie, problem prawicowego ekstremizmu w Polsce jest realny. Dla mnie to zdumiewające: kraj, który tyle wycierpiał ze strony ekstremistów, ze strony niemieckich nazistów i ze strony Sowietów, powinien wiedzieć, że to nie jest dobra zabawa.

Te środowiska mają jednak marginalny zasięg i minimalne wpływy. Nie zdobywają zbyt wielu głosów, nie mają poparcia rządzących. Choć rzeczywiście trzeba przyznać, że w pana sprawie okazały się na tyle skuteczne, że w sumie niewielu ludzi odważyło się im przeciwstawić publicznie.

Szczerze mówiąc, byłem poruszony bardzo licznymi wyrazami wsparcia, które dostałem. To były głosy ze wszystkich stron, bardzo liczne zwłaszcza ze strony prawicowego mainstreamu. Także ze strony zwykłych Polaków, którzy zatrzymują się na ulicy, by wyrazić sympatię i podziękować za to, że słyszą ze strony żydowskiej głos inny niż dotychczas. Jednocześnie jednak sądzę, że rząd musi zacząć coś robić w sprawie ekstremizmu. Nie chodzi mi o jakiekolwiek ograniczanie wolności słowa; są jednak granice, których przekraczać nie można. Zarówno prezes Jarosław

eprasa.pl a83b4f9e6a



Kaczyński, jak i premier Mateusz Morawiecki, z którymi miałem możność spotkać się i rozmawiać, to ludzie bardzo dalecy do jakiegokolwiek fanatyzmu. To nie są osoby, u których można znaleźć choćby jedną antysemicką kosteczkę. Odwrotnie, to przyzwoici, bogobojni ludzie, rozumiejący świat. Oni nie tylko wiedzą, że antysemityzm szkodzi Polsce, lecz także osobiście źle znoszą antysemityzm.

Wielu ludzi obawia się jednak, że walka z realnym ekstremizmem zakończy się tak jak na Zachodzie, a więc nałożeniem ciasnego kagańca politycznej poprawności, który ostatecznie zabija wolność słowa, tak ważną dla Polaków.

To prawda, nie są to obawy bezzasadne. Ale uważam, że Polska naprawdę jest wyjątkowym krajem i żaden kaganiec wam nie grozi. Podam przykład: w Polsce nie tylko prawica, lecz i wielu ludzi o poglądach lewicowych sprzeciwia się masowej imigracji z krajów islamskich. To była jedna z przyczyn zwycięstwa PiS w ostatnich wyborach. Rozumiecie, że to ważna sprawa. Podobnie jest z wolnością słowa, którą Polacy mają w genach. By walczyć z ekstremizmem, nie trzeba uciszać ludzi, nie chodzi o jakieś bardzo surowe kary. Chodzi o jasny sygnał, że pewne rzeczy są niedopuszczalne, że nie wolno grozić śmiercią, nie wolno przecinać opon. To już jest kwestia moralna. Nawet mówiąc o islamie, którego nie jestem fanem i którego wady doskonale znam, należy zachować umiar; nie każdy muzułmanin jest mordercą, każdemu należy się szacunek. To samo dotyczy Kościoła katolickiego, który jest dziś ostro atakowany za przypadki pedofilii. Jest jednak dla mnie jasne, że nie można rozciągać winy małej grupki na całą religię, na całą wspólnotę.

Ma pan wrażenie, że ktoś chce pana wypchnąć z Polski?

Absolutnie tak. Jest wiele osób, które nie życzą sobie mojej obecności tutaj. Ale ci ludzie nie zrozumieli jeszcze, że nie zamierzam się stąd ruszać. Jeśli ktoś na mnie naciska, atakuje, to walczę do końca. Jestem niewiarygodnie uparty. To jest mój wybór, że tu żyję. Podjąłem tę decyzję i jestem z tego powodu szczęśliwy.

To jest chyba jedno ze źródeł ataku na pana. Ludziom nie mieści się w głowie, że ot tak postanowił pan pomieszkać w Polsce. Myślą, że muszą się kryć za tym wielkie interesy, służby specjalne, niejawne intencje. Sugerują, że jest pan „wicepremierem", że „nadzoruje" pan polski rząd.

Mam być rzekomo nie tylko „wicepremierem", lecz i „wiceprezydentem". Gdy ktoś stawia mi takie zarzuty, nie chce mi się nawet odpowiadać. To jest groteska podszyta głupotą. Jeśli ktoś zaś chce wiedzieć, dlaczego jestem w Polsce, to odpowiadam po raz kolejny: gdy przyjechałem tu pierwszy raz, od razu bardzo polubiłem to miejsce. Dobrze się tu czuję. Przecież nie jest to jakieś Timbuktu gdzieś w Trzecim Świecie. To jest duży, ważny kraj z bardzo fajnymi, miłymi ludźmi, o bogatej przeszłości, o wielkiej kulturze, z dobrym jedzeniem,

eprasa.pl a83b4f9e6a

z klimatem, który mi odpowiada. Jeśli stąd wyjadę, to tylko wówczas, gdy sam tak zdecyduję. Ale rzeczywiście, mam tu także ważną sprawę do załatwienia: chcę poprawić relacje polsko-żydowskie.

Internetowi hejterzy nie mogą się też nadziwić, jak to możliwe, że spotyka się pan z najważniejszymi politykami w Polsce. Takie spotkania mają dowodzić, że reprezentuje pan nie tylko siebie.

Może dlatego, że jestem po prostu miłym facetem? [śmiech] To oczywiście żart. Mówiąc poważnie – hejterzy nie rozumieją, że to, co robię, naprawdę służy Polsce. Za pomocą malutkiej fundacji From The Depths zrobiłem więcej niż sporo w obszarze relacji polsko-żydowskich. W ciągu czterech lat zaprosiliśmy do Polski ponad 200 zagranicznych dziennikarzy. Nie ma tygodnia, by nie gościł tutaj jakiś dziennikarz z Izraela. Przyjeżdżają nie tylko służbowo, by pisać, lecz także prywatnie, dla przyjemności. Bo gdy przyjadą raz i zobaczą nie tylko Auschwitz i Birkenau, lecz także Warszawę, Kraków i inne miejsca, to mówią: „Boże, co to za wspaniały kraj!". Doszło do tego, że w tym roku ważny polityk izraelski, poseł do Knesetu, przyjechał do Polski, na Mazury, by spędzić zupełnie prywatne wakacje z całą rodziną. Czy ktoś to sobie wyobrażał? Zapraszam też polityków z USA; w sierpniu gościło tu pięciu amerykańskich kongresmenów republikańskich, którzy od razu po powrocie podjęli działania na rzecz Polski. W sumie ściągnąłem 150 parlamentarzystów z różnych krajów. Zaprosiłem też kilku liderów diaspory żydowskiej z USA; po spotkaniu z przedstawicielami polskiego rządu nie mogli ukryć konfuzji. Spodziewali się jakiś potworów, a zobaczyli cywilizowanych ludzi i porządny kraj. Dzięki temu wszystkiemu opinia o Polsce wyraźnie się poprawia. Nie przypisuję sobie wszystkich zasług, ale dołożyłem do tego dość dużą cegłę.

> Nie dam się zastraszyć. Polska jest tak samo moim domem, jak każdego człowieka, który tu mieszka. Kocham ten kraj. I powiem więcej: niedługo wystąpię o polskie obywatelstwo

No dobrze, ale jak się zaprasza tak ważnych ludzi? Jakim cudem mała, niedawno założona fundacja jest w stanie to robić? Coś się za tym musi kryć.

REKLAMA



51/0718/F

eprasa.pl a83b4f9e6a

Nie! Jeśli chcesz i wiesz jak, to możesz wiele zrobić nawet skromnymi środkami. Oczywiście nie jestem człowiekiem znikąd; przez cztery lata pracowałem dla członka Knesetu Danny'ego Dannona, niezwykle dynamicznego, młodego polityka, od którego wiele się nauczyłem. Ludzie pytają: „No dobra, a skąd masz na to wszystko pieniądze?". To nie są znów tak wielkie pieniądze. Polski rząd wydał więcej na rejs żaglowca dookoła świata niż moja fundacja na to wszystko, o czym tu opowiadam. Są ludzie, donatorzy, którzy mi pomagają, zarówno żydzi, jak i chrześcijanie.

To są donatorzy instytucjonalni?

Nie, to osoby prywatne, które podzielają mój punkt widzenia i moje cele. Powtarzam: nie są to wielkie kwoty.

Czy ma pan jakieś relacje biznesowe z państwem polskim?

Nie biorę pieniędzy od rządu. Nigdy nie ukrywałem, że pracuję jako konsultant dla LOT-u, pomagając tej firmie w nawiązywaniu różnych relacji, w kontaktach z zagranicznymi mediami, realizując to, co zleci mi zarząd. To są jednak zajęcia niezwiązane z moją fundacją; wykonuję je w ramach normalnej działalności gospodarczej. Mam też zlecenia ze strony prywatnych firm. Ale chcę jasno powiedzieć: nie jestem w Polsce dla pieniędzy. Z moimi kontaktami i doświadczeniem nie miałbym problemu z zarobieniem znacznie większych sum w Stanach Zjednoczonych czy w Wielkiej Brytanii. Widzę tam wielkie możliwości, ale chcę być tu, w Polsce, bo wierzę w tę sprawę.

Czy to prawda, że proponowano panu przeniesienie aktywności na Węgry i do Austrii?

Moja praca została zauważona w wielu miejscach. Rzeczywiście padały różne propozycje. Ważni ludzie z Węgier chcieli, bym przeniósł swoją fundację do Budapesztu i tam robił to, co teraz robię w Polsce, bym zajął się m.in. promocją węgierskich Sprawiedliwych. To była niespodziewana propozycja, ale szybko odmówiłem. Bo nie mógłbym jednak robić tam tego, co robię tutaj.

Dlaczego?

Bo znam historię. Węgrzy i państwo węgierskie byli po drugiej stronie, współpracowali z Niemcami. To, co robię w Polsce, mogę robić tylko w Polsce. A jest tu wiele do zrobienia. W zeszłym tygodniu zostałem zaatakowany przez Yad Vashem za to, że rzekomo rozdaję tytuły Sprawiedliwych. A ja niczego nie rozdaję, tylko honoruję tych Polaków, którzy ratowali Żydów, a nie zostali uznani za Sprawiedliwych, bo np. otrzymywali od Żydów pieniądze na jedzenie czy ubranie. Reguły Yad Vashem są bardzo ostre. Rozumiem to, akceptuję, ale przecież ci ludzie, którzy brali pieniądze, by kupić jedzenie, też ratowali. Takich ludzi, którzy pomagali Żydom, a nie mają tytułu, są w Polsce dziesiątki tysięcy. W przyszłym miesiącu jadę do Nowego Sącza; jest tam człowiek, którego ojciec został złapany, gdy rzucał Żydom kawałek chleba. Zginął za to w Oświęcimiu. Jeden z Żydów, dla których był ten chleb, przeżył. Ten człowiek, który rzucał chleb, zasługuje na upamiętnienie.

> Nasze narody muszą ruszyć do przodu. Musimy otwarcie i uczciwie omawiać dzielące nas kwestie. Nie możemy się godzić na kłamstwa i manipulacje. Tak postrzegam swoją misję

Myślę, że wielu Polaków nie zdaje sobie sprawy, że zajmowanie się polskimi Sprawiedliwymi, ich promowanie, jest bardzo źle widziane przez wpływowe kręgi w Izraelu i Stanach Zjednoczonych.

Tak, to nie jest mile widziane. Ciągle słyszę zarzuty: „Co ty robisz?! Pomagasz Polakom pisać historię na nowo. Dlaczego nie mówisz o Kielcach, o Jedwabnem?". Ale wiem, że o tym mówi wielu innych. Chcę mówić o tych, którzy ratowali. Bo jeśli moje dzieci mają wynieść z Holokaustu jakąś lekcję, to chciałbym, by przede wszystkim starały się nieść dobro. By unikały zła.

Sprawą ataków na pana zaczęły się już interesować zachodnie media.

W czasie ostatnich dni otrzymałem dziesiątki różnych telefonów, z Zachodu i z Izraela. To były wyrazy wsparcia, zainteresowania, ale bywała także nuta satysfakcji, w takim tonie: „Widzisz, ostrzegaliśmy cię". Ale wiem, że ci, co mnie tak ostro atakują, to nie jest prawdziwa Polska. To nie są patrioci, oni działają przeciwko polskim interesom.

Na koniec wróćmy jeszcze do pańskich „przygód" z ostatnich dni. Można odnieść wrażenie, że to wszystko jest dość dobrze skoordynowane. Niektórzy z hejterów najpierw nakręcają nagonkę na pana, a chwilę później twierdzą, że... to oni są zagrożeni. Ktoś ogłasza, że spalono mu samochód, de facto kierując oskarżenie pod pana adresem.

To są czytelne prowokacje. I rzeczywiście, to są ustawione akcje, to jest przez kogoś organizowane. Jakieś siły za tym stoją. Nie potrafię odpowiedzieć, czy to skrajnie prawicowe trolle, czy jakieś służby, czy jedno i drugie. Wierzę, że policja to wyjaśni. Na pewno nie dam się zastraszyć. Polska jest tak samo moim domem, jak każdego człowieka, który tu mieszka. Kocham ten kraj, jestem dumny, że mogę tu żyć. I powiem więcej: zbieram obecnie wszystkie niezbędne dokumenty dotyczące mojej rodziny i niedługo wystąpię o polskie obywatelstwo. Pewnie kogoś to rozwścieczy, ale jestem zdeterminowany. Mam nadzieję, że uda mi się wszystko załatwić na tyle szybko, by móc głosować w następnych wyborach parlamentarnych i prezydenckich. Hejterzy mnie stąd nie przepędzą.

eprasa.pl a83b4f9e6a

Szkolnictwo branżowe pod patronatem Grupy Enea

Nowe wyzwania na rynku pracy, związane m.in. z pojawieniem się w branży energetycznej luki pokoleniowej oraz rozwojem technologii, wymagają działań w kierunku pozyskiwania nowych, dobrze wykształconych i przygotowanych do zawodu pracowników. Od jesieni 2017 r. w Grupie Enea trwały prace nad projektem współpracy spółek ze szkołami branżowymi i technicznymi na terenie działania Grupy. Uczniowie pierwszych pięciu już się cieszą z nawiązanej współpracy. Do końca roku Enea obejmie swym programem łącznie 14 szkół.

Program Grupy Enea zakłada objęcie patronatem szkół branżowych i techników, które wyróżniają się wysokim poziomem kształcenia uczniów w zawodach, na które jest największe zapotrzebowanie w spółkach Grupy Enea. W ten sposób firma realizuje wyzwania stawiane pracodawcom przez rynek pracy, które są wskazywane i definiowane także przez Ministerstwo Edukacji Narodowej oraz premiera RP.

– Objęcie patronatem szkół branżowych i technicznych na terenie działania spółek Grupy Enea jest jednym z elementów budowania nowoczesnego, opartego na współpracy z ekspertami i nowymi technologiami szkolnictwa branżowego oraz technicznego. Wierzymy, że rozwój kompetencji pracowników jest nawet ważniejszy od inwestycji w nowe technologie, bo to dzięki wykształconym ludziom możemy je wykorzystywać i rozwijać. Wspieramy podnoszenie kwalifikacji nie tylko obecnych pracowników, lecz również tych potencjalnych, czyli uczniów szkół branżowych – mówi Mirosław Kowalik, prezes Enei. – Nasz projekt to wsparcie finansowe i praktyczne dla nowych kadr, które zasilą nie tylko energetykę, lecz także inne branże polskiej gospodarki. Chcemy, by szkoły kształciły specjalistów w zawodach technicznych i elektromonterskich, profesjonalnie przygotowanych i gotowych do podjęcia pracy, którzy będą ekspertami w swojej dziedzinie – dodaje Mirosław Kowalik.

– Cieszę się, że szkolnictwo zawodowe wraca do łask. Taka forma edukacji przyszłych fachowców najskuteczniej przygotowuje do zawodu. Przekazywanie wiedzy młodym ludziom poprzez praktykę to najlepszy sposób na kształcenie przyszłych specjalistów, gdyż dzięki temu będą umieli sprostać wyzwaniom energetyki przyszłości. Nowoczesna energetyka to dobrze przygotowane kadry. Rynek pracy dynamicznie się zmienia, dlatego musimy sprostać jego wyzwaniom – wyjaśnia minister energii Krzysztof Tchórzewski.

Inauguracja programu odbyła się 17 maja w Połańcu. Do tej pory swoim patronatem Enea objęła szkoły w Nowej Soli, Szczecinie, Poznaniu i Gorzowie Wielkopolskim. Do końca roku będzie ich w sumie 14. Z kilkoma Grupa Enea współpracowała już wcześniej, m.in. wspierając finansowo doposażenie pracowni dydaktycznych czy poprzez organizację praktyk



Fot. Mat. prasowe

dla uczniów. Podpisywane obecnie umowy są rozszerzeniem i wzmocnieniem tej współpracy.

– Chcemy mieć swój udział w rozwijaniu szkolnych programów nauczania. Zorganizujemy praktyki, spotkania i warsztaty z fachowcami, wycieczki dydaktyczne na terenie naszej infrastruktury – mówi Aneta Pelczarska, dyrektor Departamentu Zarządzania Zasobami Ludzkimi Enei. W planach są również konkursy dla uczniów oraz wdrożenie programu stypendialnego dla najlepszych, a także szkolenia dla nauczycieli przedmiotów branżowych w zakresie nowych technologii i rozwoju kompetencji miękkich.

– Dzięki umowie patronackiej nasi uczniowie będą mogli odbywać praktyki w elektrowni, korzystać z laboratoriów i urządzeń, dzięki czemu pogłębią swoją wiedzę teoretyczną i praktyczną. Co ważne, będziemy mogli modyfikować nasz program nauczania pod konkretne potrzeby elektrowni – twierdzi Stanisław Rogala, dyrektor Zespołu Szkół im. Oddziału Partyzanckiego AK „Jędrusie" w Połańcu, która znajduje się w sąsiedztwie Elektrowni Połaniec.

Grupa Enea współpracuje z jednostkami edukacyjnymi od 2016 r. Osiem szkół z terenu działania spółek Grupy, m.in. z Białegostoku, Bydgoszczy, Gorzowa Wielkopolskiego, Poznania i ze Szczecina, otrzymało wsparcie finansowe oraz rzeczowe w postaci sprzętu do wykorzystania podczas zajęć praktycznych. Prawie 1 tys. uczniów odbyło praktyki w spółkach Grupy. Młodzi ludzie brali udział w wycieczkach edukacyjnych, zwiedzając obiekty infrastruktury Enei, m.in. poligon szkoleniowy w Łagowie, Centralną Dyspozycję Mocy oraz elektrownie w Kozienicach i Połańcu. Dodatkowo, w ramach aktywnego wspierania szkolnictwa zawodowego oraz poszukiwania przyszłych kadr, Grupa bierze udział w wydarzeniach organizowanych przez szkoły i uczelnie, m.in. w targach edukacyjnych, pracy i praktyk.

MR

eprasa.pl a83b4f9e6a

Wszyscy przeciw Schetynie

Przewodniczący Platformy Obywatelskiej wcale opozycji nie jednoczy, a tylko „połknął" jej dwa słabe ogniwa



STANISŁAW JANECKI



Fot. Andrzej Wiktor

Przyłączenie się Barbary Nowackiej i części jej marginalnej Inicjatywy Polska do PO i Nowoczesnej to ostatni zysk Grzegorza Schetyny. Sposób działania przewodniczącego PO wobec Katarzyny Lubnauer i Barbary Nowackiej wykopał rów między Platformą a innymi ugrupowaniami opozycyjnymi. Wszyscy już wiedzą, że ze Schetyną nie da się współpracować na partnerskich zasadach. Przewodniczący PO najpierw nęci nową zdobycz, przedstawia ją jako partnera, by z czasem całkowicie zwasalizować i sprowadzić do roli pelargonii na własnym parapecie.

Przeciw przywództwu Schetyny w opozycji są SLD Włodzimierza Czarzastego, PSL Władysława Kosiniaka-Kamysza, Partia Razem Adriana Zandberga, zieloni, PPS, większość feministek, a także Robert Biedroń. Na nic nie przekładają się nieliczne koalicje PO (właściwie Koalicji Obywatelskiej) z SLD czy PSL, jak we Wrocławiu w związku z popieraniem Jacka Sutryka na prezydenta tego miasta. Akurat we Wrocławiu Platforma przyłączyła się do większości, żeby nie przeżywać goryczy porażki swego byłego już kandydata – Kazimierza Michała Ujazdowskiego.

GRZEGORZ, OSZUKAŃCU!

Już w maju 2018 r. lider SLD Włodzimierz Czarzasty mówił: „Słyszę codziennie od Grzegorza Schetyny: stwórzmy wielką koalicję, pójdźmy wspólnie przeciwko PiS-owi, elektoratowi PiS-u. My przeciwko elektoratowi PiS-u nie pójdziemy Mówi: zapraszam wszystkich. Nieprawda, Grzegorz. Nie zapraszasz wszystkich. […] Nie dzwoniłeś do Kosiniaka, Czarzastego, do nikogo, bo zacząłeś kampanię wyborczą i masz do tego prawo, mówię o tym bez żalu, […] ale chcę ci powiedzieć jedną rzecz: po prostu, oszukańcu, nie kłam. Po prostu nie kłam". W sierpniu 2018 r. Czarzasty mówił: „Koalicja Obywatelska nie jest żadną koalicją szerokich sił. […] Na razie jest tak, że Grzegorz Schetyna nazwał komitet, który będzie startował w wyborach, Koalicją Obywatelską. I nie ma nikogo w tym partyjnym komitecie poza Schetyną i Lubnauer. Nie wiem, dlaczego ciągle do mnie są kierowane pytania, dlaczego mnie tam nie ma. Mnie tam nie ma z takich samych powodów, z jakich nie ma tam Kosiniaka-Kamysza, Adriana Zandberga i innych partii. […] Ja nie jestem stworzony do klęczenia. Ja po prostu nie chcę być przedmiotem. Nie dam się tak traktować".

Podobnie o Grzegorzu Schetynie wypowiada się Robert Biedroń: „To jest wielkie oszustwo [Koalicja Obywatelska], bo Polacy już powiedzieli, że nie chcą Platformy Obywatelskiej w takiej formule". Gdy Barbara Nowacka przystąpiła do Koalicji Obywatelskiej, Biedroń powiedział, że „popełniła błąd", gdyż KO jest „bezideowa i Barbara się w niej rozpuści".

Prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz otwarcie Schetyny nie atakuje, gdyż ludowcy jako partia obrotowa i balansująca w sondażach na granicy progu wyborczego nie chcą ryzykować palenia mostów, ale też nie poparł żadnej „zjednoczeniowej" propozycji przewodniczącego PO. A lider Partii Razem Adrian Zandberg nawet nie chce słyszeć o współpracy z Platformą Grzegorza Schetyny.

Pod koniec września 2018 r. Grzegorz Schetyna dzieli opozycję znacznie bardziej niż rok wcześniej i te podziały rosną, a nie maleją. Liderzy innych

eprasa.pl a83b4f9e6a

ugrupowań opozycyjnych „przeczytali" strategię Schetyny, która polega na tym, żeby z partnera wyssać wszelkie soki i doprowadzić do takiego stanu, aby po ewentualnym rozwodzie została z niego tylko wydmuszka. Tak właśnie w ciągu kilku miesięcy stało się z Nowoczesną pod wodzą Katarzyny Lubnauer. I tak by się stało z Inicjatywą Polska, gdyby miała ona jakiekolwiek polityczne znaczenie i cała przystąpiła do Koalicji Obywatelskiej. Ale w tym wypadku chodzi wyłącznie o Barbarę Nowacką i jej lewicowych wyborców. Tyle tylko, że jest wątpliwe, żeby ci wyborcy pozostali w większości przy Nowackiej po wejściu przez nią w spółkę ze Schetyną. Raczej przerzucą swoje poparcie na nową inicjatywę Roberta Biedronia, gdy tylko przybierze ona jakąś konkretną postać. A wtedy poparcie dla Koalicji Obywatelskiej może się okazać jeszcze mniejsze niż obecnie.

Efekt jednoczących zabiegów przewodniczącego PO jest więc taki, że nie ma żadnego zjednoczenia opozycji, a wyniki osiągane przez PO w sondażach coraz częściej spadają poniżej 20 proc., poparcie dla Koalicji Obywatelskiej (po początkowym skoku związanym z efektem nowości i wrażeniem jednoczenia) nie przekracza zaś poziomu, jaki PO osiągała przed zawiązaniem KO i pozyskaniem Nowackiej.

JEDNOCZENIE PRZEZ ZJADANIE

Niechęć większości ugrupowań opozycyjnych do Grzegorza Schetyny nie oznacza nierealności zawierania koalicji, ale strach przed zaborczością przewodniczącego PO i wykopywane obecnie rowy bardzo utrudniają, a właściwie uniemożliwiają występowanie zjednoczonej opozycji zarówno w wyborach do Parlamentu Europejskiego (maj 2019 r.), jak i do Sejmu oraz Senatu (jesień 2019 r.). Nawet jeśli po wyborach samorządowych ugrupowania opozycyjne zawrą w terenie jakieś koalicje z PO, będą one doraźne i oparte na lokalnych interesach.

Sytuacja, gdy praktycznie wszyscy poważni gracze po opozycyjnej stronie są przeciw Schetynie, jest korzystna dla PiS, gdyż rozproszy głosy opozycji i sprawi, że 3–4 opozycyjne partie mogą nie przekroczyć progu, co dałoby PiS jeszcze większą premię w wyborach parlamentarnych, niż stało się to w 2015 r. Tym bardziej że PiS nie ma praktycznie konkurencji na prawicy: partia Wolność rzadko przekracza próg w sondażach, a narodowcy mają poparcie na poziomie 1–2 proc.

Właściwie nie powiódł się też manewr ideologiczny Schetyny, żeby wokół PO zbudować nowy Centrolew (pisałem o tym w poprzednim wydaniu tygodnika „Sieci" w tekście „Centrolew 2018"), skoro zdecydowana większość liderów formacji lewicowych jest przekonana, że chwilowa lewicowość Schetyny to tylko taktyczna gra. Platforma Schetyny nie ma żadnego wyraźnego politycznego oblicza, poza tym, że jest antypisowska, a gdy rządzi, jest po prostu partią władzy. Jest charakterystyczne, że tak bardzo reklamowany obecnie nowy programowy „sześciopak" PO pozostaje równie nieobecny w świadomości Polaków jak „sześciopak" z listopada 2017 r. (żadnego z elementów tego starszego nie potrafili wymienić pytani o to przeze mnie w Polskim Radiu 24 posłowie PO). Oznacza to, że Platforma nie kojarzy się z żadnym pozytywnym programem, choćby został on sformułowany (jak oba „sześciopaki"). Formalnie bezideowość PO powinna podnosić jej zdolność koalicyjną, faktycznie nie ma na nią żadnego wpływu, a wręcz podkreśla cynizm Grzegorza Schetyny i instrumentalne traktowanie przez niego różnych idei. Wspólnota programowa ewentualnej zjednoczonej opozycji jest więc zupełną fikcją.

> Pod koniec września 2018 r. Grzegorz Schetyna dzieli opozycję znacznie bardziej niż rok wcześniej i te podziały rosną, a nie maleją

Grzegorz Schetyna wygrał przywództwo po stronie opozycji, ale jest to najsłabsze przywództwo z możliwych, skoro Koalicji Obywatelskiej może przynieść poniżej 20 proc. głosów w skali kraju (w wyborach samorządowych w niektórych okręgach może być to ponad 20 proc.). I jest ono bardzo ograniczone, skoro Schetyna przewodzi tylko Katarzynie Lubnauer i Barbarze Nowackiej. Po wyborach samorządowych przewodniczący PO będzie bardziej skłonny do kompromisu, szczególnie wobec SLD i PSL, żeby za wszelką cenę uniemożliwić PiS rządzenie w jak największej liczbie sejmików wojewódzkich, ale to też nie przełoży się na możliwości porozumienia przed wyborami europejskimi oraz do Sejmu oraz Senatu.

Słabe przywództwo Schetyny na opozycji sprawia, że nie skończą się, lecz nasilą próby budowania nowej formacji liberalnej, centrowej bądź lewicowo-liberalnej. Tym bardziej że lewicowo-liberalne media tylko warunkowo popierają Schetynę i natychmiast to poparcie przeniosą na kogoś innego, jeśli ten ktoś się pojawi. Przewodniczący PO jest oczywiście tego świadom, więc będzie robił wszystko, żeby żadna nowa inicjatywa nie rozwinęła skrzydeł i mu nie zaszkodziła. Dotychczas był całkiem sprawny w takich grach, tyle że to nie zbliża go do odzyskania władzy.

Schetynie sprzyja natomiast wojna Komisji Europejskiej z polskim rządem i przeniesienie sporu do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. To on w największym stopniu zarządza tą wojną, korzystając z europosłów swojej partii oraz z polskich prawników pracujących w międzynarodowych instytucjach sądowych. Z tego choćby powodu nie należy Grzegorza Schetyny lekceważyć. Tym bardziej że od kilku miesięcy widać jego coraz większą radykalizację, by przelicytować innych radykałów po stronie opozycji (pisałem o tym w „Sieci" w tekście „Szaleństwo Schetyny") oraz udowodnić, że poradzi sobie bez ewentualnej pomocy Donalda Tuska.

eprasa.pl a83b4f9e6a

Jesteśmy botami



Zamiast podjąć refleksję nad przyczynami porażki własnego obozu, „Gazeta Wyborcza" woli tworzyć spiskowe teorie z pogranicza science fiction o robotach wygrywających wybory w Polsce. Wynika z nich, że Polacy zagłosowali za prawicą, bo są po prostu nierozgarnięci i dali się uwieść fikcyjnym kontom umieszczonym w internecie



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Pamiętam, jak mniej więcej miesiąc temu w sieci pojawiły się niepokojące doniesienia o szykowanej na połowę września wielkiej bombie, która doprowadzi do dymisji prezydenta Andrzeja Dudy. Nikt z wtajemniczonych nie chciał pisnąć słowa, o jaką bombę chodzi, niektórzy – ci bardziej wzmożeni – zaklinali się za to, że „naruszanie konstytucji i niszczenie sądów" to pestka w porównaniu z kłopotami, jakie czekają Andrzeja Dudę, gdy owa bomba już wybuchnie. Spekulowano też, że rezygnacja Krzysztofa Łapińskiego ze stanowiska rzecznika prezydenta to ucieczka z tonącego okrętu. Łapiński – jak sugerowano – wolał niepewną karierę w biznesie od politycznej śmierci w wyniku wybuchu bomby.

Te apokaliptyczne wizje, w których rozpowszechnianiu brali udział również niektórzy dziennikarze, wyglądały na rodzaj przygotowania artyleryjskiego przed ostateczną ofensywą antypisu. Jednak zamiast ofensywy i zapowiadanego gradu pocisków największego kalibru usłyszeliśmy nad linią przeciwnika dość niewyraźne pacnięcie pojedynczego kapiszona. A zaraz potem zapadła smętna cisza.

SPISEK DUDY

Ową szykowaną w najgłębszej tajemnicy bombą, która miała zawrócić bieg dziejów w Polsce, okazał się bowiem osobliwy artykuł w „Gazecie Wyborczej". Jego autor (jak zawsze obsesyjnie antypisowski Wojciech Czuchnowski) postawił dość ekscentryczną – nawet jak na standardy „Wyborczej" – tezę, że Andrzej Duda wygrał wybory w 2015 r. dzięki poparciu botów.

Boty to specjalnie zaprogramowane, fałszywe konta w internecie, które udają realnych użytkowników. Dzięki nim pojedyncza informacja, która normalnie mogłaby pozostać przez nikogo niezauważona, jest automatycznie powielana przez tysiące fałszywych kont i tym samym dociera do szerokiej grupy użytkowników sieci, kształtując ich poglądy i wpływając na ocenę rzeczywistości. Boty wywołują efekt skali. Chcąc uzyskać podobny zasięg, należałoby bowiem zatrudnić tysiące ludzi, aby każdego dnia wstukiwali do internetu pożądane treści. Tu te tysiące ludzi zastępuje automat. Wykorzystanie botów jest znacznie tańsze i bardziej dyskretne. Jest również legalne,

eprasa.pl a83b4f9e6a



o ile rozpowszechniane za ich pomocą informacje nie naruszają prawa.

Z botów korzysta coraz więcej firm próbujących w ten sposób zareklamować swoje produkty lub budować własną rozpoznawalność. Pozostaje oczywiście pytanie, czy takie działania są etyczne, ale podobny problem dotyczy reklamy, której celem również jest skłonienie odbiorcy do określonych zachowań.

Wróćmy jednak do „Wyborczej". Według gazety w lutym 2015 r. sztab Andrzeja Dudy zapłacił nieznanej nikomu firmie 50 tys. zł, aby ta stworzyła 5 tys. fikcyjnych kont (botów) i za ich pośrednictwem rozpowszechniła w sieci tysiąc informacji dyskredytujących Bronisława Komorowskiego oraz ukazujących w pozytywnym świetle kandydata PiS. Dzięki botom – jak dowodzi Wojciech Czuchnowski – udało się przedstawić wizytę Komorowskiego w Japonii (podczas której ówczesny pan prezydent stanął na krześle i nawoływał szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego słowami: „Chodź, mój szogunie") jako kompromitację głowy państwa. I to właśnie spowodowało, że wyborcy przerzucili swoje głosy na Dudę.

> Jak wynika z artykułu w „Wyborczej", Komorowski przegrał wybory po nierównej walce stoczonej ze śmiesznymi memami wysyłanymi przez nikomu nieznaną firmę

STRZAŁ Z KAPISZONA

Historia opisana w „Wyborczej" opiera się na dwóch filarach (choć biorąc pod uwagę ciężar użytej argumentacji, trafniej byłoby powiedzieć na dwóch patykach). Pierwszym jest załącznik do umowy podpisanej przez sztab Andrzeja Dudy z firmą wykorzystującą boty. Gazeta ustaliła jej właściciela, który jednak nie reagował na zadawane mu pytania. Za to szczęśliwie udało się rozszyfrować dziwną, meksykańską nazwę firmy, oznaczającą – jak wyjaśnił Czuchnowski – mitycznego niedźwiedzia skrzyżowanego z gadem, który nocą zakrada się do zagród, gdzie atakuje owce i kozy, wysysając z nich krew. To odkrycie zapewne utwierdziło autora

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

42/0818/F

eprasa.pl a83b4f9e6a

„Wyborczej" w przekonaniu, że opisywane przez niego przedsięwzięcie jest bardzo podejrzane.

Problem w tym, że gdyby w istocie było ono podejrzane lub nielegalne, to umowa nie zostałaby dołączona do oficjalnego sprawozdania finansowego sztabu Dudy i Czuchnowski nigdy nie odnalazłby jej w Państwowej Komisji Wyborczej.

Jednak i tu jest wytłumaczenie: w 2015 r. nikt nie wiedział, co to są boty, więc Duda niczym się nie przejmował. Co prawda chwilę wcześniej czytamy coś dokładnie odwrotnego – że w kwietniu 2015 r., po dwóch miesiącach obowiązywania umowy, sztab Dudy odwołał zlecenie, aby zatrzeć ślady po botach. Zastanawia więc, po co miał zacierać ślady, skoro jednocześnie się nimi nie przejmował. Na to pytanie „Wyborcza" już jednak nie odpowiada.

Poza tym – jak czytamy – boty pomogły wygrać Donaldowi Trumpowi, więc niejako oczywiste jest, że w przypadku Dudy musiało być tak samo. W końcu w normalnych okolicznościach nikt nie głosowałby ani na jednego, ani na drugiego. Wniosek jest więc prosty: to musiał być spisek.

Teorię spisku pomaga rozwinąć – i to jest drugi „filar" tekstu – socjolożka Anna Mierzyńska, jedyna „ekspertka", która wypowiada się w artykule. Mierzyńska wyjaśnia, że „co trzeci tweet o prawicowym zabarwieniu to tweet płatnego trolla". Tweet, czyli inaczej wpis opublikowany na Twitterze – popularnej internetowej platformie społecznościowej. Płatny troll to z kolei osoba (realna), która w zamian za pieniądze rozpowszechnia określone treści w internecie. Krótko mówiąc – Mierzyńska potwierdza założoną tezę, że większość prawicowych użytkowników internetu w rzeczywistości nie istnieje, bo są to płatni trolle lub roboty. I – jak można wnioskować z artykułu – to głównie dzięki ich aktywności PiS wygrało wybory.

Anna Mierzyńska nie jest bezstronną ekspertką. Jeszcze do niedawna była działaczką Platformy Obywatelskiej, a wcześniej szerzej nieznaną asystentką białostockiego posła PO Roberta Tyszkiewicza. Zrezygnowała jednak z pracy dla posła i zdecydowała się poszukać swojej szansy w branży piarowskiej. Jak można przeczytać w zamieszczonej przez nią ofercie, proponuje ona klientom usługi „budowania wizerunku" w sieci, aby uchronić ich od upadku „w ciągu kilku minut na samo dno". Niewykluczone, że klientem pani Mierzyńskiej jest również kandydat PO na prezydenta Warszawy Rafał Trzaskowski, bo i on stał się obiektem jej twitterowych badań. W czerwcu, w trakcie ciężkiej, kilkugodzinnej pracy analitycznej Anna Mierzyńska – jak chyba łatwo przewidzieć – odkryła „klasyczne, ciężko pracujące boty – wszystkie działające na rzecz Patryka Jakiego, a przeciwko Trzaskowskiemu". Możliwe zatem, że szykuje się nam już kolejna bomba – tym razem okaże się, że i Patryk Jaki zaatakował Warszawę na czele armii robotów.

KOMOROWSKI W CENIE GOLFA

Co wynika z artykułu Czuchnowskiego? Po pierwsze, że wystarczyło zainwestować 50 tys. zł, czyli równowartość dwuletniego volkswagena golfa, aby pokonać w wyborach Bronisława Komorowskiego. Po drugie, że Komorowski – mimo ogromnego wsparcia udzielanego mu przez wszystkie największe media – padł w nierównej walce ze śmiesznymi memami umieszczanymi w internecie przez nikomu nieznaną firmę. Po trzecie, że miliony Polaków przez całą dobę siedzą przed komputerem, obserwując uważnie fikcyjne konta. I po czwarte wreszcie, że te miliony Polaków są skończonymi kretynami, bo przecież tylko kretynów można uwieść i przeciągnąć na swoją stronę kilkoma obrazkami umieszczonymi w internecie.

> Skoro – zdaniem antypisu – wyborca jest idiotą, a wszystko jest kwestią manipulacji, to po co w ogóle rozmawiać z idiotami, pisać dla nich programy polityczne, a potem je realizować?

Oznacza to, że w ocenie „Wyborczej" żyjemy dziś w jakimś potwornym miejscu, gdzieś między republiką bananową a bantustanem. Jeżeli „Gazeta Wyborcza" naprawdę wierzy w to, co sama opublikowała, to jest z nią znacznie gorzej, niż się dotąd wydawało.

Redakcji z Czerskiej nie przychodzi oczywiście do głowy znacznie prostsze wyjaśnienie fenomenu Dudy – że pokonał Komorowskiego nie dzięki memom i botom, ale dlatego, że wyborcy mieli już serdecznie dość rządów Platformy. Jednak zamiast podjąć refleksję nad przyczynami porażki własnego obozu, „Wyborcza" woli tworzyć spiskowe teorie z pogranicza science fiction o robotach wygrywających wybory w Polsce. Już od dłuższego czasu – a artykuł Czuchnowskiego jest tego kolejnym przykładem – „Wyborcza" coraz bardziej odkleja się od rzeczywistości, stając się pismem skierowanym głównie do fanatycznych wrogów Prawa i Sprawiedliwości. Bo tylko fanatycy skłonni są chyba uwierzyć w bajkę, że wygraną PiS zapewniły roboty manipulujące wyborcami. I gdyby nie te roboty, to wszystko pozostałoby po staremu.

Opisywane zjawisko – wykorzystywania botów w walce politycznej – oczywiście istnieje, ale założenie, że wyborcy, oddając głos, ochoczo kierują się podpowiedziami z fikcyjnych kont, musi prowadzić do konkluzji, że nie potrafią oni samodzielnie myśleć, a zatem są głupcami. A skoro są głupcami, to wystarczy odciąć ich od prawicowych treści (które przecież są fałszywe) i natychmiast zaczną głosować zgodnie z oczekiwaniami.

Utwierdzanie się antypisowskiej opozycji w przekonaniu, że wyborca jest idiotą, wiele nam mówi o niej samej. Bo skoro – zdaniem antypisu – wszystko jest kwestią manipulacji, to po co w ogóle rozmawiać z idiotami, pisać dla nich programy polityczne, a potem je realizować? Wystarczy przecież odpowiednio zaprogramować bota. A wtedy idiota odda właściwy głos.

eprasa.pl a83b4f9e6a



Fot. Shutterstock

W Zielonej Strefie?

Ameryka i Polska się upodabniają. Tyle że nie ma się z czego cieszyć



PIOTR SKWIECIŃSKI

Eurodeputowana Róża Thun-Woźniakowska powiedziała niedawno, że rządy PiS w Polsce to po prostu nowa wersja rabacji Jakuba Szeli – jest „tak jak wtedy, chodzi o to, żeby wszystko wyrżnąć".

Wypowiedź ta zawiera dwie cenne treści. Po pierwsze, Thun-Woźniakowska uznała za możliwe porównanie rządów demokratycznie wybranej polskiej władzy, która nie tylko nikogo nie zabiła, lecz też nie wsadziła do więzienia, do kampanii masowych morderstw. Po drugie, i to chyba nawet cenniejsze, w słowach eurodeputowanej PO odczytać można uznanie polskiego konfliktu za klasowy. Przecież rabacja galicyjska była właśnie konfliktem klasowym. Co więcej, ofiarami zbuntowanego ludu padały wtedy elity. I teraz też w optyce krakowskiej intelektualistki padają, a że ofiary nie są krwawe, to według Thun-Woźniakowskiej nie zmienia istoty rzeczy.

Na gruncie polskim tego rodzaju enuncjacje to wciąż jeszcze nie jest coś typowego. Ale gdyby polska polityczka była Amerykanką, to na tamtym terenie jej wypowiedź byłaby znacznie bardziej standardowa. Tego rodzaju deklaracji wypowiadanych przez przedstawicieli mainstreamowego odłamu tamtejszych elit jest bowiem w Stanach multum. Deklaracji wręcz treściowo podobnych. Oczywiście nikt tam nie porównuje Trumpa ani jego zaplecza z ruchu alt-right do Szeli, to polska specyfika. Amerykańską jest raczej uznawanie obecnego prezydenta i tych, którzy na niego głosowali, za współczesną inkarnację Konfederacji Południa i Ku-Klux-Klanu.

Polska i Stany Zjednoczone w ciągu ostatnich kilku lat się upodabniają. I wcale nie jest to powód do zadowolenia.

U NAS JEST LEPIEJ NIŻ TAM

W obu krajach – i to jest główne podobieństwo – gros dotychczasowych elit (przy czym oprócz podobieństw są znaczące różnice; w USA elita pieniądza jest podzielona, w Polsce niemal bez reszty sympatyzuje z opozycją, ale z kolei jeśli za elitę uznać po prostu wszystkich tych, którzy się za nią uważają, to w tak rozumianej grupie proporcje sympatyków i przeciwników obecnych władz nad Wisłą i Potomakiem będą podobne) nie jest w stanie się pogodzić z dojściem do władzy ludzi, którymi te elity głęboko pogardzają. W obu krajach owocuje to erupcjami pogardy dla rządzących i czymś w rodzaju rebelii establishmentu.

Przy czym, i to dla polskich zwolenników PiS będzie raczej niespodzianką, choć idzie to w podobnym kierunku, to zarazem w naszym kraju sytuacja władzy jest znacznie lepsza niż w Ameryce. W kilku wymiarach.

eprasa.pl a83b4f9e6a

Po pierwsze, poziom histerii i agresji jest u nas mniejszy. Tak jest – mniejszy. W Waszyngtonie np. zdarzyło się kilka przypadków, kiedy „funkcjonariusze reżimu Trumpa" byli wyrzucani przez właścicieli z restauracji, do których przyszli normalnie, jako prywatni klienci. Ba, zdarzało się, że wyrzucający szli za wyrzucanymi i gdy ci wchodzili do innej restauracji, namawiali jej personel lub właściciele, by usunęli ich i stamtąd.

Po takim incydencie w lexingtońskiej restauracji Red Hen (ofiarą padła sekretarz prasowa Białego Domu Sarah Sanders) demokratyczna członkini Izby Reprezentantów Maxine Waters publicznie wezwała, by takie zachowania stały się regułą. „Jeśli zobaczycie kogoś z rządu w restauracji, w sklepie czy na stacji benzynowej, gromadźcie się i twórzcie tłum. I wypychajcie ich stamtąd. Niech ci członkowie administracji, którzy pozostają na stanowiskach i bronią Trumpa, nie będą w stanie iść do restauracji, zatrzymać się na stacji benzynowej czy zrobić zakupów" – zaapelowała. Co poparł filozof Gerald Postema, konkludując swój artykuł słowami: „Odmowa obsłużenia osoby oficjalnej, która naszym zdaniem zachowuje się niemoralnie, a nawet stwarzanie atmosfery, w której takie osoby będą czuły się niepożądane, jest usprawiedliwione".

W Polsce jesteśmy wciąż daleko od takich standardów. Choć chyba nie ze względu na mniejszy poziom nienawiści, tylko na z reguły niezauważaną cechę narodową Polaków, jaką jest letniość. I niechęć do wyciągania konsekwencji z wyznawanych idei.

Ale nie tak daleko, jak chcielibyśmy sądzić. Bo kiedy wyrzucona z Red Hen Sanders opisała swoje przejścia na Twitterze, były (z czasów Obamy, oczywiście) szef federalnego Urzędu Etyki Rządowej Walter Shaub pośpieszył z oświadczeniem, że w ten sposób pani sekretarz... złamała prawo, a konkretnie przepisy dotyczące standardów zachowania urzędników administracji. Bo użyła oficjalnego konta na Twitterze, „by z przyczyn prywatnych potępić prywatnego przedsiębiorcę", co oznacza że „użyła swego urzędu, by wywrzeć na niego nacisk".

Ten pełen hipokryzji wywód bardzo przypomina niezliczone enuncjacje polskich polityków i mediów opozycyjnych. Na przykład nagonka na Zbigniewa Ziobrę za to, że nie pogodził się z wątpliwościami co do roli lekarzy w związku ze śmiercią jego ojca, czy oskarżanie o złamanie prawa marszałka Sejmu za to, że bojąc się okupacji budynku parlamentu, ograniczył możliwość wchodzenia do niego osób postronnych, kojarzą mi się nieodparcie z argumentacją Shauba.

STWORY Z BAGIEN

Ale podobieństwa można by mnożyć. I wiele znanych zza Atlantyku sytuacji, w które zachodniemu Europejczykowi trudno uwierzyć, w polskich uszach brzmi do bólu znajomo. Oto sekretarz zasobów wewnętrznych Rian Zinke ocenia na zebraniu rady resortu (a jego słowa natychmiast przeciekają na zewnątrz), że około 30 proc. jego urzędników jest wobec nowego kierownictwa nielojalnych, a sytuację swoją i swej ekipy porównuje do sytuacji desantu, który abordażem zdobył wrogi statek na pełnym morzu i próbuje nim sterować, zmieniając jednocześnie kurs za pomocą załogi, która nowego kursu bardzo nie chce, a nowemu kapitanowi i jego kompanom życzy bardzo źle.

W odpowiedzi część urzędników resortu Zinkego zaczyna nosić T-shirty z napisem „30-procentowo nielojalny".

Jakiś czas temu Grzegorz Górny opowiedział na łamach „Sieci" pouczającą historię. Oto za czasów, gdy w Warszawie rządziła AWS, a w Budapeszcie po raz pierwszy Viktor Orbán, oba rządy postanowiły utworzyć wspólną, polsko-węgierską fundację. Potrzebne decyzje zapadły, Węgrzy dopięli po swojej stronie wszystko na ostatni guzik i byli pod parą, a po naszej niby nie było przeszkód, tylko... jakoś nic się nie działo. Aż do momentu, kiedy w obu krajach prawica przegrała wybory. A wtedy pewien znany z nazwiska dyrektor departamentu z MSZ otwarcie się pochwalił, jak to on sam, wbrew woli swoich nominalnych zwierzchników, przez lata dyskretnie a skutecznie blokował powołanie fundacji (bo miał inną koncepcję polityki zagranicznej).

Ten dyrektor pochwalił się tym otwarcie. A ileż było (i nie mam pewności, czy słusznie używam tu czasu przeszłego) sytuacji analogicznych, tylko do dziś ukrytych?

I to z kolei niegdyś w amerykańskich uszach brzmiałoby egzotycznie, ale dziś – znajomo. Bo dziś anonimowy, wysoki urzędnik federalny pisze do „New York Timesa" list, w którym przedstawia się jako członek nieoficjalnego ruchu oporu pracowników administracji, skierowanego przeciw urzędującemu – legalnie wybranemu – prezydentowi. Inny wysoki urzędnik, jeśli wierzyć dziennikarzowi Bobowi Woodwardowi, kradnie z biurka Trumpa projekt prezydenckiej dyrektywy, bo po prostu... uważa ją za niesłuszną.

I w Ameryce, i w Polsce nowi rządzący odczuwają głęboką nieufność, by nie rzec wrogość, wobec podległego im aparatu; mają tendencję do traktowania go jako przeciwnika. Dodajmy, że często jest to przesada, ale też często reakcja w pełni racjonalna. Sam Trump już parę razy otwarcie się angażował w kampanie przeciwko wymienianym z nazwiska członkom administracji (niekoniecznie wprost mu podległych; w Ameryce istnieje daleko posunięta autonomia różnych członów władzy). Jeszcze jako kandydat użył specjalnego określenia – swamp creatures, czyli stwory z bagna. Miał wtedy na myśli waszyngtońskich, skorumpowanych insiderów, ale dziś jego przeciwnicy rozszerzają znaczenie tej frazy – upowszechniają koncepcję, że prezydent określił tak całą, tę mu przeciwną czy nawet tylko nieutożsamiającą się z nim, amerykańską zawodową klasę polityczną. Jeśli komuś nad Wisłą przypomni się w tym momencie użytek, jaki polska opozycja zrobiła z „gorszego sortu", „zdradzieckich mord" czy innych metafor Jarosława Kaczyńskiego, to nie będę zdziwiony.

ZŁOGI WALCZĄ

Oczywiście są też zasadnicze różnice między sytuacją polską a amerykańską. W Stanach, nawet ery Trumpa, urzędnik zaatakowany za prawdziwą czy rzekomą nielojalność może liczyć na obronę ze strony innych, de facto nieusuwalnych, federalnych urzędników. Biuro Generalnego Inspektora (federalny, niezależny urząd mający dbać o to, by organy administracji nie angażowały się w nielegalne operacje) rozpo-

eprasa.pl a83b4f9e6a

częło dochodzenie w sprawie Mari Stull, nominowanej przez Trumpa na stanowisko w Biurze Organizacji Międzynarodowych Departamentu Stanu. A to dlatego, że podobno lustrowała zatrudnionych w ONZ amerykańskich urzędników pod kątem lojalności wobec Trumpa.

Jeśli wierzyć w apolityczność amerykańskiego korpusu urzędniczego, można by Stull potępić, a aktywność Generalnego Inspektora pochwalić. Tylko że znając fakty, trudno w to w pełni uwierzyć. Czytając zaś amerykańską prasę można odnieść wrażenie, iż co najmniej część krytyków Trumpa szczerze uważa, że uczciwy urzędnik federalny z natury musi być nastawiony przeciw wszystkiemu, co reprezentuje Trump i jego obóz, zwalczać go i sabotować. Tylko zarazem „demokratycznej opinii" nie wolno tego wprost wyartykułować, żeby tym urzędnikom nie zaszkodzić. Albo ta opinia naprawdę tego nie zauważa – bo przecież mainstreamowe poglądy to nie żadne tam poglądy, tylko normalność i oczywistość. Brzmi znajomo?

Można by w tej sytuacji uznać, że rację ma Steve Bannon, były szef doradców Trumpa, gdy mówi, że trwa „administracyjny zamach stanu" mający prezydenta usunąć. Tylko że, żeby skomplikować obraz, trzeba stwierdzić, że rzeczywistość amerykańskiej administracji to pod Trumpem rzeczywistość chaosu. W części będącego efektem nastawienia urzędników do nowych szefów, ale w części nastawienia tychże szefów, ich skłonności do postrzegania świata jako wielkiego wymierzonego w nich spisku.

> I w Ameryce, i w Polsce nowi rządzący odczuwają głęboką nieufność, by nie rzec wrogość, wobec podległych im urzędników

Wspomniana Stull i jej szef Kevin Moley niemal sparaliżowali pracę podległego im Biura poprzez praktykę niezapraszania swoich wysokich urzędników na spotkania z zagranicznymi partnerami i nieinformowania ich o rezultatach tych spotkań. W efekcie urzędnicy nie wiedzieli, jaka jest linia USA w rozmaitych kwestiach międzynarodowych i czuli się zmuszeni do dyskretnego wypytywania o to dyplomatów z innych krajów. Znów – kilka lat temu coś takiego nie mieściło się w głowie Amerykanów. Ale weterani polskiej machiny rządowej mogliby opowiedzieć wiele analogicznych historyjek...

No i – to trzeba powiedzieć – ekstrawagancka umysłowość samego Trumpa powodowała już kilkakrotnie, że spontaniczne deklaracje prezydenta były natychmiast korygowane nie przez jakieś tam złogi po Obamie („Obama holdovers" znaczy właśnie to – nawet w dziedzinie politycznego języka Ameryka i Polska przybliżają się do siebie), tylko przez jego własnych nominatów. Tak było np. z deklaracją o umorzeniu długu Puerto Rico, zapowiedzią Trumpa, że chce się spotkać z przywódcami Iranu bez żadnych warunków wstępnych, czy jego odmową potwierdzenia automatyzmu obrony przez US Army członków NATO. To oczywiście specyfika obecnej Ameryki; czegoś takiego nie odnotowujemy ani w Polsce, ani w żadnym innym kraju zachodnim.

KULTURA JEDNOMYŚLNOŚCI

Istnieje natomiast pewien, jeszcze niewymieniony element wspólny sytuacji w Polsce i USA. Element być może najgroźniejszy.

„W niektórych biurach jest już oczywiste, że musisz demonstrować, iż jesteś republikaninem, jeśli chcesz awansować" – pisze „Vanity Fair". I dodaje, że około połowa pracowników jest tym przestraszona i przestaje się dzielić w pracy swymi opiniami dotyczącymi kontrowersyjnych spraw służbowych – bo sytuacja, w której prezydent osobiście angażuje się w kampanie atakowania urzędników służby cywilnej, ma efekt mrożący.

Ale co w tym niebezpiecznego?

Publicysta „New Yorkera" Evan Osmos wspomina czas, gdy jako młody reporter był w Iraku, w czasie wojny i po niej. Amerykańska kwatera główna – i wojskowa, i cywilna – znalazła się w tzw. Zielonej Strefie – ufortyfikowanej, bezpiecznej i ściśle oddzielonej od reszty kraju enklawie.

„Zielona Strefa funkcjonowała jak przedłużenie Białego Domu" – pisze Osmos. Była pełna urzędników służby cywilnej, basenów i kelnerów w krawatach, którzy serwowali najlepszą whisky. Jednak po około roku, gdy problemy zaczęły się mnożyć i widać było, że pierwotny optymizm tyczący przekształcania Iraku zawiódł, urzędnicy zaczęli wracać do domu. Wtedy kierownictwo (a była to era Busha) zaczęło zapełniać wakaty lojalistami. Młodymi lojalistami, których pierwszą po studiach pracą było konstruowanie i nadzorowanie budżetu całego kraju... Rekrutowanymi w konserwatywnych fundacjach, a na rozmowach kwalifikacyjnych pytanymi, czy głosowali na Busha i jaki mają stosunek do aborcji.

W rezultacie w Zielonej Strefie wytworzyła się kultura politycznej i ideologicznej jednomyślności. Ludzie pozostający na zewnątrz dostrzegali wszystkie błędy okupacyjnej administracji, widzieli, że sytuacja nie rozwija się w dobrym kierunku. Ale wewnątrz komfortowej strefy ideologiczna retoryka zagłuszała rzeczywistość. „Ta filozofia rządzenia, zdominowana przez kryterium lojalności i niechęć do ekspertów, doprowadziła do katastrofy" – pisze publicysta. Nie było bowiem komu powiedzieć kierownictwu prawdy, przestrzec go przed zagrożeniami. Zdolnych do tego system wypluł.

Osmos uważa, że sytuacja wytwarzana przez konflikt ekipy Trumpa z administracją może zrodzić podobny efekt, tylko że tym razem w skali całej Ameryki. Bo rządzący, pozbywając się lub uciszając wewnętrznych krytyków, pozbawiają się systemu wczesnego ostrzegania, więc nieuchronnie zaczną wpadać na miny, których po prostu nie dostrzegą. Dodajmy, że ten rezultat zupełnie nie zależy od tego, czyją bardziej winą jest powodujący go konflikt.

Czy rządzący – i Ameryką, i Polską – znają sposób, by ustrzec się efektu Zielonej Strefy?

eprasa.pl a83b4f9e6a

Cafe



Zdjęcia Bartek Sadowski

To na mapie Polski wyjątkowe miejsce. Kawiarnianych gości obsługują tu niepełnosprawni. Dla nich to doskonała terapia i nauka życia. Dla gości korepetycje z człowieczeństwa



DOROTA ŁOSIEWICZ

Do Cafe Równik, która mieści się we Wrocławiu przy ul. Jedności Narodowej 47, wpadam chwilę po 12.00 Okazuje się, że w zielonej sukience idealnie komponuję się z pracującymi tam niepełnosprawnymi kelnerami, którzy noszą zielone fartuszki. Kawę zamawiam u Piotra, do stolika przynosi ją Kuba. Piotr zadaje mi wiele pytań: o gazetę, o pracę, jest ciekawy wszystkiego. Sam opowiada, że chciałby studiować pedagogikę, bo lubi pomagać innym. Gdy godzinę później dowiem się od prof. Małgorzaty Młynarskiej, prezes Stowarzyszenia Twórców i Zwolenników Psychostymulacji, które prowadzi kawiarnię, że w dzieciństwie Piotr cierpiał na ciężki autyzm, w wieku czterech lat nie mówił, niewiele rozumiał, a jako nastolatek był dramatycznie aspołeczny, będzie mi trudno w to uwierzyć. Kuba, który ma zespół Downa, jest zdecydowanie mniej rozmowny, ale przyznaje, że Równik to jego miejsce na ziemi. Kuba, który kiedyś prawie nie mówił i porozumiewał się głównie za pomocą pantomimy, poleca mi swoje ulubione ciasto: orzechowiec. Faktycznie rozpływa się w ustach.

DZIESIĘCIU WSPANIAŁYCH

W Cafe Równik pracuje dziesięcioro kelnerów. Ośmiu chłopców: Albert, Fabian, Kuba, dwóch Piotrów, Jacek, Michał i Marcin, oraz dwie dziewczyny: Klaudia i Paulina. Wszystkim życie rzuciło pod nogi kłody w postaci: zespołu Downa, zespołu Aspergera, autyzmu i innych trudności. Jednak każdy z zatrudnionych w kawiarni kelnerów to prawdziwa osobowość. Wszyscy przekroczyli bariery, które wydawały się nieprzekraczalne. Wszyscy są podopiecznymi prof. Małgorzaty Młynar-

eprasa.pl a83b4f9e6a



skiej i dr. Tomasza Smereki z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Cafe Równik wystartowała 21 czerwca br., a pomysł na kawiarnię zrodził się w 2014 r. podczas turnusu rehabilitacyjnego. Żeby jednak zrozumieć, jak wiele znaczy dla wszystkich związanych z nią ludzi, trzeba się cofnąć w czasie kilka dekad.

Prof. Młynarska od ponad 40 lat zajmuje się terapią osób z zaburzeniami mowy. Tych z autyzmem, afazją, po wylewach. Z czasem zaczęła prowadzić równolegle badania naukowe w tym kierunku. W 1990 r. prof. Młynarska wraz z dr. hab. Smereką opracowali autorską metodę terapii zwaną Dyna-Lingua M.S. Okazało się, że pomysły terapeutyczne duetu naukowców przyspieszają proces włączania ich podopiecznych w proces komunikacji. Upraszczając, to metoda holistyczna, bazująca na pracy z całym ciałem podopiecznego, nieograniczająca się wyłącznie do pracy z aparatem mowy. Bo naukowcy zauważyli, że przetwarzanie informacji, rozwój myślenia są tak samo ważne jak artykulacja. Duet rozwijał metodę pod patronatem Uniwersytetu Wrocławskiego, pod opieką prof. Jana Miodka. W tym czasie powstał profesjonalny ośrodek terapeutyczny.

– Te dzieci, które do nas przyszły grubo ponad 20 lat temu, gdy zaczęliśmy rozwijać metodę Dyna-Lingua M.S., to właśnie ci pracujący tu dziś chłopcy. Oni dojrzewali pod naszym okiem, a wraz z nimi dojrzewała nasz metoda – relacjonuje prof. Młynarska. – Jakieś pięć lat temu stwierdziliśmy, że nasza rola wobec podopiecznych musi się zmienić. Oni weszli w fazę aktywizacji, pokończyli szkoły, a rodzice zaczęli zadawać pytania: „Co w dorosłości będą robić nasze dzieci?". Pomyśleliśmy więc, że można ich włączyć w terapię maluchów. To był strzał w dziesiątkę! Piotr, który w dzieciństwie miał ciężki autyzm, doskonale wiedział, jak pracować z dziećmi, które były takie jak on, gdy był mały. Nasi podopieczni zrobili niebywały postęp! – opowiada prof. Młynarska.

Piotr pierwszy został asystentem terapeuty. W jego ślady poszli niepełnosprawni koledzy. Pani profesor zrozumiała wówczas, że jej dotychczasowi, dorośli już podopieczni mogą pracować, dawać coś z siebie. Nie są już ludźmi, którzy wymagają wyłącznie opieki. I tak ustalono dyżury w ośrodku, gdzie chłopcy asystowali rehabilitantom, ucząc się jednocześnie zwykłego życia: sprzątania, zmywania, robienia zakupów.

– I w takich okolicznościach nastał turnus rehabilitacyjny w 2014 r. Podczas tego wyjazdu przeprowadziliśmy akcję terapeutyczną polegającą na ulicznej sprzedaży wcześniej przygotowanych książek. Wszystko było oczywiście załatwione z władzami Dusznik-Zdroju. Okazało się, że chłopcy świetnie radzili sobie z nawiązywaniem relacji z ludźmi na ulicy, mając biznesową motywację – chęć zysku. Wiedzieli, że za zarobione pieniądze pojadą do Rzymu. Ludzie szybko ich polubili. Wtedy przeżyliśmy olśnienie i narodził się pomysł kawiarni – z wypiekami na twarzy relacjonuje Małgorzata Młynarska. – Zrozumieliśmy, że oni muszą mieć miejsce, w którym będą mogli pracować, i to będzie jednocześnie forma dalszej terapii. Zawód kelnera wymaga rozmowy, komunikacji – dodaje.



NIEMOŻLIWE STAJE SIĘ MOŻLIWE

Przedsięwzięcie stało się realne, gdy jesienią ub.r. udało się zdobyć unijny grant, a miasto przekazało lokal przy ul. Jedności Narodowej 47. Z kolei w internetowej zbiórce udało się zebrać 50 tys. zł na remont. Wtedy zaczęła się dla wszystkich ciężka praca.

– Na szczęście rodzice zakasali rękawy, włączyli się czynnie. Wszystko tu zrobiliśmy sami. Może tylko za układanie płytek zapłaciliśmy. A ci chłopcy jak ciężko pracowali! – opowiada Lech Doroszuk (tata Jacka), który czynnie wspiera pracę kawiarni.

eprasa.pl a83b4f9e6a



Początki nie były łatwe, ponieważ lokal, który na preferencyjnych warunkach udostępniło miasto, nie był przystosowany do prowadzenia gastronomii. Trzeba było przebudować kanalizację, instalację wodną i zamontować wentylację. Jednak dla chcącego nic trudnego.

Zanim rozpoczęli pracę w Cafe Równik, przyszli kelnerzy przeszli szkolenie w Agawie – restauracji w parku Południowym. Tam uczyli się, jak profesjonalnie obsłużyć gości. Właścicielką restauracji jest koleżanka Lecha Doroszuka, która znała Jacka od dzieciństwa. – Kiedyś pojawili się goście, którym się nie podobało, że obsługują ich niepełnosprawni. Powiedzieli, że odczuwali dyskomfort. Bywa i tak – mówi prof. Młynarska.

TERAPIA PRZEZ PRACĘ

W Cafe Równik nikomu to nie przeszkadza. A jeśli ktoś ma z tym problem, po prostu tu nie przychodzi. To nie tylko miejsce integracji osób niepełnosprawnych, lecz także ich dalszej terapii i działalności naukowej. Nad pracą kelnerów czuwa dwójka asystentów: Alicja i Wojtek – studenci logopedii. Są tu na stażu. – Będą z nich dobrzy rehabilitanci w przyszłości – nie ma wątpliwości prof. Młynarska.

– Muszę bardzo uważać, żeby pomagając kelnerom, nie zrobić im przykrości, by nie mieli poczucia, że podpowiadam im, co robić – śmieje się Alicja Stożek, wspomniana studentka.

W kuchni Równika pracują dwie mamy zatrudnionych osób, od października dołączy osoba głucha.

– Osoby niepełnosprawne nie mogą pracować byle gdzie, nie mogą iść na żywioł. Muszą mieć to swoje miejsce pacy odpowiednio zorganizowane. To terapia przez pracę. Nam zależy na tym, żeby tu panowała atmosfera równości, żeby pracujący tu kelnerzy nie czuli, iż są w jakiś sposób inni, żeby ich trudności nie były barierą. Często przychodzą tu rodzice z niepełnosprawnymi dziećmi i czują się jak u siebie – opowiada pani profesor.



– Kiedyś zajrzeli tu rodzice z dziewczynką z zespołem Downa. Wtedy dyżurmieli Albert i Kuba. Dziewczynka spędziła tu kilka godzin i nie chciała wychodzić, płakała. Chłopcy z nią tańczyli, bawili się. Rodzice musieli ją wyprowadzać niemal siłą – dodaje Lech Doroszuk.

Miasto poza przyznaniem lokalu niestety nie wspiera Cafe Równik. Mimo to udaje się zarobić na pensje dla kelnerów i baristów. Opiekunowie pracują w ramach stażu, a Daria, menedżerka, jest wolontariuszką.

– Stanę na głowie, by utrzymać to miejsce, bo wszyscy bardzo go potrzebujemy. To jest nie tylko miejsce pracy dla grupy świetnych ludzi, lecz także miejsce pracy naukowej, badamy tu spontaniczny proces integracji i potrzeby osób niepełnosprawnych w miejscu pracy – mówi prof. Młynarska.

W kawiarni cały czas jest duży ruch. Klienci wchodzą i wychodzą. Klubokawiarnia działa pełną parą. Ma bogaty plan kulturalny na wrzesień i październik. Pojawiają się już pomysły na listopad. Edukacyjny walor kawiarni widać w każdym szczególe. Na stołach funkcję podkładek spełniają duże kartki zadrukowane bajkami i zagadkami przygotowanymi przez terapeutów. Małgorzata Młynarska i Tomasz Smereka napisali

20/0918/F

eprasa.pl a83b4f9e6a



„Bajkę o misiu Mokrej Łapce" w odcinkach. Miś jest trochę inny niż pozostałe zwierzaki, bo w dzieciństwie ssał łapkę i ta łapka jest zawsze mokra. Na szczęście innym zwierzakom inność misia nie przeszkadza.

– Już nie muszę się zastanawiać, gdzie zabrać gości spoza miasta, którzy odwiedzają mnie we Wrocławiu, żeby pokazać im coś fenomenalnego. Po prostu przychodzimy do Równika. Jestem pewna, że tu zawsze będzie smacznie, a swoim znajomym pokażę coś wartościowego – mówi Agnieszka Jalowska, neonatolog z wrocławskiego szpitala, stała bywalczyni kawiarni.

ZGRANA PACZKA

W Cafe Równik spędzam w sumie kilka godzin. Wielką niespodzianką jest dla mnie to, że w kawiarni pojawiają się niemal wszyscy kelnerzy, mimo że nie mają dyżuru (pracują dwie osoby dziennie). Przychodzą jednak dlatego, że tego dnia 28. urodziny ma jeden z nich – Marcin. Wszyscy przygotowują więc dla niego przyjęcie niespodziankę. Widać, że stanowią zgraną paczkę, a ich niepełnosprawność w niczym im nie przeszkadza. Jak w każdej grupie rówieśników jest dużo śmiechu, są dąsy („Musimy poważnie porozmawiać" – słyszę Fabiana, który naburmuszył się trochę na Alę), ale widać też rozkwitającą miłość. Cafe Równik to ich miejsce. Tu czują się u siebie. I ja czułam się tam świetnie. – Będę tu pracował do końca życia – zdradza mi swoje marzenie Kuba.

O podobne miejsce trwa walka w Poznaniu. Dobra Kawiarnia była pierwszym lokalem w tym mieście prowadzonym przez osoby z niepełnosprawnością intelektualną. W sierpniu działalność została jednak zamknięta głównie przez problemy lokalowe. Ekipa kawiarni walczy jednak o swoje. Zwrócili się z prośbą do prezydenta Jacka Jaśkowiaka o wsparcie dla Dobrej. Pod petycją podpisało się ponad 4 tys. osób.

REKLAMA



Afera pedofilska to afera homoseksualna

Bez zamknięcia drogi do kapłaństwa dla homoseksualistów Kościół nie poradzi sobie z dzisiejszym kryzysem



GRZEGORZ GÓRNY

Seria kolejnych skandali pedofilskich i homoseksualnych na całym świecie, połączona z opublikowaniem raportu abp. Carla Marii Viganò, spowodowała, że dla wielu katolików coraz powszechniejsze staje się przeświadczenie, iż Kościół znajduje się dziś w stanie głębokiego kryzysu. Znany teolog czeski ks. Tomaš Halik mówi, że obecną sytuację można porównać tylko z czasami reformacji lub rewolucji francuskiej. Inni sięgają po odleglejsze analogie historyczne, uważając współczesną zapaść za tak samo groźną jak kryzys ariański w IV stuleciu, gdy większość chrześcijan była heretykami.

Abp Georg Gänswein, sekretarz Benedykta XVI, mówi, że Kościół, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, dotknęła „ohyda spustoszenia". To, że tak wiele „dusz zostało nieodwracalnie i śmiertelnie zranionych przez kapłanów", jest – według niego –„wiadomością znacznie straszniejszą niż gdyby wszystkie kościoły w Pensylwanii, razem z bazyliką Narodowego Sanktuarium Niepokalanego Poczęcia w Waszyngtonie, nagle się zawaliły".

Wielu biskupów amerykańskich dostrzega powagę sytuacji i domaga się od Franciszka jak najszybszej interwencji oraz wyjaśnienia wszystkich wątpliwości związanych z oskarżeniami zawartymi w raporcie abp. Viganò. Zdaniem przewodniczącego tamtejszego episkopatu kard. Daniela DiNardo: „Bez tych odpowiedzi niewinni ludzie mogą być dotknięci fałszywym oskarżeniem, a winni mogą powtórzyć grzechy przeszłości".

Nie wszyscy podzielają jednak tę diagnozę, zwłaszcza purpuraci wymienieni przez abp. Viganò jako przedstawiciele lobby gejowskiego w Kościele. Kard. Blaise Cupich z Chicago zbagatelizował sprawę, twierdząc, że papież ma poważniejsze problemy na głowie niż skandale seksualne, np. globalne ocieplenie lub politykę imigracyjną. Z kolei kard. Óscar Maradiaga z Hondurasu powiedział, że pismo abp. Viganò ma charakter prywatny i dotyczy spraw o charakterze administracyjnym, dlatego należy zachować więcej spokoju.

Coraz więcej osób zadaje sobie jednak pytania: co dalej? Jak walczyć z pedofilią i jak zażegnać kryzys w Kościele?

GLOBALNA PEDOFILIA

Na początku warto sobie uświadomić, że walka z pedofilią i przezwyciężenie kryzysu Kościoła to dwie różne sprawy. Wykorzystywanie seksualne nieletnich to problem globalny i ponadwyznaniowy. Według danych Światowej Organizacji Turystyki co roku ok. 3 mln dorosłych mężczyzn podróżuje do krajów Azji, Ameryki Południowej lub Afryki tylko w jednym celu – wykorzystywania dzieci. Zyski z rynku pornografii pedofilskiej (zawierającej m.in. sceny gwałcenia i torturowania

eprasa.pl a83b4f9e6a



Fot. giulio napolitano/Shutterstock.com

najmłodszych) oblicza się na grubo ponad 20 mld dol. rocznie. Według danych włoskiego stowarzyszenia Meter mamy dziś w Europie ok. 18 mln dzieci, które były molestowane seksualnie. Głośne afery obyczajowe w Belgii czy Portugalii ujawniały istnienie siatek pedofilskich w tamtejszych kręgach politycznych.

Ostatnio dziennik „Chicago Tribune" opublikował wyniki dochodzenia, z którego wynika, że w ciągu ostatnich 10 lat w szkołach publicznych w tym mieście doszło do ok. 500 przypadków nadużyć seksualnych nauczycieli wobec uczniów. Największy tego typu raport, opracowany w 2004 r. na zlecenie Departamentu Edukacji USA przez komisję Charol Shakeshaft, wykazał, że nieletnich molestowanych w amerykańskich szkołach jest prawie 100 razy więcej niż ofiar księży. Mimo to w mediach na świecie dominuje obraz Kościoła jako miejsca, w którym dzieci najłatwiej mogą paść ofiarą pedofilów. Do sprawców w białych kołnierzykach lub w dresach przykładana jest zupełnie inna miara niż do osób w koloratkach. Kościół jest zatem atakowany bardziej niż inne instytucje.

W dużej mierze wynika to z tego, że żywi się wobec niego większe oczekiwania niż wobec pozostałych podmiotów życia publicznego. Nic w tym dziwnego: skoro przedstawia on sam siebie jako jedynego depozytariusza prawdy zbawczej wiodącej do życia wiecznego, to musi się liczyć z tym, że będzie się od niego wymagało więcej niż od innych. Zdawali sobie z tego sprawę już pierwsi chrześcijanie, którzy powtarzali, że wiarygodność ich przesłania musi być potwierdzona własnym życiem: nie można głosić jednego, a robić coś przeciwnego. Dziś grzechem budzącym szczególne zgorszenie jest pedofilia.

PRZEŚLADOWANIE OD ŚRODKA

W marcu 2010 r. Benedykt XVI wystosował specjalny list do katolików w Irlandii, w którym skrytykował postawę tamtejszych biskupów wobec skandali seksualnych. Zwracając się do ofiar, przyznał, że nic nie jest w stanie przekreślić zła, jakiego doznały. Podkreślił, że zdradzono ich zaufanie i pogwałcono godność. Do sprawców skierował zaś następujące słowa: „Zdradziliście zaufanie pokładane w was przez niewinnych młodych ludzi i ich rodziców. Odpowiecie za to przed Bogiem, jak i przed specjalnie powołanymi sądami. Utraciliście szacunek i okryliście hańbą Kościół". Papież stwierdził, że po tym wszystkim wiarygodność katolicyzmu została mocno nadwyrężona i wiele osób nie będzie mogło się pogodzić z Kościołem. Dwa miesiące później odniósł się do tego problemu w drodze do Fatimy, mówiąc, że „największe prześladowania Kościoła nie pochodzą od jego wrogów, ale wynikają z grzechu w Kościele". Najbardziej ranią mistyczne ciało Chrystusa ci, którzy są powołani, by prowadzić ludzi do Boga, a zamiast tego krzywdzą najsłabszych i oddalają ich od wiary.

Do tej pory na świecie przeprowadzono trzy gigantyczne dochodzenia dotyczące przypadków pedofilii wśród duchownych – wszystkie przez instytucje niezależne od Kościoła: uczelnię kryminologiczną John Jay College przy Uniwersytecie Miasta Nowy Jork, Królewską Komisję ds. Odpowiedzi Instytucji za Wykorzystywanie Seksualne Dzieci w Australii i Wielką Ławę Przysięgłych stanu Pensylwania. Udowodniły one, że przytłaczającą większość przypadków molestowania seksualnego nieletnich przez duchownych stanowią czyny homoseksualne (od 74 do 90 proc.). Mamy więc wśród pedofilów w Kościele olbrzymią nadreprezentację osób o tych właśnie preferencjach płciowych. Oczywiście nie jest tak, że większość homoseksualistów to pedofile, natomiast faktem jest, że zdecydowana większość pedofilów w sutannach to homoseksualiści.

Do 2005 r. w Kościele nie istniał oficjalny zakaz wyświęcania na księży mężczyzn o takich skłonnościach. Dla wszystkich chrześcijan było bowiem oczywiste, że relacje seksualne pomiędzy osobami tej samej płci są grzechem ciężkim. Stary Testament nazywał je wręcz „obrzydlistwem" w oczach Boga. Św. Paweł pisał z kolei, że mężczyźni współżyjący z mężczyznami nie dostąpią zbawienia. Na przestrzeni wieków przypominali o tym liczni święci, np. Piotr Damiani, który pisał, że homoerotyzm zamyka drogę do kapłaństwa.

Dziś jednak coraz więcej teologów, księży, a nawet biskupów domaga się zmiany nauczania Kościoła w tej sprawie i uznania, że czyny homoseksualne nie są grzechem. Takie podejście otwierałoby drogę do kapłaństwa osobom o tej właśnie orientacji seksualnej. W wielu przypadkach chodziłoby o zalegalizowanie praktyk, które w krajach zachodnich zaczęły się rozpowszechniać już kilkadziesiąt lat temu, gdy do Kościoła zaczęła przenikać ideologia pokolenia '68 i rewolucji seksualnej. Zjawisko to przybrało dziś zatrważające rozmiary, a towarzyszy mu plaga pedofilii.

DŁUGI MARSZ GEJOWSKIEGO LOBBY

Sytuacja stała się tak krytyczna, że w 2005 r. Benedykt XVI wydał instrukcję zakazującą przyjmowania do seminariów i dopuszczania do święceń „osób, które praktykują homoseksualizm,

eprasa.pl a83b4f9e6a

wykazują głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne lub wspierają tak zwaną kulturę gejowską". Jednym z redaktorów tego dokumentu był kard. Zenon Grocholewski, ówczesny prefekt Kongregacji ds. Edukacji Katolickiej. W niedawnym wywiadzie dla tygodnika „Idziemy" powiedział on, że „człowiek jest niezdolny do należnej realizacji kapłaństwa, jeśli tendencje homoseksualne są w nim głęboko zakorzenione, praktykuje homoseksualizm lub broni postaw homoseksualnych jako moralnie i społecznie równouprawnionych. Są to trzy elementy, które uznaliśmy za wykluczające kandydata do święceń. [...] Niektórzy próbowali bronić innych stanowisk, że to nie ma znaczenia, jeśli ktoś jest homoseksualistą, byle w kapłaństwie zachowywał czystość. Po wielu konsultacjach z teologami i psychiatrami doszliśmy jednak do wniosku, że zakorzeniony w człowieku homoseksualizm, choćby niepraktykowany, sam w sobie jest przeszkodą w realizacji kapłaństwa. Determinuje bowiem psychikę człowieka. To był najważniejszy powód naszego stanowiska".

Zgodnie z nauczaniem Kościoła kapłan jest „alter Christus" – drugim Chrystusem. Uznanie, że tożsamość homoseksualna nie zamyka drogi do święceń, oznacza uznanie, iż częścią kapłańskiej tożsamości Jezusa może być homoseksualizm, na dodatek nie pojmowany jako grzeszna skłonność, lecz jako istotny składnik osobowości.

Praktyka pokazuje, że homoseksualista w sutannie to najczęściej człowiek prowadzący podwójne życie, czyli żyjący w ciągłym zakłamaniu, często także w nieczystości, a więc w stanie permanentnego grzechu. Jak uczą mistrzowie życia duchowego, ktoś taki nie jest w stanie rozeznawać woli Bożej ani być przewodnikiem życiowym dla innych. Może być za to dla drugich antyświadectwem i zgorszeniem. Tym bardziej że takie osoby potrafią prowadzić bogate i bujne życie erotyczne, jak ks. Luigi Capozzi, osobisty sekretarz kard. Francesca Coccopalmiera, organizujący regularnie w watykańskich apartamentach homoseksualne orgie z narkotykami. Sam znam osobiście młodych chłopców, którzy zerwali z Kościołem, ponieważ byli molestowani. Znam też złamane powołania kapłańskie mężczyzn, którzy odeszli z seminariów, bo nie byli w stanie wytrzymać nacisku ze strony homoseksualnych przełożonych.

Kościół pada właśnie ofiarą „długiego marszu przez instytucje", w którym uczestniczy lobby gejowskie infiltrujące jego struktury i dążące do zmiany nauczania Kościoła w sprawach etyki seksualnej. Próbował temu zaradzić Benedykt XVI, wprowadzając w 2005 r. wspomnianą instrukcję. Niestety jest ona dziś świadomie łamana przez wielu biskupów, którzy wyświęcają homoseksualistów i nie widzą w tym żadnego problemu. W rzeczywistości przykładają rękę do niszczenia Kościoła.

> Żeby przezwyciężyć dzisiejszy kryzys, nie wystarczy już „zero tolerancji" dla sprawców przestępstw seksualnych, „maksimum troski" dla ofiar molestowania i „pełna prawda" dla opinii publicznej. Kościół musi pokonać lobby gejowskie infiltrujące jego struktury i dążące do zmiany nauczania w sprawach etyki seksualnej

Żeby przezwyciężyć dzisiejszy kryzys, nie wystarczy już „zero tolerancji" dla sprawców przestępstw seksualnych, „maksimum troski" dla ofiar molestowania ani „pełna prawda" dla opinii publicznej. Należy twardo egzekwować zalecenia Benedykta XVI i zamknąć drogę do kapłaństwa dla homoseksualistów. W przeciwnym wypadku Kościół w wielu krajach może podążyć drogą Irlandii (tak jak dziś podąża nią Kościół w Chile czy Hondurasie), gdzie świątynie opustoszały gwałtownie po ujawnieniu afer seksualnych.

WYCHOWAWCZY WYMIAR KARY

Jeżeli do niektórych hierarchów nie dotrą argumenty moralne ani teologiczne, to być może zmuszą ich do otrzeźwienia argumenty finansowe. W USA niedawny raport Wielkiej Ławy Przysięgłych stanu Pensylwania otwiera nowy rozdział w postępowaniach wobec duchownych winnych czynów pedofilskich oraz kryjących ich hierarchów. Wkrótce podobne raporty, wiążące sprawców z ofiarami, powstaną także w innych stanach. Jeśli się okaże, że księża w ramach tuszowania afer byli przenoszeni do innych stanów, to śledztwo z poziomu stanowego przejdzie na poziom federalny, a to oznacza, że Kościół katolicki zostanie w myśl prawa potraktowany jak zorganizowana struktura przestępcza, np. mafia. W związku z tym może zostać zastosowane wobec niego drakońskie prawo przewidujące np. całkowitą konfiskatę mienia. To dziś realna obawa, jaką żywią amerykańscy biskupi.

Niedawno w Poznaniu sąd wydał wyrok, że zakon chrystusowców musi zapłacić 1 mln zł odszkodowania oraz 800 zł renty miesięcznie nieletniej ofierze molestowania seksualnego przez jednego z kapłanów owego zgromadzenia. To pokazuje, że także u nas możliwe są procesy, w których pozwanymi nie będą pojedynczy księża ani parafie, lecz kurie biskupie, odszkodowania zaś mogą być milionowe.

Św. Augustyn w kontekście grzechów chrześcijan pisał o „mysterium lunae". Porównywał Boga do słońca jako jedynego źródła światła, a Kościół do księżyca, który świeci jedynie blaskiem odbitym. Księżyc może przechodzić różne fazy: od pełni aż po zaćmienie, gdy zamiast blasku jest ciemność. Kościół zawsze odnajdywał w sobie siłę, by przezwyciężać owe kryzysy, odnawiając się moralnie i duchowo. Zawsze wracał jednak do swych początków: do Jezusa Chrystusa, On zaś do grona Apostołów nie powoływał homoseksualistów.

39/0918/F | 16/0918/F

eprasa.pl a83b4f9e6a

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

1991
rok założenia

6,5 mld zł
wartość aktywów

280 osób
zatrudnienie

100% udziałów
Skarb Państwa

GŁÓWNE OBSZARY DZIAŁALNOŚCI

Finansowanie przedsiębiorstw
Finansujemy inwestycje, działania rozwojowe i kapitał obrotowy polskich przedsiębiorstw

Obsługa inwestorów w SSE
Udostępniamy tereny inwestycyjne i obiekty przemysłowe przedsiębiorcom

Wspieranie rozwoju wybranych branż
Wspieramy wybrane branże ze Strategii na Rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju

Nadzór korporacyjny
Budujemy wartość powierzonego majątku (spółek i nieruchomości)

Nasze obszary działalności wzajemnie się przenikają, tworząc unikatowy wachlarz możliwości

Restrukturyzacja rozwojowa
Finansujemy procesy restrukturyzacji i współtworzymy plany restrukturyzacji



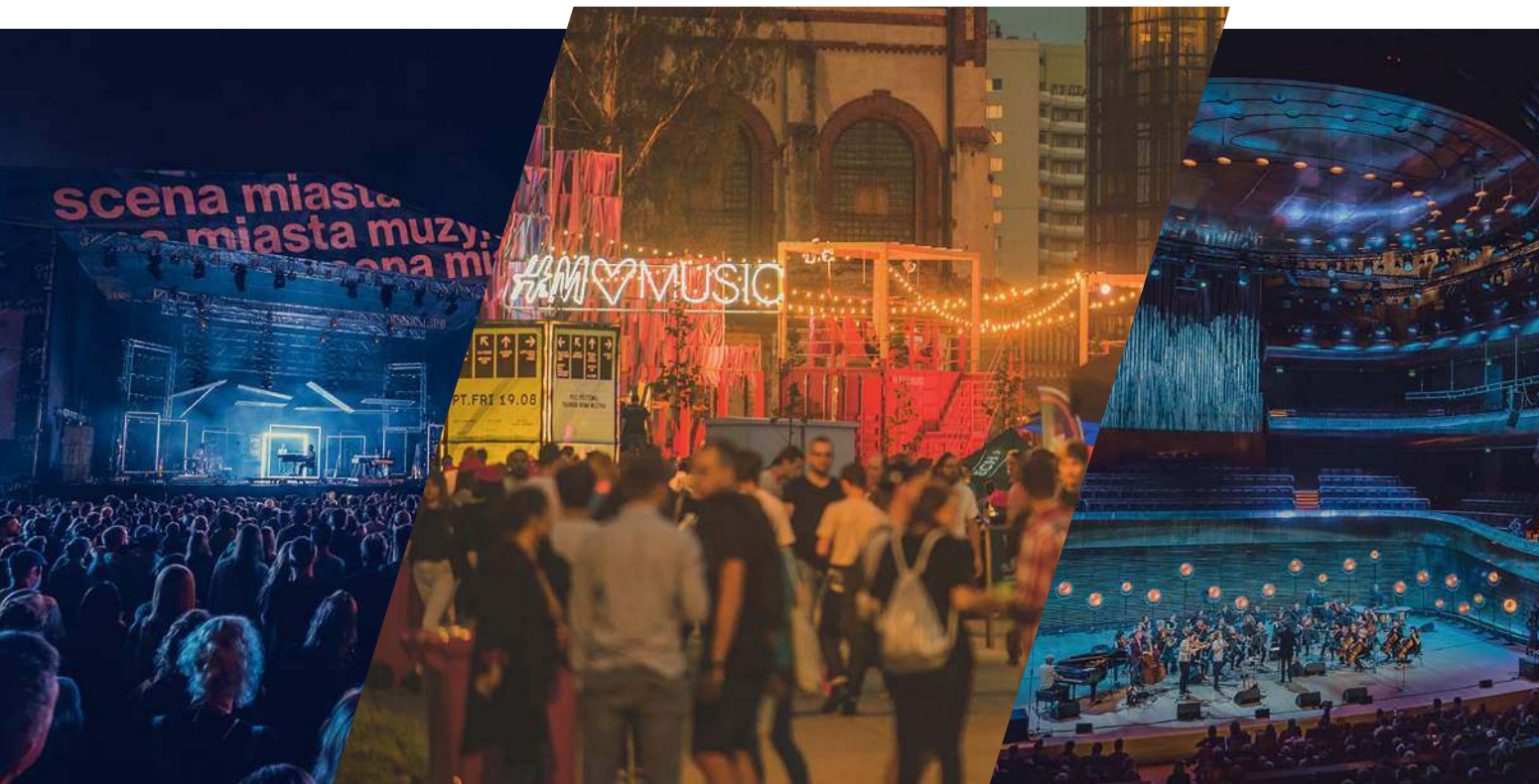
Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.
ul. Nowy Świat 6/12, 00-400 Warszawa
Centrum Bankowo Finansowe - wejście „C”
+48 22 695 36 00, +48 22 695 37 01
www.arp.pl

Polski Fundusz Rozwoju S.A.
pełna informacja na temat oferty dostępna jest na stronie www.pfr.pl
oraz pod bezpłatnym numerem infolinii +48 800 800 120

eprasa.pl a83b4f9e6a

SPRAWDŹ, DLACZEGO KATOWICE ZOSTAŁY GOSPODARZEM
SZCZYTU KLIMATYCZNEGO ONZ (COP24)

COP24·KATOWICE 2018
KONFERENCJA NARODÓW ZJEDNOCZONYCH
W SPRAWIE ZMIAN KLIMATU



APETYT NA KULTURĘ W MIEŚCIE MUZYKI UNESCO

Katowice dla wielu osób kojarzyły się jeszcze kilkanaście lat temu wyłącznie z szarością, kopalniami i węglem. Dziś ciekawa i zróżnicowana oferta kulturalna przyciąga nie tylko mieszkańców Katowic, ale też tysiące turystów z całego kraju i zagranicy.

Na pierwszy plan zdecydowanie wybija się muzyka. To właśnie w Katowicach odbywają się znane w całej Europie festiwale muzyczne – Tauron Nowa Muzyka i OFF Festival. Dla wielbicieli bluesa najważniejszą imprezą muzyczną w roku jest oczywiście Rawa Blues Festival. Warto przypomnieć, że właśnie ten gatunek muzyki w Polsce ma swoje korzenie w Katowicach, co stało się inspiracją do stworzenia projektu „Szlak Śląskiego Bluesa". Wchodząc na stronę internetową www.szlak-bluesa.pl, możecie posłuchać historii opowiadanych m.in. przez Irka Dudka, Sebastiana Riedla czy Leszka Windera, a korzystając z interaktywnej mapy – każdy z nas może samodzielnie poszukać śladów bluesa ruszając w miasto.

Wielbiciele klasycznych i eksperymentalnych brzmień chętnie odwiedzają siedzibę Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia (NOSPR) w powstałej kosztem ponad miliarda złotych Strefie Kultury. Licząca 1800 miejsc sala koncertowa jest przez specjalistów uznawana za jedną z najlepszych w świecie, a każdy koncert przyciąga komplet publiczności. Dlatego warto już dziś sprawdzić repertuar na stronie internetowej www.nospr.org.pl i wcześniej kupić bilety!

Życie muzyczne Katowic zostało zauważone i docenione! Pod koniec 2015 roku Katowice otrzymały prestiżowy tytuł Miasta Muzyki UNESCO – jako jedyne miasto w Polsce i jedno z zaledwie 13 w Europie.

Przemiana Katowic i życie kulturalne miasta to jeden z powodów, dla których Katowice zostały wybrane gospodarzem Szczytu Klimatycznego, który odbędzie się w grudniu tego roku. Do stolicy woj. śląskiego przyjedzie 30 tysięcy gości z 200 krajów, by podejmować decyzje o globalnej polityce klimatycznej.

eprasa.pl a83b4f9e6a

Odc. 9/12

Cykl dodatków o niezwykłych ludziach, którym Polska zawdzięcza Niepodległość



Bohaterowie z Polskiej Organizacji Wojskowej

niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

MECENAS DODATKU
PARTNERZY DODATKU

PZU
ALIOR BANK
Bank Pekao
LOTOS
PWPW
POLSKA WYTWÓRNIA PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

fot. Biblioteka Narodowa, NAC x3

eprasa.pl a83b4f9e6a

PEOWIACY

Tomasz Łysiak

O tych, co „godni są stanąć obok czczonych przez nas bohaterów przeszłości”



FOT. Z KSIĄŻKI KONRAD WRZOS „PIŁSUDSKI I PIŁSUDCZYCY”, 1936

Listopadowe dni roku 1918 – pierwsze chwile odzyskania niepodległości, pierwszy oddech wolności, pierwsze biało-czerwone flagi na dachach i urzędach – to jednocześnie odzyskiwanie władzy w kraju od ponad wieku dzierżonym przez zaborców.



FOT. Z KSIĄŻKI KONRAD WRZOS „PIŁSUDSKI I PIŁSUDCZYCY", 1936

Rozbrajanie Niemców przebiegało zasadniczo bez wielkich wstrząsów, chociaż tu i ówdzie padły strzały, a nawet były ofiary śmiertelne. Na terenie dawnego Królestwa Kongresowego podejmowali się tego m.in. członkowie armii podziemnej – Polskiej Organizacji Wojskowej. Peowiacy stanowili legionowe ramię zbrojne organizowane w zaborze rosyjskim od samego zarania epopei strzeleckiej – od sierpnia roku 1914. Niektórzy historycy podają, że służyło w POW blisko 50 tys. ludzi, w tym kwiat młodzieży patriotycznej oraz wielu legionistów, którzy bili się, idąc szlakiem I Brygady lub wykonując zadania dywersyjne na tyłach rosyjskich. Peowiacką odznakę z dumą nosili i mężczyźni, i kobiety. Te ostatnie podejmowały się często najtrudniejszych zadań sabotażowo-dywersyjnych lub kurierskich. Wreszcie służba w POW to chlubna część życiorysu prawdziwych sław bojów o niepodległość – dość wspomnieć losy Lisa-Kuli, o którym opowiadałem w jednym z poprzednich odcinków cyklu.

Znamy dość dobrze dzieje Armii Krajowej, jej żołnierzy i dowódców, ale winniśmy pamiętać też o „armii podziemnej" z czasów walki o niepodległość i I wojny światowej – o bohaterach z Polskiej Organizacji Wojskowej.

Na zdjęciach przedstawiających członków komendy POW można odnaleźć cały wachlarz niezwykłych postaci. Na jednym z nich, zrobionym późną wiosną 1917 r., widzimy siedzącego w środku komendanta głównego – Józefa Piłsudskiego. To z jego rozkazu POW funkcjonowała na taką skalę i tak długo.

Od lewej siedzą Walery Sławek, Krok-Paszkowski, Kazimierz Sosnkowski, w środku spogląda na nas Marszałek, po jego lewej ręce Tadeusz Kasprzycki i Zdanowicz-Opieliński. Z tyłu stoją Konrad Libicki, Janusz Gąsiorowski, Wacław Jędrzejewicz, Bogusław Miedziński, Stanisław Hempel i Adam Skwarczyński

Peowiacy na tej fotografii to jednocześnie ludzie pełniący funkcje kierowników poszczególnych oddziałów w Tymczasowej Radzie Stanu. Zdjęcie zostało zrobione po jednym z ćwiczeń peowiackich, które się odbyły pod Warszawą. Na niewielki pomnik ukryty w lesie, a poświęcony tym podwarszawskim ćwiczeniom, natrafiłem w trakcie długiego spaceru z psem. Stoi ów kamień w rezerwacie Jana III Sobieskiego. Teraz wybieram go niekiedy jako cel wędrówki, by potem w chwili zadumy i modlitwy przenieść się myślami w lata, w których peowiacy kładli swoje życie „na stos". Wtedy byli w ukryciu, a i teraz trochę w nim pozostają, ciągle jakby w cieniu, ciągle w drugim szeregu. Trzeba ich z niego wydobyć na plan pierwszy, postawić w szeregu bohaterów walk o Polskę.

Spójrzmy zatem na zdjęcie – Piłsudski wsparty o szablę, a obok peowiacy w surdutach i marynarkach, niezwykle eleganccy i w jakiejś mierze dostojni. Jakże inni od wizerunku, który znamy z fotografii ukazujących walki legionowe, z okopów i transzei albo z ćwiczeń POW gdzieś w terenie. Od lewej siedzą więc: Walery Sławek – zawsze wierny Piłsudskiemu żołnierz, który szedł z nim od czasów Organizacji Bojowej PPS i zamachów na pociągi aż po czas chylenia się ku zagładzie wywalczonej wcześniej Polski, kiedy podjął dramatyczną decyzję o samobójstwie; dalej Krok-Paszkowski, Kazimierz Sosnkowski, w środku spogląda na nas Marszałek, a po jego lewej ręce mamy Tadeusza Kasprzyckiego, który ruszał z I Kadrową z Oleandrów, i Zdanowicza-Opielińskiego. Z tyłu stoją – Konrad Libicki, Janusz Gąsiorowski, Wacław Jędrzejewicz, Bogusław Miedziński, Stanisław Hempel i Adam Skwarczyński. Same, że użyję zupełnie współczesnego terminu, „gwiazdy" ruchu niepodległościowego.

A teraz zerknijmy na zdjęcie z grudnia roku 1918. Polska jest już wolna. Przed nami w pełnej krasie, w mundurach, komenda naczelna POW. I znowu mamy przegląd wybitnych postaci. Pośrodku charakterystyczny, łysy, komendant główny – Edward Rydz-Śmigły. Wspaniała wówczas postać, jeden z najlepszych legionowych dowódców, który prowadził legendarne ataki na bagnety pod Anielinem i Laskami, bił się pod Łowczówkiem

eprasa.pl ac3b4f9e6a



Pośrodku charakterystyczny, łysy, komendant główny POW Edward Rydz-Śmigły, w pierwszym rzędzie od lewej siedzą obok niego: Stanisław Krzaczyński (komendant placu Warszawy), Marian Zyndram Kościałowski (szef wydziału bojowego Komendy Naczelnej), Adam Koc (komendant naczelny POW). Z drugiej strony widzimy: Bogusława Miedzińskiego (zastępcę komendanta naczelnego), Kazimierza Kierzkowskiego (szefa wydziału organizacyjnego k.n.) i damę Marię Gieysztor, komendantkę oddziału żeńskiego. U góry od lewej stoją – Gałady z komendy, Stanisław Korkozowicz (komendant okręgu Warszawa–prowincja), Maciej Kuhnke (szef wydziału finansowego komendy), por. Janusz Jędrzejewicz, szef wydziału politycznego, obok jego brat Wacław Jędrzejewicz (minister wyznań religijnych i oświecenia). Dalej szef żandarmerii POW Adam Zajączkowski, Karol Krzewski (szef wydziału wyszkolenia, późniejszy radiowiec i literat). Ostatni trzej – ppłk Abłamowicz, Karol Wądołkowski z wydziału organizacyjnego i na koniec Adam Rudnicki, zastępca szefa wydziału bojowego, późniejszego redaktora naczelnego „Polski Zbrojnej”

epresa.pl/a33b4f9e6a



FOT. Z KSIĄŻKI KONRAD WRZOS „PIŁSUDSKI I PIŁSUDCZYCY", 1936

eprasa.pl a63b4f9e6a

od 18 grudnia 1914 r., gdzie dowodził 1. pułkiem piechoty. Ale też rok 1918 był czasem konfliktów z Piłsudskim, który nie akceptował udziału Rydza w tworzeniu Tymczasowego Rządu Ludowego. W każdym razie późniejsze losy „Śmigłego" to nie tylko walka w wojnie polsko-bolszewickiej czy opowiedzenie się po stronie Piłsudskiego w trakcie przewrotu majowego, lecz także – co ważne – rola swego rodzaju następcy Marszałka. To z nim przed śmiercią odbył Piłsudski tajną rozmowę, przekazując swoje rozkazy i sugestie dotyczące spraw związanych z wojskiem. Marszałek Rydz-Śmigły w drugiej połowie lat 30. XX w. jako generalny inspektor Sił Zbrojnych i naczelny wódz był odpowiedzialny za przygotowanie Polski do wojny. Jednak odłóżmy na bok rok 1939 i czas „próby", w którym marszałek Rydz-Śmigły, mówiąc eufemistycznie, nie zdał egzaminu, i wróćmy do I wojny. Wtedy spisywał się wyśmienicie. Szefem Polskiej Organizacji Wojskowej został w 1917 r., gdy Piłsudski wraz z Sosnkowskim zostali uwięzieni w Magdeburgu. Z tego właśnie powodu na fotografii siedzi w środku – właśnie jako komendant główny POW. W pierwszym rzędzie od lewej siedzą obok niego: Stanisław Krzaczyński (komendant placu Warszawy), Marian Zyndram Kościałowski (szef wydziału bojowego Komendy Naczelnej), Adam Koc (komendant naczelny POW). Z drugiej strony widzimy: Bogusława Miedzińskiego (zastępcę komendanta naczelnego), Kazimierza Kierzkowskiego (szefa wydziału organizacyjnego k.n.) i damę Marię Gieysztor, komendantkę oddziału żeńskiego. Zatrzymajmy znów na chwilę tę prezentację, by zwrócić uwagę na to, że widzimy jedynie „górę", komendantów oddziałów i sekcji. Ale każda z postaci i każda z funkcji niejako otwiera wyobraźnię – rozmiar i sposób działania Polskiej Organizacji Wojskowej wydaje się bliższy i dotykalny. Kto stoi z tyłu? Idźmy znów od lewej – ten równo zaczesany z przedziałkiem „młodzieniec" to Gałady z komendy, dowódca jednego z pułków peowiackich, a zaraz obok niego stoi Stanisław Korkozowicz (komendant okręgu Warszawa–prowincja, także dowódca pułku). Trzeci, ten z dużym, sumiastym wąsem, przechylający lekko głowę, to szef wydziału finansowego komendy Maciej Kuhnke. Po jego lewej ręce, ów z rysującą się łysiną, to por. Janusz Jędrzejewicz, szef wydziału politycznego. Pewnie pamiętają państwo z poprzedniego zdjęcia Wacława Jędrzejewicza? Tak, zgadza się – to bracia. Wacław był znakomitym historykiem, dyplomatą, w II RP ministrem wyznań religijnych i oświecenia. Po II wojnie został prezesem Instytutu Piłsudskiego w Ameryce, zmarł w 1993 r., mając 100 lat. Jego brat Janusz, peowiak i legionista, w latach 1933–1934 został premierem polskiego rządu. W czasie I wojny współpracował z Walerym Sławkiem i stał się jedną z głównych podpór POW. Spod jego ręki wyszły pisma programowe ar-



mii podziemnej – „P.O.W. i Niemcy” (1917) czy „P.O.W. – zdania i metody”. Obok Jędrzejewicza stoi wysoki, wyprostowany jak struna, szef żandarmerii POW Adam Zajączkowski. Przy nim po prawej – szef wydziału wyszkolenia Karol Krzewski, późniejszy radiowiec i literat. I mamy ostatnich trzech – ppłk Abłamowicza, Karola Wądołkowskiego z wydziału organizacyjnego i na koniec Adama Rudnickiego, zastępcę szefa wydziału bojowego, późniejszego redaktora naczelnego „Polski Zbrojnej”. Wszyscy w mundurach. Przystojni. Niektórzy z szablami. Buty błyszczą, adiutanci dobrze wykonali swoją robotę. Fotograf uruchomił migawkę. Jedno zdjęcie i ogrom ludzkich losów, historii Legionów i samej POW. Każda z tych ludzkich ścieżek jest pasjonująca, każda to kolejny zapis wielkości w działaniu.

Bracia walczący

Gdy patrzymy na los tysięcy żołnierzy legionowych i peowiaków, represjonowanych i więzionych w roku 1917, po kryzysie przysięgowym, to wyobrazić sobie możemy, co czuli wówczas Polacy, dla których więzienia, obozy internowania i wyroki stanowiły kolejny, koszmarny akt dramatu, jakim była trwająca od lat tylu nieustająca walka o niepodległość. Miał oczywiście już niedługo nastąpić piękny finał, ale w tym trudnym roku 1917 trzeba było znowu zaciskać zęby. POW istniała już trzy lata. Wszystko zaczęło się wtedy, gdy oddziały strzeleckie wyruszyły z Oleandrów na bój o Polskę. Kiedy nasi wchodzili do Kielc, kiedy powstanie się nie udało, kiedy tworzyły się Legiony, kierowane przez Naczelny Komitet Narodowy, to w Warszawie – odcięci od głównych wydarzeń, w których uczestniczyli ich koledzy z zaboru austriackiego – członkowie Związków i Drużyn Strzeleckich zaczęli się organizować. W zbiorze „Polska Organizacja Wojskowa. Szkice i wspomnienia” (1930) znajdujemy opis działania Adama Koca – postaci, której nazwisko wymienia się jednym tchem, mówiąc o POW. Ów oficer strzelecki już w sierpniu 1914 r. „zdecydował się objąć komendę nad Związkiem Strzeleckim w zaborze rosyjskim i wysłał o powyższym kuriera z meldunkiem do Komendanta, do Krakowa. Nawiązał też niezwłocznie stosunki z Komendą Drużyn Strzeleckich w Warszawie, w których naczelnym komendantem był wówczas Karol Rybasiewicz (pseudonim Wilczyński). Zaraz na wstępie Koc zaproponował zasadę ścisłej kooperacji obu organizacji strzeleckich... tak, że po upływie paru dni... mógł już postawić wniosek stworzenia z obu organizacji strzeleckich – jednej, pod nazwą »Polskiej Organizacji Wojskowej«”. Stała się rzecz znamienna i piękna – tak podobna do tego, co wydarzyło się 3 sierpnia na krakowskich Oleandrach. Tam, przypomnijmy, Piłsudski zebrał drużyniaków i strzelców, wygłosił kapitalny rozkaz o jedności, o tworzeniu pierwszej kompanii kadrowej, każąc na znak tej jedności wymienić się orzełkami: od tej chwili zamiast rywalizować, stali się oni braćmi walczącymi ramię w ramię o Polskę. Koc natomiast, tworząc zalążek POW, sam podporządkował się koledze z Drużyn Strzeleckich i w ten to sposób Rybasiewicz został pierwszym dowódcą POW, a Koc jego zastępcą. Szefem sztabu był Aleksander Tomaszewski.

> ***Celem Polskiej Organizacji Wojskowej jest zdobycie niepodległości polskiej drogą walki zbrojnej. P.O.W. skierowuje swój oręż przeciwko największemu swemu wrogowi – Rosji; jest w ciągłym kontakcie z Legionami [...]***

Dzieło serc polskich

Jak dalej czytamy w „Szkicach i wspomnieniach”, organizacja „rozpoczęła swe istnienie, świadcząc przed światem, że Legiony nie są wytworem jednej tylko dzielnicy, ale dziełem uczuć serc polskich wszystkich zaborów, że tam żyje i prosperuje idea walki zbrojnej o niepodległość”. Adam Koc wiedział, że społeczeństwo pod zaborem rosyjskim jest uśpione, że niechętnie sięgnie po broń. Tak zresztą było, gdy w 1915 r. wojska rosyjskie opuszczały stolicę. Mieszkańcy wówczas żegnali ich ze łzami w oczach, mówili „nasi odchodzą”. Pewnego razu, jeszcze przed wkroczeniem Niemców do Warszawy, Koc zauważył na ulicy następującą scenę – oto kilka panien polskich, na rogu Marszałkowskiej i Moniuszki, wręczało oficerom kozackim bukiety biało-czerwonych róż. W jego głowie ponoć zaświtała myśl: „Strzelić czy nie strzelić do oficera kozackiego?”. Nie strzelił, zdawał sobie sprawę z ryzyka i miał ważniejsze zadania do wykonania. Ale to wydarzenie było charakterystyczne dla stanu ducha Polaków pod rosyjskim zaborem. W październiku roku 1914 w Warszawie pojawił się adiutant Piłsudskiego Tadeusz Żuliński (pseudonim Roman Barski), notabene bratanek Romana Żulińskiego, jednego ze współpracowników Romualda Traugutta, powieszonego wraz z dyktatorem na stokach Cytadeli 5 sierpnia 1864 r. Żuliński wysłał Koca (pod fałszywym nazwiskiem – Adam Krajewski) z meldunkiem do brygadiera Piłsudskiego. Jego podróż do Komendanta to materiał na dobry film fabularny, w którym jest miejsce na niezwykłe przygody w trakcie akcji dywersyjnych na tyłach rosyjskich i długiej drogi przez Petersburg nad Zatokę Botnicką, którą Koc miał pokonać statkiem towarowym płynącym do Szwecji. Jechał też z Petersburga do

FOT. Z KSIĄŻKI KONRAD WRZOS „PIŁSUDSKI I PIŁSUDCZYCY”, 1936

eprasa.pl ac3b4f9e6a

stacji Biełoostrowo „dacznym pojezdem", czyli pociągiem letniskowym, który został zatrzymany na dworcu w Torneo, otoczony kordonem żandarmerii rosyjskiej, a wszystkich podróżnych wyprowadzono do biura celnego. Zaczęła się drobiazgowa kontrola i rewizja bagaży. Koc widząc, co się dzieje, postanowił natychmiast zniszczyć raport, z którym jechał do Piłsudskiego. Wsadził go do ust, zaczął żuć i połykać. Podobno jeszcze wiele lat później pamiętał okropny smak atramentu... Po dalszych niesamowitych perypetiach, m.in. przepłynięciu na dnie fińskiej łodzi rybackiej czy uratowaniu się z bagna, dotarł do Komendanta w Annopolu nad Wisłą, złożył mu raport i szczegółowo opowiedział o początkach POW w Warszawie. Piłsudski pochwalił go i powiedział: „A to dopiero polityk, moje dziecko – znajdujemy tę wypowiedź w „Piłsudskim i piłsudczykach" Konrada Wrzosa. – Zostawiam was teraz w Brygadzie, będę was potrzebował dla zmobilizowania waszych peowiaków do Brygady z terenu lubelskiego, na który wkraczamy. Przydzielam was do Jura-Gorzechowskiego". Koc dostał konia, którego przekazał mu adiutant Wodza Konstanty Dzieduszycki, i tak zaczęła się jego historia żołnierza frontowego i działacza POW za linią frontu.

W imieniu POW witam w stolicy!

Walczył w bitwach Brygady aż po kampanię nad Stochodem, tam w 1916 r. został ranny w brzuch, kiedy obserwował nieprzyjaciela, siedząc na gałęzi wysokiego dębu. Rannego musieli ostrożnie ściągać koledzy z oddziału, czekało go długie leczenie w kolejnych legionowych szpitalach... Dalej było jeszcze internowanie w Benjaminowie, skąd po kilku miesiącach wyszedł na wolność. Wtedy Rydz-Śmigły mianował go komendantem naczelnym na obie okupacje – niemiecką i austriacką. Siedzibą Koca była Warszawa. Tu przypadł mu honor witania komendanta Piłsudskiego, gdy ten 10 listopada wracał pociągiem z Magdeburga. „Obywatelu Komendancie! W imieniu POW witam Obywatela Komendanta w stolicy!" – powiedział wówczas z dumą i przejęciem w głosie. A potem... Potem był jeszcze los wszystkich Polaków, którzy musieli się tłuc z bolszewikami w roku 1920. Gdy polskie wojsko cofało się pod własną stolicę, do Piłsudskiego wybrało się czterech peowiaków – płk Adam Koc, płk Ignacy Matuszewski, ppłk Bogusław Miedziński i ppłk Wacław Stachiewicz. Koc w imieniu całej czwórki przedstawił Marszałkowi plan wskrzeszenia POW i działania na tyłach wroga. Naczelny wódz odpowiedział im: „Ja wam bardzo, moje dzieci, dziękuję. Ale muszę wam coś powiedzieć – naturalnie jest to kompletna tajemnica. W innej sytuacji na pewno z waszej propozycji skorzystałbym. Dzisiaj jednak jest to już niepotrzebne, albowiem jestem już ze wszystkimi decyzjami gotów i rozpoczynam wielką kontrofensywę, która polegać będzie na gwałtownym i flankowem uderzeniu".

Pierwszy adiutant Komendanta

Wróćmy do początków POW. Jak już powiedzieliśmy, jej głównym celem miała być działalność na terenach okupowanych przez wojska rosyjskie. Tadeusz Żuliński, pierwszy komendant organizacji, zaczął od sformułowania podstaw ideologicznych. Zostały one ujęte w deklaracji, którą każdy nowo przystępujący do POW musiał podpisać. Stało tam m.in., iż „celem Polskiej Organizacji Wojskowej jest zdobycie niepodległości polskiej drogą walki zbrojnej. P.O.W. skierowuje swój oręż przeciwko największemu swemu wrogowi – Rosji; jest w ciągłym kontakcie z Legionami [...]".

Z deklaracji wynikało, iż POW miała nie tylko wcielać w czyn ideę legionową na obszarze Królestwa Kongresowego, lecz także rozwijać działalność dywersyjną. Były zatem jakby dwa główne cele: „z jednej strony kształcenie młodzieży pod względem wojskowym, z drugiej – formowanie oddziałów lotnych, które uprawiały partyzantkę na tyłach wojsk rosyjskich". Od samego początku w te wszystkie działania zaangażowany był komendant Żuliński. Pięknie pisał o nim Koźmiński w swoim zbiorze przedwojennych opowiadań o bohaterach niepodległej „Kamienie na szaniec", poświęcając Żulińskiemu odrębny rozdział – „Pierwszy adiutant Komendanta". Żuliński urodził się w 1889 r. we Lwowie. Już od dziecka był typem introwertyka, raczej milczący i zamknięty w sobie, poświęcał czas lekturze i książkom. Może i one poza rodzicami i tradycją powstańczą kultywowaną w domu miały na niego jakiś przemożny wpływ? Uczył się w tzw. freblówce, od 1900 r. w gimnazjum, zdobywając sobie w szkole wiele przyjaźni. „Serce ma złote – pisze Karol Koźmiński – wiedzą o tym jego rówieśnicy i koledzy, których obdarowuje szczodrze tym wszystkim, co otrzymuje sam, nie pozostawiając nic dla siebie. Pogodny, zawsze ufny, nie żywi uraz i łatwo i szczerze przebacza". Młody Tadek od czasu, gdy zdał do klasy siódmej, rozpoczął działalność niepodległościową i zaczął wyjeżdżać za kordon w czasie wakacji, by tam brać udział w ćwiczeniach Związku Strzeleckiego i Związku Walki Czynnej. Przeszedł więc szkołę żołnierza, a potem podoficera i w końcu, w roku 1914, został wpisany na listę oficerów – otrzymał od Komendanta swój znak oficerski, słynną odznakę ZWC, czyli „parasol". Jednocześnie jednak nie zaniedbywał nauki i studiował medycynę. Gdy wybuchła wojna, dr Żuliński ruszył do walki pod nazwiskiem Romana Barskiego. Jako adiutant Komendanta przeszedł początkowy strzelecki szlak znaczony Krakowem, Jędrzejowem, Kielcami. Ale w końcu został przez Piłsudskiego wysłany do objęcia komendy POW. Zaraz po stworzeniu podstaw organizacyjnych i ideologicznych już w listopadzie zaczął akcję dywersyjną. W tym celu powołał do życia „Oddział lotny Wojsk Polskich", którego organizowanie powierzył Światopełkowi-Jaworskiemu, przydzielając mu do pomocy weteranów organizacji bojowej PPS „Mikitę" (Jana Bielawskiego) i „Walka" (Józefa Kobiałkę). Jak pisał Wacław Lipiński: „Oddział Lotny otrzymał zadanie niezwykle trudne, wymagające świetnej odwagi, zimnej krwi i przytomności umysłu, wymagające nieprzeciętnych zalet zalet żołnierskich. Mimo tak wysokich wymagań, mimo niebezpieczeństwa i ryzyka połączonego z przeprowadzaniem dywersyjnej akcji na tyłach walczących wojsk rosyjskich Oddział Lotny kierowany przez Bielawskiego, a od wiosny 1915 r. przez Mariana Kościałowskiego (ps. Orwid), rzutki, pełen energii i zdecydowania, raz po raz daje znać Rosji o niewygasłej polskiej irredencie". I faktycznie, Ruscy obrywają od Lotnego Oddziału.

eprasa.pl/a83b4f9e6a

MATERIAŁ
MARKETINGOWY



PZU Mecenasem Muzeum Powstania Warszawskiego

PZU od lat z dumą wspiera ważne działania na rzecz kultury i zachowania pamięci historycznej. Pomagamy w odzyskiwaniu obiektów muzealnych, dzieł sztuki. Sprawujemy mecenat nad najważniejszymi i najcenniejszymi instytucjami pielęgnującymi kulturę i dziedzictwo narodowe Polski.

pzu.pl

eprasa.pl a83b4f9e6a

W listopadzie peowiacy z oddziału wysadzają w powietrze tory i most pod Grodziskiem, potem dokonują zamachu na pomnik „pięciu zdrajców" na Zielonym Placu w Warszawie, w grudniu unieruchamiają na dobę praktycznie cały ruch kolejowy. Do tego dochodzi zniszczenie pociągu intendentury pod Lublinem, wysadzenie mostów pod Tłuszczem i pod Brześciem, ciągłe przerywanie połączeń telefonicznych i telegraficznych, zamachy na urzędy, których celem było niszczenie list poborowych i dokumentów związanych z wojskiem. To tylko niektóre przykłady. Oddział naprawdę zalazł Moskalom za skórę.

Żeński oddział

Jednak był i drugi, istotny element pracy – akcje wywiadowcze dotyczące wojska rosyjskiego. Kierował tym Karol Libicki, ale tak naprawdę największy ciężar wielu zadań spadał w tym wypadku na kobiety. Żeński oddział POW składał się w przeważającej mierze z członkiń zarówno Związku Strzeleckiego, jak i Drużyn Strzeleckich. Był prowadzony przez Marię Kwiatkowską-Stefanowską (Ellę) i Jadwigę Barthel de Weydenthal. Podzielono go na cztery sekcje: kolporterską, wywiadowczą, intendentury i sanitarną. Jak pisze Lipiński, „skupiał w sobie cały szereg niezwykle ofiarnych członkiń, które poza pełną energii pracą organizacyjną prowadziły wywiad wojsk rosyjskich, dostarczając dane wywiadowcze kurierkom I Brygady, które z kolei przewoziły je przez fronty do sztabu Józefa Piłsudskiego. A trzeba pamiętać, że była to praca prowadzona przecież w warunkach prześladowania przez żandarmerię carską i w atmosferze powszechnej nieufności polskiego społeczeństwa, zahipnotyzowanego treścią wielkoksiążęcej Mikołaja Mikołajowicza odezwy". Wiązała się ona z olbrzymim ryzykiem. W jednym z raportów niemieckich o POW możemy przeczytać: „Władzom rosyjskim organizacja sprawiła wiele kłopotu... Zesłanie na Syberię czy też kara śmierci nie potrafiły zastraszyć tych ludzi, wzorowo wychowanych konspiracyjnie". Pisał też o tym członek POW Jędrzejewicz w „Wymarsz baonu warszawskiego": „Każdy pracował za trzech, wyładowywał się w pracy bez zastrzeżeń, czując bezmiar leżącej na nim odpowiedzialności. Szkoły oficerskie, podoficerskie i żołnierskie, oddziały bojowe, praca polityczna i wydawnicza, magazynowanie broni, zbiórki i ćwiczenia polowe, praca mobilizacyjna – wszystko to w warunkach najsurowszej konspiracji w czasie twardych praw wojennych – w mieście zalanem wojskiem i władzami moskiewskimi, które wiedziały, że idzie przeciw nim podziemna robota, i przedsiębrały wszelkie środki ostrożności".



Rozbrajanie niemieckiego żołnierza

FOT. NAC

Rozbrajanie Niemców

Wreszcie nastąpił, jak w dobrym filmie, nieoczekiwany zwrot akcji. Rosjanie wycofali się z Warszawy, a do stolicy wkroczyli Niemcy. I wtedy zaczęła się już trochę inna historia POW. Po mobilizacji uformował się w Warszawie czterokompanijny batalion. Piłsudski zaś skierował do niego kapitalny rozkaz.

W drugiej połowie sierpnia 1915 r. tenże batalion wyruszył z Warszawy i został wcielony do I Brygady. Po wstrzymaniu werbunku do Legionów i zaostrzeniu się sporu między Piłsudskim a Austriakami Komendant rozkazał, aby tym bardziej wzmocnić zaciąg do POW. Wtedy też komendantem POW został (po Żulińskim i Żymierskim) Tadeusz Kasprzycki – ten sam oficer, który stojąc przed frontem kompanii kadrowej rankiem 6 sierpnia 1914 r., mówił o tym, że za chwilę wejdą na teren Królestwa jako pierwszy od niepamiętnych czasów oddział wojska polskiego. W czerwcu 1917 r., w apogeum konfliktu, który miał doprowadzić do kryzysu przysięgowego, internowania legionistów i samego Komendanta, doszło do kolejnego zwrotu w historii

eprasa.pl/a53b4f9e6a



PODPIS ELEKTRONICZNY

BEZPIECZNY KROK W PRZYSZŁOŚĆ

- Od lat nieustannie poszukujemy innowacyjnych rozwiązań i dynamicznie dostosowujemy naszą ofertę do zmieniającego się świata usług cyfrowych.
- Centrum Usług Zaufania Sigillum jest naszą odpowiedzią na potrzeby nowoczesnego biznesu.
- Od 2002 roku Centrum oferuje podpis elektroniczny wszystkim, którzy cenią swój czas, bezpieczeństwo i wygodę pracy.
- Podpis elektroniczny jest wykorzystywany w kontaktach z administracją publiczną i w relacjach biznesowych, m.in. do zdalnego zawierania umów cywilno-prawnych, udziału w przetargach, elektronicznego obiegu faktur, uwierzytelniania i szyfrowania korespondencji.

Twoje trzy kroki w przyszłość:

1. Wejdź na stronę **sigillum.pl** i zarejestruj się
2. Umów się na wizytę z inspektorem i potwierdź swoją tożsamość
3. Zacznij korzystać z podpisu elektronicznego

Minimum formalności
Bezpieczeństwo i wygoda
Zaufany i doświadczony dostawca

PWPW
CENTRUM USŁUG ZAUFANIA
SIGILLUM

eprasa.pl a83b4f9e6a

POW. Oto 17 czerwca Komenda Naczelna wypowiedziała zależność od Tymczasowej Rady Stanu i zaczął się nowy, kolejny etap konspiracji – tym razem zwróconej przeciwko Niemcom. Gdy Piłsudski przyjechał do Warszawy, witany przez Adama Koca, rozegrać się miał jeden z najważniejszych aktów dramatu wojennego POW – udział w „przejęciu" kraju i rozbrojeniu Niemców. To zwycięstwo i ten bezkrwawy praktycznie, pozbawiony elementów zemsty finał to także piękny akord, zarówno jeśli chodzi o dzieje Polski, jak i o samą POW. Gdy było trzeba, okazało się, że jest w Polsce utrzymywana w konspiracji cała armia, gotowa natychmiast, od ręki niejako, zabezpieczać wyzwalany kraj.

Cel został osiągnięty!

Jednak pięknych momentów, chwil, w których na balkonach i dachach pojawiły się polskie flagi, nie wszyscy żołnierze POW doczekali. Ale jeden z nich, pomimo tego, że poległ wcześniej, radości wywieszenia polskiej flagi w Warszawie doświadczył – był to pierwszy komendant Tadeusz Żuliński.

W pierwszej połowie roku 1915 działał w Warszawie niemal jak Traugutt. Miał tam swoją kwaterę, z której kierował całą pracą, otoczony współpracownikami, szefami sekcji, ale jednocześnie samotny. Zawsze wierny Piłsudskiemu, działał jako jego prawa ręka w zaborze rosyjskim. W sierpniu 1915 r., kiedy Rosjanie opuścili naszą stolicę, Żuliński natychmiast zmobilizował swoich ludzi, uzbroił ich i jeszcze zanim Niemcy zdążyli wkroczyć do Warszawy, rankiem dnia 5 sierpnia, wywiesił na Pałacu Namiestnikowskim polską flagę. Nie trzeba chyba wyjaśniać rangi ani siły tego symbolu. Równo w rocznicę powieszenia Traugutta, Toczyskiego, Jeziorańskiego, Krajewskiego i... Żulińskiego. Na pałacu, w którym rezydował namiestnik cara, byłym pałacu Radziwiłłowskim... W czasie jeszcze trwającej wojny załopotała biało-czerwona. Wszystkim musiały płynąć łzy na taki widok. Potem Żuliński wyszedł z batalionem POW i został szefem kompanii w batalionie Fleszara. Wziął udział w kilku bitwach na Wołyniu. Nadeszła jesień. Dostał zezwolenie

„Żołnierze! Stoicie na posterunku najcięższym, jaki wypaść może polskiemu żołnierzowi, bez błyskotek zewnętrznych, które daje wojsko, bezpośredniej walki z wrogiem, pierś w pierś i oko w oko; stoicie zagrożeni zewsząd przez niewidzialnego nieprzyjaciela, jak żołnierz postawiony na posterunku powszechnie uważanym za stracony. Lecz, żołnierze, gdyby Was brakowało, brakowałoby koniecznego nieodbicie w każdym wojsku polskiem ogniwa. Brakowałoby tego tonu, który jedynie czyni wojnę – wojną narodową i zespoloną najściślej z tragicznemi tradycjami walk ojców i dziadów. Powiem więcej: gdy o mnie idzie, o mnie, którego obwołujecie swym naczelnikiem, to właśnie Wy, dzielni żołnierze, godzicie mnie z ciężkim losem, który mi wypadł podczas tej wojny. We własnym więc imieniu i w imieniu wojska, któremu przewodzę, dziękuję Wam za Waszą pracę. Żołnierze! Znam warunki pracy Waszej i wiem, jak szalenie wpływają one na rozkład energii i woli ludzkiej, jak łatwo wprowadzają w stan zdenerwowania, najniebezpieczniejszy w każdej wojnie. Gdybym tu wykuwał duszę nowoczesnego polskiego żołnierza, jako jedno z pierwszych swych zadań uważałem wyrobienie w ludziach spokoju i wewnętrznej równowagi, bez względu na to, co się dzieje dokoła. I oto teraz jesteśmy sławni właśnie z powodu nadzwyczajnego spokoju, w którym przeprowadzamy pracę wojenną. Wam tego spokoju, tych nerwów ze stali wykutych więcej niż nam potrzeba. I jeśli tu udało się mi w prędkim czasie uczynić to, co uważano za niemożliwe, dzielne wojsko bez żołnierzy, oficerów, z powołania, tak chciałbym z Was wytworzyć inną tzw. niemożliwość; żołnierza w całem tego słowa znaczeniu, w warunkach pracy konspiracyjnej. Pracy, odwagi i spokoju".

Fragmenty rozkazu Józefa Piłsudskiego z 25 lipca 1915 r., wydanego w Łączkach, w Lubelskiem, odczytanego przed frontem batalionu POW 10 sierpnia 1915 r. w koszarach na ulicy Żurawiej

eprasa.pl/a33b4f9e6a



STABILIZACJA I BEZPIECZNY ROZWÓJ

Jesteśmy jedną z najnowocześniejszych rafinerii w Europie, producentem paliw i produktów chemicznych najwyższej jakości. Dostarczamy wysoko wyspecjalizowane usługi logistyczne i serwisowe. Naszym celem jest stabilny, bezpieczny i zrównoważony rozwój. Tworzymy przestrzeń dla innowacji.

www.lotos.pl

LOTOS

eprasa.pl a83b4f9e6a

na urlop. Z tym zezwoleniem w kieszeni munduru porucznik Tadeusz Żuliński udał się w bój pod Kamieniuchę. Był dżdżysty dzień – 29 października 1915 r.

Dostał w brzuch. Szrapnelem. I to kilkukrotnie. Zaniesiony z pola bitwa do szpitala polowego leżał na noszach między innymi rannymi. Jako lekarz nie wołał pomocy, ale czekał, aż dostaną ją inni.

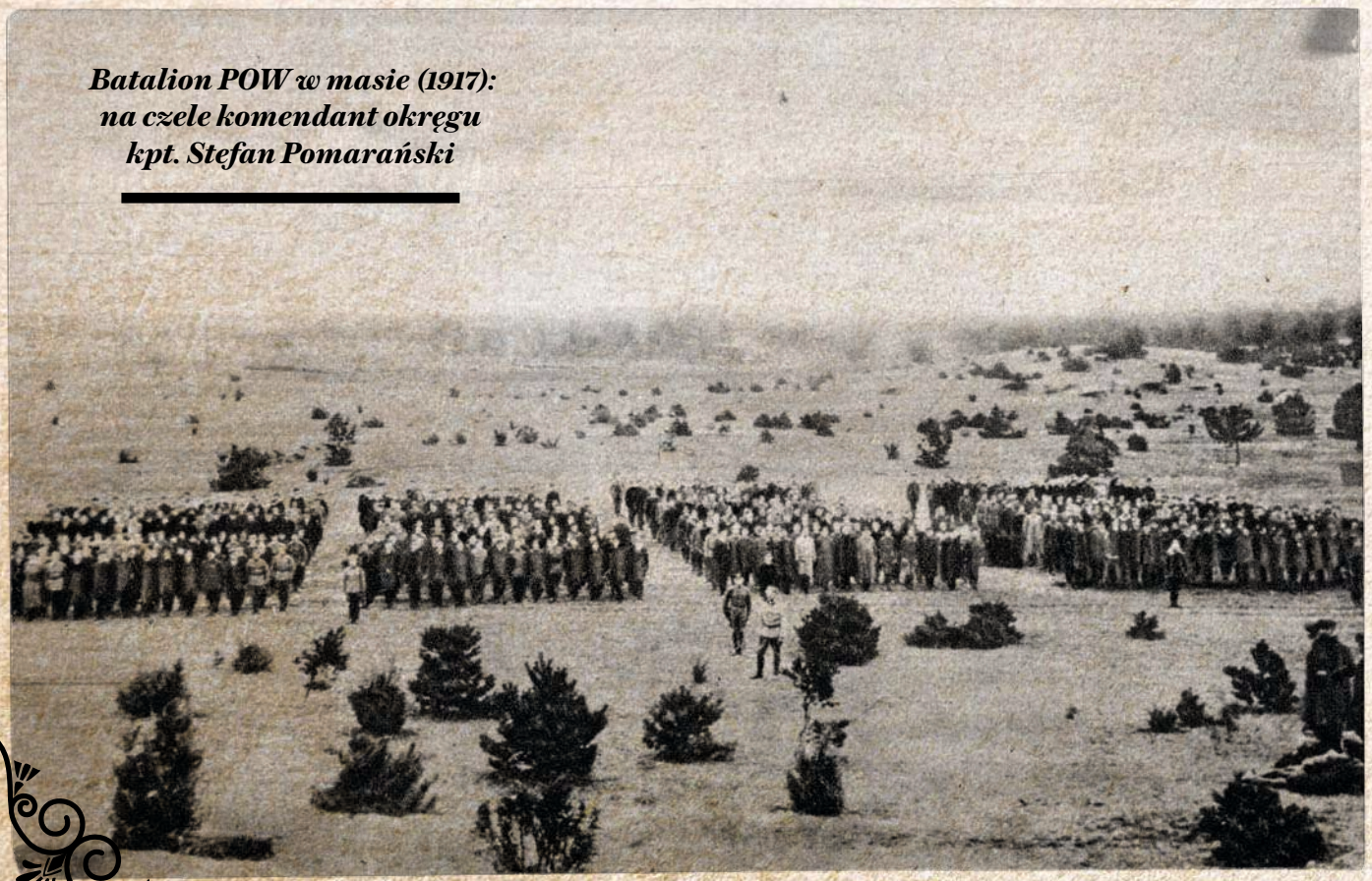
Koźmiński tak opisał te chwile: „Zapadł szybko zmierzch jesienny. Teraz jeszcze tylko nakręcić zegarek, jak zawsze przed snem, choć się nie chce, choć sił brak. I będzie trzeba zasnąć... W gasnącym blasku dnia 3 listopada twarz rannego zaostrzyła się, zastygła, jego oczy błękitne, królewskie, zapatrzyły się jakby w jeden punkt daleki...".

Wiem, co widziały. Tam gdzieś, otworzył się dach namiotu szpitalnego i porucznik Żuliński wzniósł się wysoko, tak wysoko, że zobaczył swoją flagę na Krakowskim Przedmieściu. Na pałacu, który znowu miał się stać polskim, miał być siedzibą prezydenta Rzeczypospolitej. Wokół powiewało całe morze biało-czerwonych flag. A jego następca na stanowisku komendanta POW Tadeusz Kasprzycki wydał 11 listopada 1918 r. ostatni rozkaz – rozkaz rozwiązania POW. Cel został osiągnięty! Polska była wolna!

Kilkanaście dni po śmierci Żulińskiego pod Styrem, gdzie walczyła I Brygada, odczytano rozkaz Piłsudskiego... W rocznicę wybuchu powstania listopadowego...

„Żołnierze! W pamiętny dzień 29 listopada, gdy serce żołnierza polskiego żywiej bije z myślą o chwili, w której dziadowie nasi w Warszawie za broń porwali dla walki o wolność Ojczyzny, chcę wrazić wam w pamięć imię kolegi naszego, który godzien jest stanąć obok czczonych przez nas bohaterów przeszłości. Mówię tu o zmarłym przed miesiącem od ciężkiej rany poruczniku Tadeuszu Żulińskim. W zeszłym roku wysłałem go do Warszawy, by tam w zaborze jeszcze wówczas rosyjskim, stanął na czele przygotowań wojennych. Gdy my z bronią w ręku mieliśmy satysfakcję boju otwartego z wrogiem, gdyśmy na odpoczynkach w wesołym kolegów gronie zapominali o troskach, gdy wreszcie nawet śmierć czy ciężka rana spotykała żołnierza wśród wrzawy, walki, świstu kul i w otoczeniu przyjacielskim, z nim było inaczej. Tam w Warszawie, wśród sieci szpiegów i podszeptów słabości, bez wszelkich błyskotek życia żołnierskiego, mając w perspektywie śmierć samotną w lochu więziennym lub w otoczeniu siepaczy, porucznik Żuliński długie miesiące stał na stanowisku w tej wojnie najtrudniejszym i najbardziej honorowym, szedł w ślady ojców i dziadów, którzy tajemnie w ciężkich więzach podziemnego spisku gotowali broń przeciw najeźdźcy. Jego to i jego kolegów praca nawiązywała w naszej walce nić tradycji z tą specyficznie polską wojną, którą toczyli nasi przodkowie, z ducha której wyrośliśmy i my – nowocześni żołnierze polscy.

Żołnierze! Wzywam was, byście oddali cześć komendantowi oddziału wojsk polskich w Warszawie i w zaborze rosyjskim w roku 1915!".



Batalion POW w masie (1917): na czele komendant okręgu kpt. Stefan Pomarański

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl/a33b4f9e6a

ALIOR BANK

USŁUGA WIELOWALUTOWA

OBIERZ KURS I NIE MARTW SIĘ PRZEWALUTOWANIEM



Z Usługą Wielowalutową nie płacisz za przewalutowanie. W zależności od tego, gdzie jesteś, pieniądze są pobierane automatycznie i rozliczane w USD, EUR lub GBP.
I to bez konieczności zamawiania nowej karty.

www.aliorbank.pl

Usługa Wielowalutowa jest dostępna dla klientów posiadających Konto Jakże Osobiste lub Konto Elitarne. Włączenie i używanie usługi jest bezpłatne.



Wejdź do **Świata Premium**

0 zł

- za opiekę Doradcy Osobistego
- za prowadzenie rachunku płatniczego **Konto Świat Premium**[1]
- za obsługę złotej karty debetowej (karty wielowalutowej do konta)
- prowizji banku za wypłatę gotówki z bankomatów w Polsce i za granicą

Bank Pekao Premium

[1] Brak opłaty w danym miesiącu, jeżeli łączna kwota aktywów klienta w poprzednim miesiącu kalendarzowym była równa lub wyższa niż 200 tys. zł. W przeciwnym razie opłata w danym miesiącu wyniesie 50 zł. Szczegółowa definicja aktywów klienta znajduje się w Taryfie opłat i prowizji w części dotyczącej Konta Świat Premium, która jest dostępna w oddziałach banku oraz na www.pekao.com.pl/indywidualni/taryfa.

Pojęcia użyte w niniejszym materiale mają znaczenie nadane im przez Rozporządzenie Ministra Rozwoju i Finansów z dnia 14.07.2017 r. w sprawie wykazu usług reprezentatywnych powiązanych z rachunkiem płatniczym (Dz.U.2017.1437).

Bank Pekao S.A.

eprasa.pl a83b4f9e6a



Platynowe Lwy dla Skolimowskiego

To jeden z najbardziej kreatywnych reżyserów polskiego kina. Ale też poeta, malarz i aktor. Jego „Ręce do góry" zatrzymane w 1967 r. przez cenzurę do dziś budzą emocje. A potem był m.in. „Wrzask", który wstrząsnął publicznością na całym świecie. Jego ostatnie filmy zaś pokazują, że wciąż jest w znakomitej formie

Fot. Mat. prasowe FPFF/Rafał Malko

eprasa.pl a83b4f9e6a



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Kadr z filmu „Rysopis”

Fot. Mat. prasowe

5 maja tego roku Jerzy Skolimowski świętował 80. urodziny. Na zakończonym właśnie 43. Festiwalu Filmowym w Gdyni odebrał nagrodę za całokształt twórczości – Platynowe Lwy. Jednocześnie na tym samym festiwalu mogliśmy go oglądać jako jedną z „gościnnych gwiazd” w filmie „Juliusz”, wyrosłej ze stand-upu nowatorskiej komediowej formule. Najwyraźniej szacowny laureat nie zamierza jedynie odcinać kuponów od przeszłości. Zresztą w trwającej wciąż dekadzie wychodził do widzów z bardzo różnorodnymi formalnie, docenionymi też przez gdyńskich jurorów filmami. Każdy kolejny projekt był zarazem zdecydowanie odmienny od poprzedniego.

„11 minut” (2015) powstało trzy lata po nieoczekiwanej śmierci młodszego z synów reżysera. Oddawało – jak mówił twórca – towarzyszące mu w tym czasie dojmujące poczucie „nieuchronności katastrofy”. Wielowątkowa historia spięta dramatycznym finałem zaskoczyła widzów i krytykę energią realizacji przejawiającą się m.in. w dynamicznych nowoczesnych cięciach obrazu. Film znalazł się w konkursie głównym jubileuszowego, 40. FPFF i zdobył Nagrodę Specjalną Jury (a także nagrody za montaż i muzykę).

Wcześniejsze o cztery lata „Essential Killing” (2011) to z kolei opowieść niemal bez dialogów. O uciekinierze z amerykańskiego więzienia ulokowanego gdzieś w środkowej Europie. Film wzbudził co prawda kontrowersje i podzielił odbiorców na skrajne obozy, ale zdobył Złote Lwy, a także nagrodę dla reżysera oraz autora muzyki (Paweł Mykietyn), operatora (Adam Sikora) i montażystów.

Zupełnie inny klimat miały przywiezione w 2008 r. do Gdyni „Cztery noce z Anną”, w których kreację stworzyła Kinga Preis (obraz nagrodzono za scenografię i dźwięk).

Droga Jerzego Skolimowskiego do gdyńskich splendorów nie była prosta. Podobnie zresztą jak droga przyszłego reżysera do kina. Chociaż już w czasach edukacji w czeskim gimnazjum (matka była attaché kulturalnym polskiej ambasady w Pradze) poznał Miloša Formana i Václava Havla.

Najpierw odkrył dla siebie siłę słowa. W 1957 r. debiutował wierszem „Moje rundy” opublikowanym w „Nowej Kulturze”. Wydał kilka tomików poezji, potem pisał też sztuki teatralne. Na studia wybrał... etnografię. To z tego wydziału przeniósł się do łódzkiej Filmówki.

W kinie zadebiutował najpierw jako scenarzysta. Z Jerzym Andrzejewskim napisał historię „Niewinnych czarodziejów” wyreżyserowaną potem przez Andrzeja Wajdę, a z Romanem Polańskim współtworzył „Nóż w wodzie”.

Pierwszym wyreżyserowanym przez niego filmem (w którym występował również jako aktor) był „Rysopis” (1964). Wcielając się w głównego bohatera autsajdera, wyreżyserował też „Walkower”. W kolejnej produkcji – „Barierze” – główną postać zagrał Jan Nowicki.

W 1969 r. Jerzy Skolimowski wyjechał z Polski. Kolejne filmy realizował w Anglii, we Włoszech i w Hollywood. Były to: „Start” („Le Depart”, za który otrzymał Złotego Niedźwiedzia na festiwalu w Berlinie), „Na samym dnie” (1970), „Wrzask” (1978), „Fucha” (1982), „Latarniowiec” (1985), „Wiosenne wody” (1989) oraz nakręcone w 1991 r. na podstawie prozy Witolda Gombrowicza „Ferdydurke”.

Kolejne lata reżyser poświęcał malarstwu i poezji, by w 2008 r. wrócić do kina filmem „Cztery noce z Anną”. 27 lat wcześniej, gdy festiwal odbywał się jeszcze w Gdańsku, otrzymał Nagrodę Dziennikarzy za „Ręce do góry”, film odstawiony na półkę w 1967 r. przez cenzurę.

Teraz odebrał w Gdyni Platynowe Lwy. Dotychczas otrzymali tę nagrodę m.in. Andrzej Wajda, Jerzy Antczak, Sylwester Chęciński, Tadeusz Chmielewski, Tadeusz Konwicki, Janusz Majewski, Roman Polański, Witold Sobociński, Jerzy Wójcik. W ubiegłym roku do tego grona dołączył Jerzy Gruza.



Kadr z filmu „Essential Killing”

Fot. Mat. prasowe

eprasa.pl a83b4f9e6a

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Polski oddech Viscontiego

Od niektórych filmów jestem uzależniony jak od narkotyków. Dotyczy to „Magnata" Filipa Bajona. A gdy powraca, zwykle pod postacią serialu „Biała wizytówka", będącego rozszerzoną wersją, nie mogę przynajmniej nie zerknąć na kilka sekwencji. Ostatnio w Jedynce TVP.

Nie wiem, skąd wziął się Bajonowi pomysł, aby w przaśnej Polsce Jaruzelskiego wykreować fresk o książętach pszczyńskich, potoczysty, smaczny, groteskowy i piękny. Żeby połączyć pulsującą życiem opowieść historyczną o śląskim pograniczu z drapieżną baśnią z wyższych sfer, gdzie wszystko – od wielkiej, rozedrganej szaleństwem muzyki Jerzego Satanowskiego po pulsujące emocjami aktorskie sceny – wieszczy zagładę klasy jak w barokowych obrazach Viscontiego. Nawet jeśli Bajon historię upraszczał, naginał, brał kolejne wiraże ze zręcznością wielkiego artysty.

Ciekaw jestem, jaką dziś wywołałby dyskusję ciąg obrazów nacechowanych jednak fascynacją niemieckimi wielkimi panami. Owszem, błądzą, niektórzy wchodzą w komeraże z nazizmem, ale wielcy są i wspaniali, nie tylko kiedy tarzają się w maku czy robią sobie sceny zazdrości godne dramatów Szekspira.

Owszem, Franzel Olgierda Łukaszewicza jest zakompleksiony i dlatego trafia na stronę Hitlera, gdzie zresztą czuje się nieszczególnie. Ale Jan Nowicki jako stary książę, Jan Englert jako Konrad i Bogusław Linda, nawet jeśli grzeszą, to przecież są ponad niemiecki nacjonalizm. Co zresztą jest prawdą – dwóch synów prawdziwego księcia von Pless, w końcu Anglików po matce, służyło podczas wojny w RAF, a nie w Luftwaffe.

Dziś, w dobie antyniemieckich emocji części Polaków, Bajon ze swą fascynacją niemiecką arystokracją mógłby się wystawić na oskarżenia. Bo wprawdzie racje Polaków brzmią w tym filmie tak klarownie, że nawet stary książę (wielka rola Nowickiego) musi je uznać, ale lokaj, uosobienie śląskiej mądrości, grany przez nieodżałowanej pamięci Zygmunta Bielawskiego, tłumaczy, dlaczego jego pan jest mu bliższy niż Polska: „Z księciem zapadałem się pod ziemię, a z Polską nie". Chodzi o wypadek związany z geologiczną katastrofą. Ale czy dziś nie brzmiałoby to jak bluźnierstwo?

Piszę to i dlatego, że widziałem na festiwalu w Gdyni nowy obraz Bajona „Kamerdyner". Stał się on przedmiotem kuluarowych narzekań: że za długi, że ciężki, że to nie to, co „Magnat". Ja filmu generalnie broniłem, nawet jeśli widziałem w nim niedoróbki. Także historyczne kiksy – tym razem pomorscy, nie śląscy, junkrzy wydają swą córkę za mąż w katolickim kościele (absurd!), a cały koncept ich relacji z kaszubskim nieślubnym synem hrabiego Kraussa wydaje mi się miejscami wydumany. W „Magnacie", w „Białej wizytówce", przy całym przepuszczeniu historii przez kreacyjną wyobraźnię, na takie fałszywe tony nie trafiałem.

A jednak ta epopeja i broni się, i ogląda, a sygnał, że będzie z tego kolejny serial, mnie ucieszył. Z jednej strony idzie ona dalej w „rewizjonizmie". W jednej ze scen Kaszub, trochę przywódca lokalnej społeczności, grany przez Janusza Gajosa, kłóci się z przedstawicielem polskiego rządu, broniąc Niemców Kraussów przed wywłaszczeniem. Liberalna gdyńska publika się cieszyła – oto dołożono PiS, polskocentryczności „dobrej zmiany". A z drugiej Bajon robi to, czego nie było w „Magnacie" kończącym się w połowie lat 30. i skoncentrowanym na Niemcach. Pokazuje kaszubską martyrologię, mord w Piaśnicy. To nowe wątki w polskim kinie i tego już najwięksi liberałowie nie trawią. Wiem, bo słyszałem takie rozmowy w Gdyni.



Piotr Zaremba


Fot. Bartek Mrozowski

„Kler”, czyli „Drogówka” w koloratkach

Smarzowski nie mówi nieprawdy o poszczególnych przypadkach niegodziwości w polskim Kościele. Tyle że, zderzając je z sobą w dwugodzinnym filmie, tworzy nieprawdziwy obraz całego duchowieństwa



ŁUKASZ ADAMSKI

Każdy, kto czyta moją publicystykę, wie, jaki jest mój stosunek do pedofilskich afer, które od dziesięcioleci trawią Kościół katolicki. Nieraz przywoływałem słowa Benedykta XVI o brudzie wśród pasterzy Kościoła. Nieraz pisałem, że oczyścić wieloletnie, haniebne postępowania wpływowego w Watykanie lobby może tylko polityka „zero tolerancji” i rozgrzane do czerwoności żelazo. Od Kościoła należy też wymagać więcej, jeżeli wierzymy, że jest on strażnikiem Prawdy.

Tyle tytułem wstępu do tekstu o „Klerze” Wojciecha Smarzowskiego. Kilka lat temu fetowany w prawicowej prasie za „Wołyń” (2016) reżyser teraz uderzył z pełną mocą w Kościół katolicki, oburzając nawet ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, który wychwalał poprzedni film artysty. Teraz ten sam duchowny, niebojący się od lat pisać o „lawendowej mafii” w Kościele i szerokim problemie pedofilii, zwalcza „Kler” ze znaną sobie pasją.

SMARZOWSKI JEST SZCZERY

Czy „Kler” mnie zszokował? Czy uczciwy i odważny Smarzowski z „Wołynia” zaskoczył mnie swoją woltą ideologiczną? Nie. Znam kino Smarzowskiego. Widziałem jego ludowy (brzuchaty i pijany proboszcz) antyklerykalizm w „Weselu” (2004). Widziałem postać pijanego księdza w „Pod Mocnym Aniołem” (2014) i uzależnionego od pornografii duchownego w nowelce „Ksiądz” (2017). Smarzowski w tych filmach umieszczał postacie duchownych w szerszym kontekście. Wiejski proboszcz zasymilowany z lokalną społecznością przy wódeczce nie jest przecież rzadkim wyjątkiem. Film o alkoholizmie oparty na książce Jerzego Pilcha miał pokazać, że uzależnienie od tego narkotyku dotyka każdą grupę zawodową. Również duchowieństwo.

„Kler” to film wściekle antyklerykalny. Nie jest zrobiony przez katolika zatroskanego o losy zdradzonego przez wpływowych hierarchów Kościoła. To film nieprzyjaciela Kościoła. To film osoby widzącej jedną stronę tegoż Kościoła. Chcącej mu przyłożyć jak najmocniej. Czy Smarzowski nie widzi tej drugiej twarzy? Twarzy zakonnic i zakonników pomagających trędowatym w Afryce? Twarzy męczenników za wiarę w Chinach i w krajach agresywnego dżihadu? A może nie potrafi jej dostrzec. Nie chce?

Nie roztrząsam tego, gdyż reżyser fabularnego filmu nie jest reporterem. Nie ma obowiązku patrzenia na konkretne zjawisko w sposób obiektywny. Broniłem Patryka Vegi za stronnicze glanowanie służby zdrowia w „Botoksie”. Bronię też prawa Smarzowskiego do pokazania wykoślawionego obrazu policji w „Drogówce” (2013), jak i krzywego obrazu duchowieństwa w „Klerze”. Smarzowski potrafi być wyważony, gdy chce. Dowodem na to jest nie tylko „Wołyń”, w którym mieliśmy również postacie złych Polaków i dobrych Ukraińców, ale jego najwybitniejszy film, czyli „Róża” (2011). Teraz nie chce być wyważony. Jest jednak szczery. Smarzowski nigdy nie ukrywał swojego antyklerykalizmu.

Czy w Kościele są księża alkoholicy? Czy są duchowni uprawiający seks ze swoimi gosposiami? Czy zdarzają się biskupi zapatrzeni w grube pliki banknotów, którzy lepiej czują się na salonach politycznych niż w konfesjonale? Czy księża próbujący informować swoich przełożonych o przypadkach pedofilii byli uciszani? Czy pedofile w sutannach byli przenoszeni do innych parafii?

eprasa.pl a83b4f9e6a

Każdy średnio zorientowany w publicznych sprawach człowiek odpowie na te pytania twierdząco. Papież Franciszek cały swój pontyfikat buduje na sprzeciwie wobec obnoszenia się hierarchii z bogactwem. Benedykt XVI wymiatał autodestrukcyjne procedury stojące za pedofilskim kryzysem. Smarzowski nie mówi nieprawdy o poszczególnych przypadkach nadużyć, przestępstw i niegodziwości w polskim Kościele. Tyle że, zderzając je z sobą w dwugodzinnym filmie, tworzy nieprawdziwy obraz całego duchowieństwa.

DROGÓWKA W KOLORATCE

„Kler" jest filmem bardzo podobnym do „Drogówki". Otwiera go scena libacji alkoholowej trzech duchownych. Jeden wyrwany z imprezy na prośbę dziecka jedzie udzielić ostatniego namaszczenia starszej kobiecie. Potem „nawalony" spowiada kobietę, która dokonała aborcji. Inny wsiada pijany za kółko, „bo mu wolno". Równie dobrze te postaci mogłyby imprezować w „Domu złym", bawić się na „Weselu" albo chlać na komisariacie. Różnica jest taka, że mają koloratki. Smarzowski zatapia każdy swój film w wódzie, co naprawdę robi się męczące i banalizuje ważne treści. Samotność i trauma z dzieciństwa naprawdę zawsze wiążą się z alkoholem?

Niemniej jednak „Kler" jest filmem dobrze wyreżyserowanym i świetnie zagranym. Szczególnie że postacie duchownych, w których wcielają się Robert Więckiewicz i Arkadiusz Jakubik, nie są papierowe ani jednowymiarowe. Ksiądz, który rezygnuje z ciepłej posady proboszcza i po męsku zrzuca koloratkę, wiążąc się z kobietą noszącą w łonie jego dziecko, oraz szukający odkupienia za własne grzechy duchowny tropiący pedofilów (sam będący ofiarą pedofilii księdza w dzieciństwie) to najciekawsze postacie filmu.

Nie jest prawdą, że nie pojawia się u Smarzowskiego żadna pozytywna postać kapłana. Jest nią trzecioplanowy wikary grany przez Adriana Zarembę, jak i duchowny grany brawurowo przez Jakubika. Ulubiony aktor Smarzowskiego tworzy rolę przejmującą. Dociera do zakamarków duszy duchownego. Na naszych oczach ją penetruje i rozdziera. Szkoda, że przygniata tę ciekawą postać ciężar demonicznie złego, pazernego i obłudnego arcybiskupa o znamiennym nazwisku Mordowicz. Janusz Gajos tworzy karykaturę hierarchy rodem z „Faktów i Mitów". Kuria Mordowicza jest jego prywatnym folwarkiem. Oczy świecą mu się na widok złota jak Dickensowskiemu Scroodge'owi. Jeździ też bentleyem. Ten miłośnik sojuszu tronu i ołtarza jest przeciwieństwem postaci duchownego, którego ten sam aktor zagrał w „Zaćmie" Ryszarda Bugajskiego. Spotkałem się jednak z opiniami ludzi z wewnątrz Kościoła, że arcybiskup Mordowicz mówi dokładnymi cytatami z pewnego znanego polskiego hierarchy.

ANTYSEMICI I ZŁE ZAKONNICE

Przerysowany arcybiskup nie jest największym mankamentem filmu Smarzowskiego. W podobną postać wciela się Jacek Braciak. Inteligentny i przebiegły karierowicz z kurii jest żywcem wyjęty z kina o mafii. Szantażuje otoczenie, mieszka w ekskluzywnych przybytkach i robi wszystko dla kariery w Watykanie. Jedna scena płaczącego przez dziecięce traumy (oczywiście związane z seksualnym wykorzystywaniem) kapłana nie uwiarygodnia czarnego charakteru. Reżyser jest równie gniewny, pokazując sierociniec zakonny z głębokiej PRL, w którym zakonnica nakazuje za zmoczenie łóżka bić dziecko kablem. Potem chłopiec zostaje zgwałcony przez otoczenie. Narodowcy ćwiczą skandowanie pod okiem młodego kapłana w kurii (czy Smarzowski zapomina, jak Kościół ukarał byłego księdza Międlara?), natomiast z ust duchownych padają słowa „Żydki" i „żydowska pizda". Naprawdę w czasie, gdy nawet zdemonizowany na lewicy o. Tadeusz Rydzyk robi ze środowiskami żydowskimi wielkie konferencje naukowe, można wrzucać Kościół do tej szufladki?



„Kler", reż. Wojciech Smarzowski, dystr. Kino Świat

Nie można jednak odmówić Smarzowskiemu pewnej przenikliwości spojrzenia na kulisy zamiatania pedofilskich skandali pod dywan. Pisał o tym nawet ostry krytyk „Kleru" ks. Isakowicz-Zaleski. „Najmocniejsze, a zarazem najwartościowsze fragmenty tego dzieła, to relacje ofiar pedofilii duchownych, zmontowane na zasadzie »film w filmie«, oraz scena przesłuchania jednej z ofiar w kurii przez arcybiskupa i kilku duchownych, którzy próbują zrobić żałącemu się mężczyźnie wodę z mózgu" – zauważa kapłan, znający przecież od kulis przypadki traktowania ofiar „predatorów w sutannach".

O pedofilii w Kościelnie nie wolno milczeć. Potrzeba kina mocnego i wstrząsającego, ale zarazem mądrego i wyważonego. Przerysowanie i tak wielkie przeczernienie odepchnie od niego katolików czekających na rozliczenie drapieżników w sutannach. „Kler" jest pozbawiony kłującej długo po seansie niejednoznaczności wspaniałej „Wątpliwości" (2008) Johna Patricka Shaneya, z wielkimi kreacjami Meryl Streep i Phila Seymoura Hoffmana, gdzie na problem pedofilii księdza patrzyliśmy oczami przestępcy, niewinnej ofiary, ostatniego sprawiedliwego i zacietrzewionego oskarżyciela. Nie ma u Smarzowskiego delikatności wyrazistego przecież „Spotlight". Nie ma nawet namiastki wysublimowanego intelektualnie antyklerykalizmu Felliniego czy jego naśladowcy Sorrentino. Jest za to walenie bejsbolem między oczy. Kościół jest zły. Na każdej płaszczyźnie. W każdym wymiarze. W ujęciu Smarzowskiego nie jest to święty Kościół, w którym są grzeszni ludzie, to nieświęty Kościół, w którym marginalnie występują sprawiedliwi. Cóż, ja znam zupełnie inny Kościół. Mam nadzieję, że Wojtek Smarzowski otrzyma łaskę, by go kiedyś dojrzeć. Z całego serca mu tego życzę.

eprasa.pl a83b4f9e6a



Fot. Milena Kindziuk

Katarzyna Pechman, dyrektor artystyczna Herbertiady, pomysłodawczyni i organizatorka ogólnopolskiego festiwalu w Kołobrzegu

Herbertiada w Roku Herberta



MILENA KINDZIUK

Tegoroczny festiwal poezji Zbigniewa Herberta w Kołobrzegu jest wyjątkowy. Odbywa się w ogłoszonym przez Sejm roku tego poety oraz w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości. A wszystko to za sprawą Katarzyny Pechman, wielkiej pasjonatki i pomysłodawczyni imprezy

Liczą się tylko „kryształowe pojęcia" – pisał poeta, „smak", życie „w postawie wyprostowanej"; natomiast „najgorsza ze wszystkich" jest „twarz zdrady", a „podły tchórz" i „ceniony szpicel" są godni współczucia i pogardy. Wyraziste i jasne wiersze Zbigniewa Herberta wciąż imponują i porywają – twierdzą uczestnicy Herbertiady, czyli ogólnopolskiego festiwalu w Kołobrzegu.

To właśnie miasto – jak określił kiedyś znany bard Przemysław Gintrowski – we wrześniu staje się stolicą poezji jednego z najwybitniejszych polskich twórców, dwa razy nominowanego do Nagrody Nobla.

HERBERTOŻERCY

Ogólnopolski Przegląd Twórczości Zbigniewa Herberta, dzień pierwszy: warsztaty recytatorskie. Kameralna aula Zespołu Szkół Społecznych im. Z. Herberta w Kołobrzegu gromadzi 15 licealistów z różnych stron Polski. Z zapałem wypełniają polecenia Agaty Piotrowskiej-Mastalerz z Akademii Teatralnej w Warszawie, by ćwiczyć emisję głosu, uczyć się mowy ciała, sztuki interpretacji.

Dzień drugi: konkurs recytatorski. Mała sala teatralna w Regionalnym Centrum Kultury im. Z. Herberta, a na niej ubrana na czarno 16-latka. Z zapałem wypowiada kolejne strofy wiersza „Pan Cogito ogląda w lustrze swoją twarz". Bacznie obserwują ją członkowie jury: aktorzy Teatru Narodowego w Warszawie: Magdalena Warzecha i Jarosław Gajewski oraz Helena Elert, polonistka z Kołobrzegu.

Wiersze, które recytują licealiści – w tym roku zgłosiło się 31 osób – niekiedy się powtarzają. Paradoksalnie najrzadziej uczniowie wybierają najbardziej znane „Przesłanie Pana Cogito", chociaż każdy na pamięć zna najsłynniejsze strofy: „Ocalałeś nie po to aby żyć / Masz mało czasu trzeba dać świadectwo [...] / Bądź wierny Idź". Jak podkreśla Wojciech Czaplewski, polonista od początku zaangażowany w projekt, niektórzy przybyli na Herbertiadę już po raz drugi lub trzeci, licząc na to, że w końcu otrzymają Grand Prix. Ale to nie nagroda jest najważniejsza, tylko dotknięcie tej twórczości. – Obserwuję, jak dzięki Herbertowi ci młodzi ludzie dojrzewają wewnętrznie, jak ta poezja pomaga im odnajdywać w życiu prawdziwe wartości – twierdzi prof. Czaplewski. W ten sposób tworzy się więc środowisko herbertowskie.

Prezentacja laureatów konkursu recytatorskiego odbywa się trzeciego dnia, podczas uroczystej gali Herbertiady. Publiczność ma też wtedy okazję

eprasa.pl a83b4f9e6a

delektować się spektaklami do wierszy Herberta wystawianymi przez znamienitych aktorów.

Festiwal w Kołobrzegu to impreza pełnoletnia, organizowana już po raz 19. W tym roku jest dedykowana zmarłej przed rokiem siostrze poety, Halinie Herbert-Żebrowskiej, która do tego miasta nad Bałtykiem przyjeżdżała od samego początku. Razem z synem Rafałem Żebrowskim, znanym historykiem. „Zanim mama przeniosła się »do najwyższej loży«, pytała o przygotowania do Herbertiady" – napisał Rafał Żebrowski do uczestników, których trafnie określił mianem herbertożerców.

NIE TYLE ROZRYWKA, ILE KULTURA

Wśród największych herbertożerców jest Katarzyna Pechman, dyrektor artystyczna Herbertiady. Bez jej pasji i samozaparcia nie byłoby bowiem tego festiwalu. – Pokochałam Herberta miłością dozgonną i pragnęłam się podzielić nim z innymi ludźmi, proponując nie tyle rozrywkę, ile kulturę przez duże „K" – przyznaje z uśmiechem.

Rozmawiamy u niej w mieszkaniu, w centrum Kołobrzegu. Od razu rzucają się w oczy zdjęcia z wizerunkiem Księcia Poetów, płyty Gintrowskiego z piosenkami do wierszy Herberta, a także jego książki. Dużo książek. Na stół wędruje jedna z nich. – To nasz tomik rodzinny – opowiada Katarzyna Pechman. I pokazuje mocno sfatygowany zbiór, w którym poszczególne wiersze są pozakreślane ołówkiem, opatrzone notatkami, poprzekładane kartkami. – Ten tomik był nieodłącznym towarzyszem dobrych i złych chwil naszego życia – twierdzi. Jej fascynacja Herbertem zaczęła się jeszcze w stanie wojennym, kiedy jako uczennica stołecznego Liceum im. Powstańców Warszawy wraz z rówieśnikami czytała wiersze w obiegu podziemnym i odnajdywała w nich wzór nieugiętej postawy moralnej, prawdy, wolności. Później zagłębiała się w tę twórczość razem z mężem Jackiem, przyjacielem i menedżerem Przemysława Gintrowskiego.

Na wierszach Herberta wychowywała się też córka Pechmanów Emilia,



obecnie 26-letnia siostra Teresa, klaryska w klasztorze klauzurowym. Gdy miała 17 lat, wygrała konkurs, recytując „Nike, która się waha". – Do dziś przechodzą mnie ciarki, gdy słyszę recytacje tego wiersza, bo przypomina mi się on w wykonaniu mojej córki – mówi Katarzyna Pechman. Emilia nadal systematycznie czyta Herberta, teraz za kratami zakonnej klauzury.

NAJBARDZIEJ PAMIĘTNE HERBERTIADY

Dwa lata po śmierci Herberta Katarzyna Pechman postanowiła zorganizować przegląd jego twórczości. W ten sposób w grudniu 2000 r. zrodziła się Herbertiada. W Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego pomysłodawczyni festiwalu wystarała się wtedy o dotacje, znalazła sponsorów, zaprosiła Katarzynę Herbert, żonę poety, jego siostrę Halinę, siostrzeńca. I grono znamienitych artystów, wśród nich Gintrowskiego.

Przez 19 lat przez festiwal przewinęło się wielu twórców: Ewa Błaszczyk, Krzysztof Globisz, Jerzy Radziwiłowicz, Agnieszka Fatyga, Dorota Segda, Danuta Stenka, Krzysztof Wakuliński, Wojciech Wysocki, Adam Ferency, Emilia Krakowska, Agnieszka Wagner, Wojciech Machnicki, Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Paweł Królikowski i inni. Były takie festiwale, którym towarzyszyły wystawy fotograficzne, a nawet takie, na których poezję Herberta tańczono, komunikując językiem ciała to, co najważniejsze. Pojawił się cykl „Mistrzowie Mistrza" pokazujący twórczość innego poety, który stanowił dla Herberta źródło inspiracji. Nie zabrakło nawet turniejów szachowych, bo przecież dla poety szachy „to królewska gra".

Najbardziej pamiętna Herbertiada to chyba jednak ta z Przemkiem Gintrowskim, który gościł na festiwalu w Kołobrzegu aż trzy razy. – W trakcie swojego koncertu w 2001 r., tuż po zamachach na World Trade Center, wykonując piosenkę do słów Herberta „U wrót doliny", w pewnym momencie Przemek zaczął płakać na scenie. Ludzie byli tak przejęci, że nie śmieli klaskać, na widowni panowała głucha, przejmująca cisza. Dopiero po następnej piosence zabrzmiały długie oklaski – opowiada Katarzyna Pechman. Bard po pierwszej herbertowskiej płycie „Odpowiedź" wydanej w 2000 r. stworzył osiem lat później kolejną, którą zatytułował „Tren". W planach była trzecia, zamykająca trylogię herbertowską, ale nie doczekała się realizacji z powodu śmierci Gintrowskiego w październiku 2012 r.

NIEPODLEGŁA HERBERTA

Festiwal w Kołobrzegu to zapewne jedno z ostatnich wydarzeń kończącego się Roku Zbigniewa Herberta. Jakże charakterystyczne było zwieńczenie Herbertiady – występ Chóru Kameralnego „Collegium Musicum" Uniwersytetu Warszawskiego pod dyrekcją Andrzeja Borzyma juniora, a w programie arcydzieła polskiej muzyki chóralnej oparte na tekstach Mikołaja Reja, Leopolda Staffa, Jana Kochanowskiego czy Jana Kasprowicza. Ten koncert zorganizowany w stulecie odzyskania niepodległości odbył się pod znamiennym tytułem: „Gaude Mater Polonia. Niepodległa Herberta".

O Herbercie też przecież można śmiało powiedzieć „niepodległy". Poeta najwyższych lotów, który – mimo odrzucenia przez środowisko – nie dał się zhołdować ideologiom. W myśl conradowskiej wierności całe życie pozostał niepokorny, nieugięty i – powtórzmy raz jeszcze – niepodległy.

eprasa.pl a83b4f9e6a



Wojciech ***Stanisławski***

Kołysanka wrześniowa

Czy nasze rozstanie z Kresami kiedyś się zakończy? A jeśli tak – czy kres położy mu lament, pogodzenie się czy ironia?

Wygląda na to, że „ukresowić" można w polskiej powieści wszystko, a przynajmniej, że „wektor wschodni" ciągle ma dla autorów duże znaczenie. Setki fabuł o Dzikich Polach i Nadberezyńcach, dworkach pod Drują i nad Niewiażą, flotach pińskich i romansach mińskich (Tadeusza Irteńskiego). I tak przez pokolenia, począwszy od romantyków, którzy pierwsi dostrzegli, że ziemia rodzinna im ucieka, a może tylko się przemienia, jakby moskiewski frant wyszarpnął obrus spod zastawy. Czasem wydaje się, że nikt nam w tym nie dorówna: Brytyjczycy stracili Wicekrólestwo Indii, ale czy E.M. Forster i Rudyard Kipling naprawdę silniej kształtują wyobraźnię współczesnych poddanych Elżbiety II niż Konwicki, Kuśniewicz i Rylski – Polaków?

Zakazywała tych Kresów cenzura, czytelników czasem nużyły (ten wysyp nowych wydań Rodziewiczówny, łamanych w formacie harlequina!). Kiedy pisanie o „utraconych małych ojczyznach" (koniecznie położonych na Wschodzie), ironicznie nazwane „prozą korzenną", stało się pod koniec lat 80. manierą – młoda literatura odwróciła się od nich na dobre: w wierszu Marcina Świetlickiego („Zamiast powiedzieć: ząb mnie boli, jestem / głodny, samotny, my dwoje, nas czworo, / nasza ulica – mówią cicho: Wanda / Wasilewska, Cyprian Kamil Norwid, / Józef Piłsudski, Ukraina, Litwa, / Tomasz Mann, Biblia i koniecznie coś / w jidysz"), opublikowanym w roku 1992, po ćwierćwieczu nie zwietrzała ani irytacja, ani drwina.

Był w tym wierszu gniew na miarę desperackiego okrzyku Lechonia („A wiosną niechaj wiosnę, nie Polskę zobaczę!") i najwyraźniej tak samo daremny: Kresy wracały, nie tylko w reprintach emigracyjnych powieści i wspomnień (wydawanych zazwyczaj, nie wiedzieć czemu, w okładkach koloru wątrobianego), nie tylko w retrokryminałach Marka Krajewskiego (komisarz Popiołek), lecz i w poważniejszych tekstach. Aż wreszcie pojawił się w księgarniach „Jeremiasz" Piotra Nesterowicza.

Można by go na upartego rozłożyć na czynniki pierwsze przytoczoną wyżej metodą Świetlickiego. Bo co musi się znaleźć w dobrej powieści kresowej? Wielka panorama stanów i języków Rzeczypospolitej Wielu Narodów, współistniejących, przenikających się, ale i wzajem nieufnych, bo to już nie sielanka złotego jagiellońskiego wieku, ale czas nacjonalizmów. Mamy to? Wyliczmy: ewangeliccy przemysłowcy niemieccy, polski zaścianek, żydowska biedota i plutokracja, utajeni unici, Tatarzy, starowierzy i jurodiwi, a do tego profesje: kowale i folusznicy, konwisarze oraz plotący wnyki i sieci cienietnicy. Mamy to, z bonusem w postaci żydowskich anarchistów naczytanych Proudhonem i Nieczajewem.

W powieści kresowej powinni się znaleźć prócz tego zaborcy (najlepiej, rzecz jasna, rosyjscy), sprawne i bezlitosne struktury nowoczesnego państwa ucieleśnione w łyskającym binoklami prokuratorze, nieznośne dla dziedziców złotej wolności. A także – gorzka pamięć o daremnych zrywach, o Sybirze, karabela, w wieku pary i elektryczności absurdalna jak rzeźba Duchampa. Mamy to? Tak. No i miłość, niemożliwa albo przez ciążące nad rodem przekleństwo, albo przez mezalians, albo przez spór dwóch narodów, a najlepiej wszystko jednocześnie: fantazje Antoniego Malczewskiego i Zygmunta Kaczkowskiego sprawdzają się i dwa wieki potem. Tak, w „Jeremiaszu" mamy i to.

Tyle że fabuła, która – sądząc z powyższego – powinna się rozgrywać jeśli nie w Wilnie, to przynajmniej w Grodnie, w Żytomierzu, w Dołhinowie, umieszczona została w Białymstoku, metropolii, która w potocznym przekonaniu wydaje się przepychać z Rzeszowem i Kutnem na podium dla trójki miast najbardziej prozaicznych.

W Białymstoku i na Podlasiu, które w powieści staje się Podlaszem. Jego rozszerzone granice, sięgające Kanału Augustowskiego, wyznaczone są reporterskim doświadczeniem Nesterowicza (przypomnijmy, autora świetnego reportażu historycznego „Cudowna", traktującego o objawieniu w peerelowskim Zabłudowie), ale i czysto przewodnikową wiedzą o naszej pojałtańskiej ścianie wschodniej. Sokólskie wiatraki, dworek w Hołnach, plac gwiaździsty w Krynkach – każdy, kto usiłował chociaż trochę schodzić Podlasie, rozpozna peregrynacje tytułowego Jeremiasza.

A przecież autor powieści nie poskąpił nam i innych wątków prócz kresowych. Jest w „Jeremiaszu" delikatny ukłon w stronę tak ulubionego w ostatniej

eprasa.pl a83b4f9e6a

ort ekstremalny

dekadzie kryminału retro: nie mamy do czynienia z klasycznym dochodzeniem ani zagadką, ale bohater próbuje swoich sił jako śledczy, dopóki starczy mu jasności umysłu. Jest, co uważam za jedną z najmocniejszych stron tej powieści, wielkie urzeczenie urodą wieku XIX. Tak naprawdę urzeczeni są nią wszyscy, prostolinijni konserwatyści bawią się w bale i supłają fulary, finezyjni intelektualiści wielkomiejscy udają, że to tylko słabość do cyberpunku, ale bądźmy szczerzy, wszystkich fascynują te cwikiery, maszyny do pisania, pióra i tiurniury; te księgi adresowe i katalogi kupców kolonialnych. Panoramy Białegostoku, które pojawiają się w przedostatnim rozdziale powieści, są jak wypisy z tych katalogów, jak kolaże Alfreda Lenicy, tyle w nich parasoli, bicykli, papierów marmurkowych oraz wyliczania lokali tak świetnych jak „elektro-kino-teatr Modern i kawiarnia Hessego na parterze hotelu Belle View".

Mamy więc powieść kresową, tyle że cofniętą defensywnie 200 km na zachód w stosunku do typowej polskiej „prozy korzennej": ale czy rzeczywiście? Ilekroć sięgałem po „Jeremiasza", pamięć podsuwała tekst starszy 30 lat: „Bohiń" Konwickiego. To na jego stronach przecież pan Tadeusz, czy to ze znużenia prostą nostalgią, czy to z przekory, przestawił zwrotnice: owocny romans chasyda i panny z dworku, w realiach wieku XIX doskonale niemożliwy, choć zbudowany z doskonale oszlifowanych „klocków" powieści kresowej był facecją, parsknięciem, budowaniem fabularnego zwierzoczłekoupiora, chciałoby się wręcz powiedzieć – postmodernizmem, gdyby nie myśl o cierpkim spojrzeniu z zaświatów autora, który -izmów nie pochwalał.

Nesterowicz czyni podobnie, choć bez humoru, z powagą: z realistycznych modułów konstruuje fabuły zgoła nieprawdopodobne, czy mowa o „szlacheckim mordzie rytualnym", czy o samym Jeremiaszu, niedoszłym podlaskim Akuninie. Jego powieść to niezrównana panorama Podlasia przełomu wieków – rozświetlana błędnym, gasnącym ognikiem.

Jeśli ktoś uznałby tę powieść za zbyt chłodną, wykoncypowaną z myślą o eksperymentach i krytykach, ogrzeje się, czytając „Opowiadania podolskie" Juliana Wołoszynowskiego, fortunnie wydane tej jesieni. Ten zbiorek opromienia legenda zapomnienia: wznawiany kilkukrotnie, nigdy nie wszedł w skład kanonu polskiej prozy, a szkoda. Opisane w nim są kresy najdalsze, te, które oderwane zostały od Rzeczypospolitej jeszcze w wieku XVII, majątki zapatrzone w niedaleką Odessę, w których, jak chciał Hostowiec, kartkowano już tylko żółte kartki Balzaca. Niełatwo uwierzyć, że ich autor zmarł w roku 1977, kiedy działał już KOR, a na księżycu osypywały się ślady stóp Buzza Aldrina, tak bardzo staroświecki był pan Wołoszynowski: bohaterowie jego opowiadań pochodzą nieodmiennie z przełomu wieku XIX i XX, trapi ich staropolska troska o brak dziedzica i młodopolskie ennui.

Niesamowitości, których doświadczają, są w złym guście niczym z Poego, a wiosny – porywające, odbierające zdrowy rozum – jak u Turgieniewa. Teatralnie przegrani, schodzący z tego świata za sprawą suchot, obłędu lub bankructwa – pasują bez reszty do wyobrażenia szlachty najdalszych kresów, przywodzą na myśl wspaniale okrutne zdanie Herberta o tym, że „kiedy wszystkie te drzewa uschną wraz z ich mieszkańcami, trzeba będzie delikatnie ułamać je tuż przy ziemi i przenieść między karty zielnika zwanego herbarzem".

Co nie skończyło się bankructwem lub obłędem – skończyło się i tak, 79 lat i tydzień temu. Okoliczności tej zagłady przypomina świetny album fotografii archiwalnych, wydany przez Muzeum II Wojny Światowej. W Grodnie i Wołkowysku po 17 września 1939 r. nie dane było działać fotoreporterom PAT, a prywatne aparaty konfiskowano równie prędko jak zegarki, więc zwykle skazani jesteśmy w opracowaniach na kilka tych samych ujęć: defilada sowiecko-niemiecka w Grodnie i słynny plakat Wiktora Korieckiego, ukazujący namiętny pocałunek włościanina i wyzwoliciela. Dzięki kwerendzie muzealników, przeprowadzonej m.in. w archiwach Grodna i Kijowa, możemy zobaczyć więcej: ubłocone tankietki, rzucone na stos karabiny polskiej piechoty, nieszczęsne, legendarne „bramy powitalne", stawiane z trzech chudych żerdek na piaszczystych drogach.

Największe wrażenie robi jednak zdjęcie jawnie propagandowe, mające ukazać entuzjazm ludu w dniu „wyborów" do Zgromadzeń Ludowych Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. W drobnym deszczu, po pustej równinie, pod czujnym okiem enkawudzistów maszerują karnie manifestanci. Dźwigana przez nich monstrualnych rozmiarów podobizna Stalina na nieskazitelnie białym tle swoją grozą i absurdem niewiele ustępuje pamiętnym ostatnim kadrom „Spalonych słońcem".



Piotr Nesterowicz, „Jeremiasz", W.A.B., 2018;
Julian Wołoszynowski, „Przed wschodem Księżyca. Opowiadania podolskie", PIW, 2018;
Dmitriy Panto, Wojciech Łukaszyn, „Okupacja sowiecka ziem polskich w latach 1939–1941", Muzeum II Wojny Światowej, 2018

eprasa.pl a83b4f9e6a

Adamski



Kawał kina!



Kino



Nie spodziewałem się, że Filip Bajon ma w sobie jeszcze tyle pary i filmowego entuzjazmu. Ostatnie filmy („Panie Dulskie", „Śluby panieńskie") 71-letniego reżysera były cieniami jego największych dzieł. Teraz twórca nakręcił swój najlepszy film od „Magnata". „Kamerdyner" powstawał trzy lata i napotykał liczne problemy. Ostatecznie wyszedł epicki film.

Bajon opowiada o splątanych z sobą losach Polaków, Kaszubów i Niemców. Ciągnie akcję od 1900 r. aż do 1945 r. Oparty na scenariuszu autorów „Układu zamkniętego" i „Czarny czwartek. Janek Wiśniewski padł" film przypomina strukturą takie historyczne freski jak „Wiek XX" Bernardo Bertolucciego. Rodzinna historia jest wpasowana w geopolityczną mapę polsko-niemieckiego pogranicza na północnych Kaszubach, którą ustalono w Wersalu. Klasowe i etniczne podziały naznaczają całą opowieść Bajona.

Mateusz Kroll (Sebastian Fabijański) to kaszubski chłopiec, który po śmierci matki zostaje przygarnięty przez pruską arystokratkę Gerdę von Krauss (Anna Radwan). Chłopak dorasta w pałacu razem z córką Krauss Maritą (Marianna Zydek). Jak można się domyślać, pojawia się między nimi uczucie. Na drugim biegunie oglądamy historię kaszubskiego watażki Miotke (Janusz Gajos), walczącego w Wersalu o miejsce Kaszub na mapie Polski. To właśnie traktat wersalski pozbawia Kraussów majątku i pozycji społecznej. Nietrudno w takich warunkach o narodowe napięcia i nienawiść. Szczególnie że wielkimi krokami zbliża się II wojna światowa.

Bajon ma rękę do takiego kina. Tradycyjnego w formie, ale jednocześnie widowiskowego. Jest to film dopracowany. Pięknie sfotografowany w ciągu czterech pór roku przez Łukasz Gutta. Szerokie ujęcia, dobre sceny batalistyczne (choć nie jest ich wiele) i panoramiczne ukazanie polskiego Pomorza – ten film się naprawdę świetnie wygląda. Szczególnie jego druga, znacznie dynamiczniejsza część.

Anna Radwan tworzy pełnokrwistą postać arystokratki. Buchają z niej najbardziej skrajne emocje. Podobnie jak z grającego jej męża Adama Woronowicza. To magnetyczny duet, odpychający i przyciągający jednocześnie. Fabijański odpowiednio uwypukla tożsamościowe rozdarcie swojej postaci, natomiast Gajos zachwyca jako sprytny chłop mierzący się z systemem swoim wrodzonym cwaniactwem. Obaj musieli na ekranie mówić po kaszubsku. Ciekawą postacią jest też Peter Szmidt (Łukasz Simlat), który z mało znaczącego mężczyzny staje się krwawym, nazistowskim pogromcą Polaków i Kaszubów w lasach Piaśnicy.

Nie ma Bajon w sobie szaleństwa ani odwagi, by prowadzić tę opowieść w jakiś nowatorski sposób, który przyciągnie widzów wychowanych na gatunkowym eklektyzmie i efektowności hollywoodzkich blockbusterów. To nie zarzut. „Kamerdyner" podoba się (mimo dłużyzn w pierwszych aktach) przez ujmującą anachroniczność stylistyczną, skrojoną bezpiecznie pod szkolne seanse. Tym razem uczniowie nudzić się nie będą. Dostaną kawał dobrego kina o skomplikowanej polskiej historii. Czego chcieć więcej?

„KAMERDYNER", REŻ. FILIP BAJON, DYSTR. NEXT FILM

DVD

Piękna religijna klasyka



Tym razem w kolekcji „Ludzie Boga" Kino Świat przygotował nie lada gratkę dla kinomanów. Na DVD w końcu wychodzi nagrodzona Złotym Lwem w Wenecji perła religijnego kina „Legenda o świętym pijaku". Mija właśnie 20 lat od nagrodzenia filmu Ermanno Olmiego, więc jest powód, by sobie to wielkie dzieło przypomnieć. Dziś nie kręci się już tak głębokich, pełnych humanizmu i delikatności filmów religijnych. Andreas Kartak to górnik ze Śląska, który ląduje na ulicy w Paryżu. Jest kloszardem sypiającym nad Sekwaną. Pierwszego wiosennego dnia tajemniczy nieznajomy wręcza kloszardowi dwieście franków na schodach paryskiego mostu. Andreas nie chce przyjąć pieniędzy, więc ofiarodawca prosi, by oddał pieniądze w kościele przy figurze świętej Teresy. To tam odmieni się jego los. Wielka rola Rutgera Hauera i muzyka Igora Strawińskiego podkreślają boski charakter tej poruszającej opowieści. Koniecznie sobie przypomnijcie!

„LEGENDA O ŚWIĘTYM PIJAKU", REŻ. ERMANNO OLMI, DYSTR. KINO ŚWIAT

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl a83b4f9e6a

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

O Katyniu w formie thrillera


VOD

Piotr Szkopiak, urodzony i wychowany w Anglii Polak, którego dziadek został zamordowany w Katyniu, jako pierwszy filmowiec w taki sposób opowiedział światu o zbrodni katyńskiej. Oparty na przedstawieniu teatralnym Paula Szambowskiego film jest gatunkowym kinem owiniętym w szaty historycznego thrillera. Dzięki temu udało się reżyserowi obsadzić film gwiazdami młodego pokolenia (Alex Pettyfer i Talulah Riley) i zaangażować legendarnego brytyjskiego aktora Michaela Gambona.

„Katyń. Ostatni świadek" jest zainspirowany historią naocznego świadka zbrodni katyńskiej Iwana Kriwoziercowa alias Michała Łobody (Robert Więckiewicz), który w tajemniczy sposób zmarł w 1947 r. Wielkiej Brytanii. Został zamordowany przez Sowietów? A może Brytyjczycy wyeliminowali człowieka, który psuł narrację o Katyniu, mającą na celu niedrażnienie Józefa Stalina? Szkopiak dotyka tego wątku za pomocą historii brytyjskiego dziennikarza Stephena Underwooda (Alex Pettyfer), który przypadkowo wpada na trop samobójstwa polskiego oficera z obozu dla uchodźców. Dziennikarza męczą wyrzuty sumienia, że nie brał udziału w wojnie. Chce się wykazać jako żurnalista podejmujący w końcu wielki temat. Tak trafia na sprawę Katynia. Szybko wpycha go ona w samo jądro międzynarodowej polityki, intryg i wszechobecnego kłamstwa dziurawiącego serca Polaków.

Szkopiak dobrze tłumaczy zachodniemu widzowi dramat Polaków. Wkłada w usta polskiego oficera krótki wykład o zakleszczeniu Polski przez nazistów i komunistów w 1939 r., milczeniu na temat sowieckiej zbrodni w Katyniu dla dobra sojuszu aliantów ze Stalinem oraz oddaniu Polski przez sojuszników sowieckim siepaczom. Udaje mu się oddać prawdę o tym, jak Katyń był niewygodny dla nowych układów geopolitycznych. Szczególnie mocno wybrzmiewa zdanie mówiące o tym, że polskim żołnierzom odmówiono prawa do zwycięskiego przemarszu wraz z aliantami. By nie drażnić nowych okupantów Polski.

„Katyń. Ostatni świadek" to poprawny i solidny film. Nie jest to porywający i trzymający w napięciu od początku do końca thriller, mogący konkurować z najlepszymi filmami gatunku. Jednak jest w nim coś dla nas ważniejszego. Prawda o Katyniu wybrzmiewa w anglojęzycznym kinie popularnym, przeznaczonym przecież dla przeciętnego widza brytyjskiego. Podobnie jak w „303. Bitwa o Anglię" Davida Blaira, gdzie pokazano tragiczne losy polskich bohaterów przez sprzedanie Polski Sowietom.

„Katyń. Ostatni świadek" przepadł w polskich i brytyjskich kinach. Tym bardziej warto obejrzeć na VOD.

„KATYŃ. OSTATNI ŚWIADEK", REŻ. PIOTR SZKOPIAK, FILM DOSTĘPNY NA VOD.PL



Idealny odmóżdżacz

DVD

Lubicie czystą i totalnie odstresowującą rozrywkę? Taką dla dużych chłopców zakochanych w „King Kongu", ale niekoniecznie z jego romantycznym wątkiem? Jest to film dla was! „Rampage. Dzika furia" to przepysznie niedorzeczne filmowe widowisko z Dwaynem Johnsonem w roli głównej. Prymatolog Davis (Johnson) opiekuje się nadzwyczaj inteligentnym gorylem o imieniu George. Gdy genetyczny eksperyment kończy się katastrofą, George i inne zwierzęta ulegają mutacji i przeistaczają się w potwory. Tylko Dwayne może uratować świat! Już brzmi dostatecznie głupio? To dopiero początek tej lunaparkowej frajdy. Twórcy nie ukrywają, że zrobili film akcji w duchu kina klasy B. Świetnie się bawią gatunkiem i do tego naprawdę imponują efektami specjalnymi. Rozwałka wieżowców, wybuchy i rozpadające się miasta. Ponadto wielka małpa i zdumiewająco szybka akcja. Czysta przyjemność bez najmniejszych ambicji bycia tym, czym nie jest. Szczere widowisko!

„RAMPAGE. DZIKA FURIA", REŻ. BRAD PEYTON, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl a83b4f9e6a



Jedyny taki festiwal

29 września rozpoczyna się w Gdyni X Festiwal Filmowy Niepokorni Niezłomni Wyklęci

Rodziny wyklętych, dzieci, wnuki, przez całe dekady, także po upadku PRL, były wykluczone, stygmatyzowane, traktowane jako obywatele drugiej albo i trzeciej kategorii. Dzięki pracy wielu osób i takim imprezom jak nasz festiwal ci ludzie zaczęli mówić, odzyskali godność, a nawet poczuli dumę

Z Arkadiuszem Gołębiewskim, operatorem, reżyserem, producentem i scenarzystą filmowym, pomysłodawcą i dyrektorem Festiwalu Filmów Dokumentalnych „Niepokorni Niezłomni Wyklęci", rozmawia Jacek Karnowski
Zdjęcia Andrzej Wiktor

W sobotę 29 września w Gdyni rozpoczyna się jubileuszowy X Festiwal Filmowy „Niepokorni Niezłomni Wyklęci". Dekada to kawał czasu. Jeśli impreza przetrwała 10 lat, to znaczy, że miała solidne podstawy i że przed nią także dobra przyszłość.

Arkadiusz Gołębiewski: Oby tak było. Ale rzeczywiście to, że festiwal trwa, żyje i wciąż się rozwija, jest powodem do dumy zarówno dla mnie, jak i dla całego zespołu, który przy nim pracuje. Jest dla mnie także ważne, że udało się stworzyć namiastkę instytucji. Instytucji, w ramach której nie tylko pokazujemy filmy o polskiej drodze do wolności, lecz także chcemy się spierać.

My, czyli kto?

My, czyli filmowcy, historycy, publicyści, decydenci, publiczność, autorzy i wydawcy książek, twórcy muzyki filmowej. Spierać o to, jak widzimy historię i jak chcemy ją pokazywać. Żebyśmy nie kłócili się o filmy, które już powstały, ale o te, które dopiero powstaną. By historycy wiedzieli, że filmy różnią się od rozpraw naukowych, że muszą mówić własnym językiem. Ale i ci, którzy robią filmy, nie mogą wyrywać swoich opowieści z kontekstu, bo to czasem przynosi więcej szkody niż pożytku.

Reżyserzy filmów prezentowanych na festiwalu często zastępują historyków: pierwsi docierają do bohaterów, świadków, dokumentów.

To jest paradoks: wielu Polaków ma zapewne wrażenie, że w ciągu ostatnich dekad odsłoniliśmy wszystkie białe plamy. Z mojej perspektywy wykonaliśmy jedynie niewielką część pracy. Wciąż są olbrzymie luki, wciąż bardzo ważne rzeczy i historie są nieopowiedziane. To wytwarza pewną presję na twórców, dążenie do tego, by pokazać i odkłamać jak najwięcej wątków, spraw. To sprawia, że kwestie artystyczne, czysto filmowe, często schodzą na dalszy plan. Ale dla mnie każdy film poświęcony historii jest cenny. Jeśli odstaje warsztatowo, to też chcę go pokazać, choćby poza konkursem.

Pewne sprawy udało się chyba załatwić. Udało się choćby opowiedzieć Polakom o żołnierzach wyklętych.

To jest trochę złudzenie. Jeszcze całkiem niedawno były szkoły, w których dyrektorzy niechętnym okiem patrzyli na nauczycieli pokazujących filmy o rtm. Pileckim. Nie atakowali wprost, ale sugerowali, że skoro czegoś nie ma w podstawie programowej, to nie należy tego robić.

Coś, co można nazwać narracją postkomunistyczną, nie tyle umarło, ile zeszło do swoistego podziemia.

Tak, to nie umarło. Nie można zapominać o lekcji sprzed trzech dekad: po 1989 r. wielu sądziło, że komuniści są już na śmietniku historii. Minęły dwa–trzy lata i w Polsce lokalnej dawni towarzysze z Komitetów Wojewódzkich znów rządzili, choć pod innym szyldem. Dziś jesteśmy w szczególnym momencie: coś już Polakom opowiedzieliśmy, rozbudziliśmy dobre emocje, odpowiedzieliśmy na wyzwanie czasu po 10 kwietnia, gdy pojawiła się silna potrzeba bycia razem, budowy wspólnoty, jakoś porównywalnej z pierwszą „Solidarnością". Potem były prace prof. Szwagrzyka na „Łączce", które początkowo relacjonowała tylko moja kamera, a na końcu była to ściana kilkudziesięciu obiektywów. Reżyserzy naszej rzeczywistości trochę się tego wszystkiego przestraszyli, nieco się cofnęli. Ale nie mam wątpliwości, że będą chcieli odzyskać rząd dusz. Na dole już widać pewne niepokojące procesy.

Jakie konkretnie?

Rodziny wyklętych, dzieci, wnuki, przez całe dekady, także po upadku PRL, były wykluczone, stygmatyzowane, traktowane jak obywatele drugiej albo i trzeciej kategorii. Dzięki pracy wielu ludzi i dzięki takim imprezom jak nasz festiwal te osoby zaczęły mówić, odzyskały godność, a nawet poczuły dumę. Dziś jednak obawiam się, że znów mogą zostać zepchnięte do defensywy. Próbuje się tych ludzi, którzy tyle wycierpieli, którzy nie mieli żadnych szans na sukces, przedstawić jako zachłannych na pieniądze, wyciągających ręce po odszkodowania lub też z lupą szuka się rys na ich pancerzach.

Inna sprawa, że ci ludzie szybko odchodzą.

Tak, z każdym rokiem jest ich mniej, została garstka. Dziś, z braku czasu, jestem bardziej animatorem niż twórcą, ale gdy jadę w teren, włączam kamerę i wracam z czterema godzinami bezcennego materiału, to mam poczucie, że dobrze wykorzystałem dzień, że jestem spełniony, że coś ważnego

eprasa.pl a83b4f9e6a

zrobiłem, a nie tylko biegałem po urzędach. Trzeba ratować relacje nie tylko pokolenia wojennego, lecz także pokolenia „Solidarności". To również ludzie, którzy w latach 80. przeszli gehennę i do dziś płacą za to wysoką cenę. A po 1989 r. zostawiono ich samych sobie.

Państwo polskie jednak się o tych ludzi upomniało. Są wyróżniani, siedzą w pierwszym rzędzie podczas uroczystości rocznicowych.

Tak, ten wysiłek państwa jest zauważalny. Czuć, że ich obecność jest naprawdę ważna, że komuś na niej zależy. Szkoda, że tak późno do tego doszło. Straciliśmy co najmniej 10 cennych lat, może więcej. II Rzeczpospolita od razu oddała cześć powstańcom styczniowym, w III RP trzeba było długo walczyć o upamiętnienie wyklętych i ich najbliższych.

Pan bardzo szybko wyczuł, że czas ucieka. Ważną częścią Festiwalu „NNW" jest honorowanie bohaterów, tych powojennych i tych z epoki późniejszej opozycji, a także tych, którzy im pomagali.

Często byliśmy pierwszymi, którzy ich honorowali. Wyróżniliśmy takich ludzi jak Józef Bandzo pseudonim Jastrząb, Lidia Lwow-Eberle, którzy później stali się postaciami znanymi w całym kraju, odpowiednio docenionymi przez władze. I wciąż odnajdujemy zapomnianych bohaterów, żyjących bardzo skromnie. Ich docenianie ma także ważną funkcję społeczną; bo jeśli oni po prostu umrą, to może być tak, że rodzina ich pochowa, spakuje rzeczy w kartonik i to będzie koniec historii. A jeśli oni dostaną od nas Sygnet Niepodległości, piękną statuetkę z orłem w koronie i pierścieniem nawiązującym do powstania styczniowego, to dla kolejnych pokoleń może ona coś znaczyć. Wnuczek czy prawnuczek będzie miał się do czego odwołać.

Przyznajecie także Drzwi do Wolności, wyróżnienia dla tych, którzy pomagali bezpośrednio walczącym.

Mówiąc językiem filmowym, to nagrody dla bohaterów drugiego planu. Dla ludzi, którzy mieli odwagę nieść pomoc. To najczęściej przyjaciele, członkowie rodziny, a czasem po prostu ludzie dobrej woli. To ludzie, którzy kogoś ukrywali, wyciągali z kłopotów, pomagali rodzinom, wozili na akcje, użyczali samochodu do przewiezienia powielacza czy jako lekarze pomagali uzyskiwać odroczenia służby wojskowej, dokumentowali to, co się dzieje. Małe i duże rzeczy, ale wówczas bardzo ważne. Często pytamy byłych opozycjonistów, komu chcieliby w ten sposób podziękować, a oni wskazują nam konkretne nazwiska. Pomagamy im podziękować jeszcze raz za pomoc, którą dostali. Wyróżnień na festiwalu jest więcej, choćby nagroda literacka. Nie wynika to z jakiejś zaborczości, ale po prostu z konstatacji, że nie ma wielu chętnych do brania na siebie takich zadań. Chcielibyśmy, żeby to były nagrody także materialne, ale niestety nie stać nas na to.

Festiwal jest dziś bardzo dużym wydarzeniem. Pana ambicją zawsze było zbudowanie imprezy, która nie będzie odstawała jakością i rozmachem od tych z tzw. głównego nurtu.

Od początku zależało mi na tym, by częścią festiwalu była kultura wysoka, a więc teatr i muzyka na najwyższym poziomie. W tym roku będzie duża niespodzianka: ważny amerykański zespół rockowy. To nigdy nie miała być impreza tylko dla pasjonatów historii; to impreza dla wszystkich ciekawych świata, ciekawych Polski. To zresztą szerszy światowy trend: festiwale nie mogą się już ograniczać tylko do pokazów filmów. My np. obsadzamy w roli celebrytów naszych, często już wiekowych, bohaterów; to oni występują na tzw. ściankach, to dla nich są czerwone dywany, to oni mówią podczas uroczystej gali. To po tym festiwalu pozostanie nie forma artystyczna, ale słowa tych ludzi, ich świadectwa. Jeżeli są świadectwa, to można później nadać im dowolną formę.

Panu osobiście zależy jednak na podnoszeniu poziomu filmów.

Tak, już po raz trzeci organizujemy tzw. pitching, czyli miejsce, które ma ułatwić spotkanie twórców, autorów pomysłów, scenariuszy z producentami. Są też warsztaty scenariuszowe, na których tłumaczymy przede wszystkim, że sam temat to jeszcze nie jest film. Często słyszymy: jak można nie dać pieniędzy na film o Pileckim, o Jedwabnem, o innych sprawach. A to nie takie proste. Bo jeśli ktoś zrobi słaby film o Pileckim, to kolejny szybko nie powstanie. Ale pomagamy też zacząć: w tym roku najbardziej rokujący twórcy dostaną w sumie 20 tys. zł, dzięki pomocy ze strony prezesa TVP Jacka Kurskiego oraz Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Może to niewiele, ale to zaczyn, development dwóch–trzech projektów filmów. Bez pieniędzy, bez minimalnego komfortu czasu, nie da się podnieść na odpowiednio wysoki poziom kina historycznego.

Warto podkreślić, że filmy historyczne, zwłaszcza te niepokorne, nie były mile widziane przez główny nurt polskiego filmu.

To prawda, często nie przyjmowano takich filmów na inne festiwale, bo nie bardzo wiedziano, co z nimi zrobić. Czy to sztuka, czy opowieść o chłopakach z lasu? Wpychano to w sferę edukacji. Dziś, po 2015 r., sporo się zmieniło, są instytucje gotowe wspierać różne inicjatywy społeczne i działania filmowe. Ale są one rozproszone, działające na różnych zasadach, stawiające często nierealne warunki, niesamowicie obudowane biurokracją, co ostatecznie utrudnia budowanie budżetu.

Festiwal coraz śmielej wychodzi także w stronę innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. W tym roku nieformalnym gościem honorowym będą Węgrzy.

Hasło tegorocznego festiwalu brzmi: „Europa Środkowa – wygrane starcie z dwoma totalitaryzmami". Przyjedzie ok. 60 cudzoziemców: liczna grupa Węgrów, Czechów. Spodziewamy się także gości z Estonii czy Niemiec. Kolejny raz zawita do nas młodzież z największej organizacji historycznej National History Day z USA, zaprezentują u nas spektakl teatralny o Irenie Sendlerowej. Przyjadą sze-

eprasa.pl a83b4f9e6a



Zajmujemy się filmami, reportażami radiowymi, teatrem, książkami, pokazami mody historycznej, honorowaniem bohaterów, animowaniem aktywności w lokalnych środowiskach. Pracujemy nad tym, aby twórcy niepokorni odzyskali wiarę, że mogą współpracować z instytucjami państwowymi, że te drzwi nie są już dla nich zamknięte

fowie znaczących instytucji kultury i pamięci własnych krajów. Będziemy sporo mówić o kapitale moralnym narodów, o tym, co odróżnia nas od Zachodu, co czyni nas w jakiejś mierze wyjątkowymi. Tu ważna dygresja: w dziedzinie odkłamywania historii jesteśmy pionierami w całym regionie Trójmorza. Pewne procesy, choćby to, co działo się wokół „Łączki", także nasz festiwal, inspirują naszych sąsiadów. Zaczynają odkrywać swoich wyklętych, zaczynają szukać zapomnianych bohaterów. Wyraźnie się budzą, patrząc na Polskę, czerpiąc z naszego festiwalu. Jestem dumny, że staliśmy się ważnym miejscem promocji Polski i polskiej historii na świecie, które trwa już ładnych parę lat.

Data tegorocznego festiwalu związana jest z ważnym wydarzeniem...

Tegoroczny festiwal, nietypowo, rozpoczyna się w sobotę 29 września, a kończy 2 października. Data końcowa jest nieprzypadkowa, bo tego dnia odbędzie się pogrzeb adm. Józefa Unruga, którego szczątki powrócą z Francji. Z tej okazji do Gdyni przybędzie wiele zacnych gości. Mamy nadzieję, że odwiedzą także nasz festiwal, a udział prezydenta Andrzeja Dudy byłby dla nas dużym zaszczytem.

Mówiliśmy już o pieniądzach, ale zapytam jeszcze wprost: czy po zmianie z roku 2015 skończyły się problemy z finansowaniem tego wydarzenia?

Festiwal wyrobił sobie markę. Procentuje to, że robimy swoje, że nie wchodzimy w jakieś gierki. Kilka lat temu musieliśmy się sporo nabiegać, żeby zdobyć kilkadziesiąt tysięcy złotych; jeśli nie miałeś patronatu prezydenta Komorowskiego, szanse były niewielkie. Dziś możemy sobie pozwolić na zaproszenie kilku gości ze Stanów Zjednoczonych. Stale też rośniemy, nie różniąc się wiele skalą od festiwalu filmów fabularnych. Równolegle odbywa się pięć–sześć imprez. Ale problemów nam nie brakuje. Żałuję, że wśród gości dominują przyjezdni, a mieszkańcy Trójmiasta – doświadczonego ciężko w Grudniu 1970 r., kolebki „Solidarności" – przechodzą dość obojętnie obok naszej imprezy. Można nawet odnieść wrażenie, że mieszkańcy czują przesyt biało-czerwonymi barwami. Ale pracujemy nad tym, korzystając z dużej życzliwości prezydenta Gdyni Wojciecha Szczurka.

Czyli pieniądze są?

Teraz nie brakuje deklaracji życzliwości, ale z przełożeniem tego na konkrety są problemy. Jest dużo akcyjności, działania bez planu, chaotyczności; mechanizmy dużych firm nastawione są na działania stricte marketingowe. Teraz, gdy rozmawiamy, uruchamiamy linię kredytową, bo znaczna część pieniędzy spłynie dopiero po wydarzeniu. Wielkie instytucje państwowe wciąż uważają, że impreza historyczna musi zadowolić się groszami. Co ważne, nie pracujemy dla zysku. Brakuje długofalowego programu wsparcia dla takich inicjatyw. Na szczęście są też ludzie, którzy rozumieją wagę tego, co robimy, i pomagają. Im wszystkim z całego serca dziękuję!

Festiwal ma też swoje retrospektywy w różnych polskich miastach.

Chodziło o to, by tym inspirować lokalne środowiska, by na miejscu doceniać bohaterów. Dzięki pomocy Fundacji PZU mogliśmy zaprezentować najważniejsze filmy w kilku miastach, m.in. w Pułtusku, Mielcu czy Krakowie. Retrospektywom towarzyszyły warsztaty poświęcone sposobom szukania wsparcia na projekty związane z historią.

W sumie to nie tylko festiwal, lecz i taka mała fabryka, manufaktura narodowej pamięci.

Zajmujemy się filmami, reportażami radiowymi, teatrem, książkami, pokazami mody historycznej, honorowaniem bohaterów, animowaniem aktywności, debatami. Pracujemy nad tym, żeby twórcy niepokorni odzyskali wiarę, że mogą współpracować z instytucjami państwowymi, że te drzwi nie są już dla nich zamknięte. Jest dziś w Polsce sporo dobrej energii, nie można jej zmarnować.

eprasa.pl a83b4f9e6a



Fałszywe

Na ekranie wyśmienita zabawa i wspaniała atmosfera. A po drugiej stronie kamery: ustawione castingi, niezdrowe emocje i towarzystwo wzajemnej adoracji, które z popularnego show Telewizji Polskiej zrobiło prywatny folwark. Tak przynajmniej twierdzą niektórzy uczestnicy programu „Jaka to melodia”



PIOTR FILIPCZYK

„Jaka to melodia” to jeden z najpopularniejszych programów rozrywkowych Telewizji Polskiej. Każdy odcinek ogląda średnio 2 mln widzów. Niby dużo, ale jeszcze kilka lat temu było ich kilka razy więcej. Od pewnego czasu nawet wśród najwierniejszych fanów produkcji dało się odczuć znudzenie formatem. Wciąż ci sami uczestnicy, sztucznie uśmiechnięty prowadzący, sztuczne emocje – to najczęstsze zarzuty, jakie można było usłyszeć pod adresem show Roberta Janowskiego.

Ryszard Kowalaszek oraz jego syn Mariusz mieszkają w Zielonej Górze. Pan Ryszard jest z wykształcenia muzykologiem. Pierwszy raz do programu zgłosił się już w 1997 r. Początki były obiecujące, zielonogórzanin wygrał nawet jeden z odcinków.

– Od lat interesowałem się muzyką, a z racji wykształcenia wiem o piosenkach trochę więcej niż średnia. Do każdych eliminacji sumiennie się przygotowywałem. Uczyłem się np. zapisu nutowego piosenek, dzięki czemu część wiedzy miałem w uchu, a część w oku – opowiada Ryszard Kowalaszek. – Do programu zgłaszałem się zarówno ja, jak i mój syn, któremu również nie brakuje talentu muzycznego. Na początku było fajnie, przechodziliśmy castingi, radziliśmy sobie w programie, ale w pewnym momencie coś się zacięło – wspomina.

W końcu przestało być fajnie. Kowalaszek wspomina występ w programie emitowanym 4 lipca 2004 r. To był finał miesiąca, do wygrania samochód. W trzeciej rundzie konkurentka pana Ryszarda stwierdziła, że nie zna odpowiedzi. Powinno to poskutkować przyznaniem punktów zielonogórzaninowi. Tak się nie stało, a program wygrała konkurentka.

– Wtedy pierwszy raz poczułem, że coś jest nie w porządku. Jawnie złamano zasady. Prowadzący naradził się z ekipą i postanowiono jeszcze raz odegrać melodię. Za drugim razem pani trafiła, a ja ostatecznie odpadłem. Byłem zszokowany tym, co się dzieje w studiu – mówi.

Według słów pana Ryszarda organizatorzy pocieszali go, że wygra następnym razem. Tyle tylko, że szansa już nie nadeszła. Kiedy po wygranym castingu znowu stawił się w Warszawie, okazało się, że nie ma go na liście. – Nie pomogły tłumaczenia, zostałem zwyczajnie wycięty. Postanowiłem napisać do telewizji, bez skutku – opowiada Kowalaszek. W kolejnych programach już nie wystąpił, nie przeszedł eliminacji.

CZARNA LISTA?

O to, co trzeba było zrobić, by wystąpić w „Jaka to melodia”, pytamy firmę Media Corporation, która przez lata była producentem programu.

– Osoby chcące zagrać w teleturnieju zgłaszały się na castingi organizowane na terenie całego kraju lub korzystały z opcji on-line, należało wypełnić ankietę zawierającą pytania zarówno o dane osobowe, jak i sprawdzające poczucie humoru, myślenie abstrakcyjne itd. Podczas castingów należało także odpowiedzieć na kilka pytań muzycznych. W rozmowie należało się przedstawić i ciekawie opowiedzieć o swoich pasjach i fascynacjach. W castingu on-line należało nagrać telefonem krótki filmik z taką wypowiedzią. Podczas wyboru uczestników braliśmy pod uwagę umiejętność wypowiedzi i wiedzę muzyczną – wyjaśnia Katarzyna Ocioszyńska z Media Corporation.

Oficjalnemu stanowisku producenta przeczą jednak wypowiedzi wielu

eprasa.pl a83b4f9e6a



Fot. Jan Bogacz /TVP/East News

uczestników programu. Jeden z nich, Sławomir Padoł, w rozmowie z „Super Expressem" mówił o czarnej liście stworzonej rzekomo przez producentów „Jaka to melodia". Na tej liście miał się znaleźć m.in. on sam, a o jej istnieniu miała go poinformować znana psycholog Dorota Zawadzka, pracująca przy produkcji programu. Według Sławomira Padoła następczyni Zawadzkiej, Aleksandra Budziak, miała kontynuować ten obyczaj. Tym słowom zaprzeczają producenci programu, przekonując, że psycholożki nie miały wpływu na obsadę programu.

– Panie były członkami zespołu redakcyjnego jako psycholożki, w tej roli były związane z programem – ucina Katarzyna Ocioszyńska.

Nasi rozmówcy pamiętają jednak tę rolę inaczej. Mówią o dużym wpływie psycholożek na kształt show, a także o specyficznych więzach, jakie wytwarzały się pomiędzy osobami z produkcji a uczestnikami, którzy często wygrywali program.

– Jedna z psycholożek bardzo zaprzyjaźniła się z jednym z uczestników. Nawet się z tym szczególnie nie kryli, on później wrzucał na Facebooka zdjęcia ze wspólnych wakacji z dość wylewnymi komentarzami dotyczącymi ich znajomości. Nie ukrywam, że byłem zdziwiony, zważywszy na to, że dzieliła ich spora różnica wieku – mówi jeden z naszych informatorów.

Zapytani o relacje ekipa–uczestnicy producenci programu odpowiadają wymijająco. Tłumaczą, że ich firma nie organizowała wspólnych imprez ani wyjazdów, ale wiedzą o tym, że uczestnicy spotykają się z sobą.

WSPÓLNY BIZNES?

Zdaniem naszych rozmówców właśnie prywatne znajomości były kołem napędowym wspólnego biznesu prowadzonego przy programie. Miało chodzić o dzielenie się pieniędzmi z nagród. Wybrani uczestnicy show mieli dostawać listę piosenek do wykucia na blachę. Po wygranej, która w tych warunkach była znacznie łatwiejsza, oddawali część wygranych pieniędzy. Rozmawialiśmy z uczestnikami, którzy również dostawali takie propozycje. Twierdzą, że odmawiali, bo byli pewni swych umiejętności. Jak było naprawdę? Nie wiadomo. Wiadomo, że Media Corporation stanowczo zaprzecza tym doniesieniom. Zaprzecza także Robert Janowski, od początku twarz i wielka gwiazda programu.

„Zarówno ekipa »Jaka to melodia«, jak i zawodnicy podchodziliśmy do nagrań programu poważnie i przede wszystkim bardzo profesjonalnie. Nie było mowy o zażyłości – podkreśla Janowski w odpowiedzi na zadane mu przez nas pytania. – Nigdy nie spotkałem się z zarzutem stronniczości ze strony uczestników. Nigdy nie było żadnej listy piosenek dla uczestników programu".

Janowski zaprzecza również kolejnej stugębnej plotce, że na planie pojawiała się jego żona, Monika Janowska. Miała się dobrze znać nie tylko z ekipą, lecz i niektórymi uczestnikami, a na planie programu oferować tym ostatnim zakup ubrań czy kosmetyków.

– Ci, którzy się decydowali, mieli większe szanse w programie – twierdzą nasi informatorzy.

„Nigdy moja żona Monika Janowska nie była zatrudniona przy produkcji programu. Nigdy nie sprzedawała niczego na planie programu. To są pomówienia" – odpowiada Janowski.

Według gwiazdora pomówieniami są również inne doniesienia – o bardzo rodzinnej atmosferze na planie jego show. Twierdzi, że producenci nie organizowali spotkań z uczestnikami poza studiem. Nie tylko się broni, lecz też atakuje. Wymienia nazwisko Marka Bika, realizatora dźwięku w TVP, a dziś reżysera programu. Według Janowskiego to on jest współautorem zmiany formatu programu. Wcześniej miał naciskać na zmianę prowadzącego, a także mieć „prywatne relacje z wokalistami zapraszanymi do programu w charakterze gościa".

DOBRA ZMIANA?

Od 1 września „Jaka to melodia" ma nowego producenta i nowego prowadzącego – Norberta Dudziuka, czyli popularnego Norbiego. Okazuje się, że show radzi sobie świetnie bez Janowskiego i poprzedniej ekipy. Program notuje najlepsze wyniki oglądalności w swoim paśmie. Według oficjalnego stanowiska TVP zmiana producenta podyktowana jest polityką publicznego nadawcy, który dąży do jak największego udziału produkcji własnej w kontencie antenowym.

„Naturalne jest pozyskiwanie formatów, które dotychczas należały do producentów zewnętrznych tak, by minimalizować koszty, a przy tym mieć zdecydowanie większy wpływ na merytoryczną stronę produkcji. Dokładnie tak było w przypadku programu »Jaka to melodia«. TVP zakupiła prawa do licencji i postanowiła, że sama lub przy udziale podwykonawców będzie realizowała ten program" – informuje biuro prasowe TVP.

A co z zarzutami formułowanymi przez uczestników programu wobec poprzedniego producenta i poprzedniej ekipy? „Te informacje pojawiły się dopiero po publikacjach prasowych, kiedy stało się jasne, że współpraca z dotychczasowym producentem dobiegnie końca. Może wówczas niektóre osoby postanowiły powiedzieć coś więcej o kulisach tej sprawy. Na podstawie tych informacji rozpoczęto audyt, do jego zakończenia nie będziemy komentować sprawy" – czytamy w odpowiedzi przesłanej do nas przez telewizję.

eprasa.pl a83b4f9e6a



Fot. Shutterstock

Brexit, czyli błąd założycielski



Staje się coraz bardziej jasne, że premier Theresie May nie uda się znaleźć rozwiązania, które zadowoli eurosceptyków w jej własnej partii, a jednocześnie Brukselę. Miała na to 18 miesięcy i to się jej nie udało, co oznacza, że czeka nas twardy Brexit – mówi w rozmowie z Aleksandrą Rybińską ***prof. Steven Fielding****, politolog i historyk polityki z Uniwersytetu Nottingham*

Zwrot brytyjskiego rządu w stronę miękkiego Brexitu rozwścieczył zwolenników opuszczenia Unii w Westminsterze. Bruksela także nie patrzy przychylnie na plany gabinetu premier Theresy May. Spory na ten temat ciągnęły się przez wiosnę i lato. A do Brexitu zostało zaledwie kilka miesięcy. Dlaczego May nie potrafi wypracować kompromisu w sprawie wyjścia Wielkiej Brytanii z UE nie tylko z Brukselą, lecz nawet w łonie własnej partii?

Steven Fielding: Aby to zrozumieć, trzeba się cofnąć do 2015 r. Do chwili, gdy ówczesny premier David Cameron postanowił rozpisać referendum w sprawie Brexitu. Cameron chciał w ten sposób rozwiązać problem podziału, który powstał wewnątrz torysów, ale także wśród ich wyborców, dotyczący pozycji i przyszłości Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej. Zagrał va banque. To nie było do końca przemyślane. Cameron był przekonany, że Brytyjczycy zagłosują przeciwko Brexitowi. Sam prowadził kampanię na „nie". Tak się jednak nie stało. To było błędem założycielskim torysów, a wszystkie następne z niego wynikają. Brytyjska prawica była wówczas mocno podzielona. Eurosceptycy zaczęli odpływać do Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP) Nigela Farage'a. Cameron uznał, że referendum rozwiąże ten problem, pozwoli torysom odzyskać poparcie bardziej krytycznych wobec Unii wyborców i załagodzi wewnątrzpartyjny bunt. Wyszło inaczej. Dziś Partia Konserwatywna jest bardziej podzielona niż kiedykolwiek. I nie tylko ona. Podobny podział ciągnie się też przez Partię Pracy oraz obóz jej zwolenników.

Wynik referendum jest jednak jednoznaczny. Wygrali zwolennicy Brexitu.

Zgadza się. Ale to nie zmienia faktu, że w takim plebiscycie ma się tylko dwie opcje do wyboru: tak albo nie. Siłą rzeczy ktoś będzie niezadowolony, będzie się czuł przegrany. Tu wynik był bardzo wyrównany, a więc podział ciągnie się przez sam środek społeczeństwa. Przywództwo

eprasa.pl a83b4f9e6a

Partii Konserwatywnej z Davidem Cameronem na czele nie wiedziało, jak rozwiązać spór wokół roli Wielkiej Brytanii w UE. Pozostawili więc decyzję obywatelom. Ale to tylko pogorszyło sytuację. Na dodatek po referendum Cameron po prostu odszedł. A ludzie, o których myślał, że zamknie im usta plebiscytem, dopiero się rozkręcili.

Brytyjczycy głosowali za tym, by Wielka Brytania opuściła Unię, z bardzo różnych powodów. Jedni, by zatrzymać masową imigrację, głównie z innych krajów unijnych, inni, bo uważali, że Bruksela zbyt mocno wtrąca się do polityki wewnętrznej kraju. Nie zastanawiali się nad tym, co mogą utracić wraz z rezygnacją z wolnego przepływu osób czy choćby z dostępu do wspólnego unijnego rynku. Twardzi brexitowcy oczywiście byli od początku przeciwni wszystkiemu: wolnemu przepływowi osób, unii celnej etc. Ale nie wiem, czy to tak do końca dotarło do świadomości głosujących w referendum. No i okazało się, że jest więcej niż jeden sposób, w jaki można opuścić Unię. I o to toczy się dziś spór.

O twardy lub miękki Brexit, czyli „deal" albo „brak dealu"?

Boris Johnson i pozostali brexitowcy chcą twardego Brexitu, ucięcia wszelkich więzi łączących Londyn z Brukselą. To byłoby dla nich spełnieniem marzenia. Theresa May tymczasem chce, by proces wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii był jak najmniej bolesny. Chce „dealu", czyli mieć ciastko i zjeść ciastko. Deal to znaczy zachowanie choćby dojścia do wspólnego rynku europejskiego. Nie jest łatwo negocjować kompromis z Brukselą, gdy duża część własnej partii te starania torpeduje. Problem May polega na tym, że w pakiecie brexitowym nie może być wolnego przepływu osób, inaczej będzie miała bunt w partii. Poza tym premier chce, by wyjście Wielkiej Brytanii z UE było tak miękkie, jak się tylko da. Dojście do rozwiązania, które zadowoliłoby więc zarówno zwolenników twardego Brexitu, jak i Brukselę, jest bardzo trudne. Najlepszym rozwiązaniem byłoby oczywiście, gdyby obie główne partie – torysi i laburzyści – sformułowali wspólną propozycję, a następnie przepchnęli ją przez Izbę Gmin. Tyle że Partią Pracy kieruje Jeremy Corbyn, polityk skrajnie lewicowy, który nie jest gotów do kompromisów ani współpracy z torysami. Tak naprawdę bowiem Corbyn także chce twardego Brexitu. Z innych powodów niż konserwatyści, oczywiście, ale tak jest. Theresa May chce więc miękkiego Brexitu, ale kieruje partią, która opowiada się za opcją „no deal", a Jeremy Corbyn chce twardego Brexitu, podczas gdy jego partia w większości jest za pozostaniem kraju w UE, czyli za miękkim Brexitem. Wynikiem tego wszystkiego jest chaos. A jeśli nie uda się znaleźć kompromisu na linii Bruksela–Londyn, to na końcu tej drogi stoi twardy Brexit. Wielka Brytania wychodzi z Unii bez porozumienia. Zostało nam jeszcze sześć miesięcy. Tyle czasu ma Theresa May, by temu zapobiec.

Dwaj najbardziej zagorzali brexitowcy – Boris Johnson i David Davis – opuścili rząd. To powinno ułatwić zadanie May...

Wręcz przeciwnie. May miała nadzieję, że przedstawiony przez nią w lipcu plan z Chequers będzie taką mapą drogową dla Brexitu i że uda jej

REKLAMA



4/0918/F

eprasa.pl a83b4f9e6a

się skłonić brexitowców do jego poparcia. Ale ten plan to tak naprawdę mapa drogowa dla pozostania Wielkiej Brytanii w UE, pod każdym względem z wyjątkiem nazwy. Irlandia Północna znalazłaby się m.in. częściowo pod jurysdykcją unijną, a to byłoby podważaniem integralności terytorialnej państwa. Można było więc łatwo przewidzieć, że brexitowcy się zbuntują, i tak się stało.

Boris Johnson jest swoją drogą bardzo ciekawą postacią. Gdy Cameron rozpisał referendum, Johnson się wahał, czy poprzeć wyjście Wielkiej Brytanii z europejskiej wspólnoty, czy nie. Był niezdecydowany. Ale potem szybko dołączył do obozu brexitowców. Johnson chce bowiem zostać liderem Partii Konserwatywnej. I to już od bardzo dawna. Plan był taki: Johnson poprze Brexit, Brytyjczycy zagłosują za pozostaniem kraju w UE. Johnson zbierze pochwały i poparcie eurosceptyków w partii i po odejściu Camerona ją przejmie. To oznacza, że były burmistrz Londynu postawił własne ambicje ponad tym, co uważał, że leży w interesie narodowym. Pozostanie Wielkiej Brytanii w UE. Niestety nie jest jedyny. Obecnie mamy całe tabuny polityków, którzy stawiają własny interes ponad interesem kraju. Johnson opuścił rząd, bo uznał, że jak May poniesie porażkę i niczego nie ugra w Brukseli, to zrezygnuje z funkcji. Wtedy on, Johnson, zostanie wreszcie liderem torysów. Trzeba mu przyznać, że jest konsekwentny [śmiech]. I to bardzo.

Chcieć nie znaczy móc.

Ale Johnson jak najbardziej może. Partyjna baza torysów jest zdecydowanie eurosceptyczna. Szczególnie na prowincji. Popiera twardy Brexit. A więc poprze i Johnsona. Ponadto to bardzo charyzmatyczny polityk, o wiele bardziej wiarygodny niż większość jego rywali. Ci ministrowie gabinetu May, którzy zaakceptowali plan z Chequers, na pewno nie mają szans na objęcie przywództwa partii. Bo pokazali, że są gotowi ugiąć się pod naciskiem Brukseli, i ugięli się pod naciskiem May.

Przeciwnicy Brexitu wyrażają nadzieję, że rząd May się rozpadnie wskutek tych wewnętrznych konfliktów, ona rozpisze nowe wybory, które wygrają laburzyści. A świeżo upieczony premier Corbyn przeprowadzi drugie referendum w sprawie Brexitu, w którym wygra „nie". Wielka Brytania będzie uratowana. To prawdopodobny scenariusz?

Nie. Bo na to wszystko zostało już mniej niż sześć miesięcy. Wielka Brytania opuści Unię formalnie 29 marca 2019 r. Nie ma też żadnej gwarancji, że wynik drugiego referendum byłby zasadniczo inny. A przeprowadzenie plebiscytu po Brexicie nie miałoby sensu, jak bowiem raz się wyszło z Unii, to nie ma do niej powrotu. To jest podróż w jednym kierunku.

Theresie May uda się zażegnać wewnątrzpartyjną rebelię i uzyskać „deal" od Brukseli?

To jest obecnie mało prawdopodobne. Plan z Chequers zrodził się w bólach. Większość torysów go nie akceptuje, podobnie jak wielu ministrów gabinetu May. Niektórzy z nich nazwali go planem „urojonym" i „martwym". Jest to więc bardzo kruchy kompromis. Nie wiadomo, jak długo się utrzyma. A musi on jeszcze zostać zaakceptowany przez Brukselę. Szef komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker skrytykował plan Theresy May w swoim orędziu o stanie Unii Europejskiej, podkreślając, że kraj, który opuszcza UE, nie może mieć tych samych przywilejów jak kraje członkowskie, choćby przynależność do wspólnego rynku. Staje się coraz bardziej jasne, że May nie uda się znaleźć rozwiązania akceptowalnego dla jej partii oraz jednocześnie dla Brukseli. Miała na to 18 miesięcy i to się jej nie udało. Nie ma więc żadnego powodu, by miało to się jej udać teraz. Gdyby istniało jakieś sensowne rozwiązanie, już dawno zostałoby zastosowane.

Co to oznacza?

Że będziemy mieli twardy Brexit. Wielka Brytania z kretesem wyleci z Unii Europejskiej. Negocjacje wchodzą obecnie w decydującą fazę. Brexitowcy mają dość tej zabawy. Bruksela ma dość tej zabawy. Wszyscy są zmęczeni Brexitem.

Brexitowcy twierdzą, że Wielka Brytania nie potrzebuje UE, bo może ją zastąpić Commonwealthem. Zamiast Brukseli Nowe Delhi. Nie przekonuje to pana?

Na pewno będziemy mieli królową, bez względu na to, czy dojdzie do twardego, czy miękkiego Brexitu. Commonwealth natomiast to czysta fantazja. Brexitowcy są przekonani, że wspólnota narodów zajmie miejsce UE, co najmniej w ciągu pierwszych kilku lat po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. To oczywiście bzdura, wymiana handlowa z UE bowiem jest o wiele większa niż z krajami Commonwealthu. Pod względem ludności Australia, Kanada czy Nowa Zelandia to stosunkowo małe kraje, choć mają dużą powierzchnię. To czysta fantazja. Może za trzy, cztery pokolenia. Mądrzejsi brexitowcy o tym wiedzą, więc mówią: zrobimy twardy Brexit, będzie nam ciężko przez jakieś 10, 20 lat, ale potem wszystko będzie super. Przyznają, że Wielka Brytania będzie gospodarczo cierpiała z powodu Brexitu przez jakieś dwa pokolenia. Ale są gotowi ponieść to ryzyko. Bo w końcu będzie dobrze. W końcu to wszyscy będziemy martwi.

Czy to nie przesadne czarnowidztwo? Tak naprawdę przecież nikt do końca nie wie, co się stanie.

No właśnie. A niepewność nie działa dobrze na gospodarkę. Nikt nie wie, jakie relacje handlowe za sześć miesięcy Londyn będzie utrzymywał z Unią Europejską. Jeśli Wielka Brytania wyjdzie z UE bez porozumienia, odbije się to na brytyjskiej gospodarce. Jednak nawet w przypadku porozumienia będą jakieś koszty do zapłacenia. Już teraz odnotowujemy słaby wzrost, oscylujący w okolicach 1,75 proc. Konsekwencje Brexitu będą odczuwalne w wielu dziedzinach życia. Ludzie nie zdają sobie z tego jeszcze do końca sprawy. Jest to wielka podróż w nieznane, która może się skończyć wielkim rozczarowaniem.

eprasa.pl a83b4f9e6a



Terapia ostatniej szansy

Najpierw była oczekiwana ciąża, a potem się okazało, że jest nowotwór, zaawansowany rak jelita grubego. – Kiedy zrobiono mi cesarskie cięcie, guz się już rozpadał – wspomina Anna Zalewska-Lubiak

Pani Anna ma 33 lata. Kiedy wykryto u niej raka, ledwie skończyła 30 lat. Rzadko się zdarza, żeby w tak młodym wieku zachorować na raka jelita grubego, chorobę cywilizacyjną. Przecież najczęściej występuje ona u osób po pięćdziesiątce!

Ale stało się, nie ma już co tego roztrząsać, teraz najważniejsze jest to, co można zrobić, jak ratować życie chorego, jak je przedłużyć w jak najlepszym komforcie. Bo nawet w zaawansowanym raku jelita grubego, gdy są już przerzuty do innych narządów, to jest możliwe. O tym zapewniają eksperci w kraju i za granicą.

W Polsce wciąż są z tym kłopoty, właśnie w leczeniu najbardziej zaawansowanego raka jelita grubego, kiedy konieczne okazują się kolejne linie leczenia. Bo każda linia oznacza, że doszło do nawrotu choroby, a kiedy dojdzie do nawrotu, trzeba ponowić terapię, najlepiej w innym schemacie działania.

Dr Wojciech Rogowski ze szpitala Magodent w Warszawie wyjaśnia: – Mamy czym leczyć chorych w I i II linii terapii i na tym etapie choroby jest dobry wybór leków także w naszym kraju. Dla chorych z zaawansowanym i przerzutowym rakiem jelita grubego szansą są nowe leki, o potwierdzonej skuteczności, stosowane w późniejszym etapie, czyli w III i IV linii leczenia.

Leki używane w III i IV fazie wciąż czekają na refundację. Chodzi o dwa leki, z których jeden jest połączeniem dwóch substancji czynnych – trifluridyny z tipiracylem.

Czy nie ma innego wyjścia? Czy nie można po prostu powtórzyć dostępnego leczenia, czyli tego stosowanego w I i II fazie terapii?

Dr Rogowski tłumaczy, że owszem, u chorych z przerzutowym rakiem jelita grubego można powtórzyć schemat leczenia stosowany we wcześniejszej fazie choroby, jeśli nie ma innego wyboru. – Skuteczność takiej terapii nie jest jednak udowodniona, a z naszej obserwacji wynika, że jest ona niewielka – dodaje.

Albert Einstein powiedział kiedyś, że szaleństwem jest robić ciągle to samo i oczekiwać innych rezultatów. Prof. Julien Taieb z Hôpital Européen Georges-Pompidou w Paryżu uważa, że ta sentencja znakomicie pasuje do leczenia onkologicznego i do leczenia raka jelita grubego z przerzutami.

Z badania RECOURSE wynika, że leczenie z użyciem trifluridyny z tipiracylem zmniejsza ryzyko zgonu chorego o 31 proc. – Terapia tym lekiem jest bezpieczna, dobrze tolerowana przez chorych i rzadko wymaga zmniejszenia dawki – podkreśla prof. Taieb.

A terapia ta to nadzieja dla pani Anny Zalewskiej-Lubiak, która w chwili wykrycia choroby miała już przerzut do wątroby. Dlatego podczas operacji, którą przeprowadzono u niej zaraz po porodzie, poza rozpadającym się guzem trzeba było usunąć również fragment wspomnianego wyżej organu.

U tej pacjentki wykorzystano już wszystko, była leczona lekami w I i II fazie. Konieczna okazała się III faza, a teraz i IV faza terapii, a zatem – jak twierdzą specjaliści – najlepiej by było, gdyby użyto trifluridyny z tipiracylem, lekiem w naszym kraju wciąż nierefundowanym.

Anna Zalewska-Lubiak nie ma innego wyjścia, wraz z Fundacją Rock'n Roll zbiera pieniądze na zakup trzeciej dawki tego leku (dwie poprzednie otrzymała w formie darowizny). Szpital MSW w Warszawie, w którym się leczy, wystąpił do Ministerstwa Zdrowia o ratunkowy dostęp do leku i czeka na decyzję.

Prezes Fundacji EuropaColon Polska Błażej Rawicki mówi, że lek ten jest już refundowany w 19 krajach, w tym w państwach o podobnym do Polski PKB: w Czechach, Grecji, Słowenii, na Słowacji czy na Węgrzech. Oferta producenta leku podobno jest bardzo korzystna, w negocjacjach zaproponowano Polsce najniższą cenę w Europie. I negocjacje wciąż trwają...

Jan Wojt

fot. shutterstock | 36/0918/F

eprasa.pl a83b4f9e6a



Prawosławny rozłam

Ukrainę czeka przewlekła wojna religijna, w której oliwy do ognia dolewać będzie liczna w Cerkwi agentura rosyjskich służb specjalnych



JAN ROKITA

Zdarzenia prawdziwie wielkiej wagi zwykle nie przybierają form spektakularnych. Dobrym tego świadectwem jest skromny komunikat, który 7 września ukazał się na stronie internetowej prawosławnego patriarchatu konstantynopolitańskiego na Fanarze. Brzmi on następująco: „Sekretariat Świętego Synodu Patriarchatu Ekumenicznego powiadamia, iż w związku z przygotowaniami do nadania autokefalii Cerkwi na Ukrainie, Patriarcha Ekumeniczny wyznaczył dwóch swoich egzarchów w Kijowie. Zostali nimi arcybiskup Pamfilionu Daniel oraz biskup Edmonton Hilarion".

WOJNA RELIGIJNA

Trzeba pamiętać, że we wschodniej tradycji egzarcha to ktoś o wiele istotniejszy niźli zachodni nuncjusz albo legat, gdyż obdarzony jest władzą podobną do niegdysiejszego cesarskiego egzarchy – namiestnika. Abp Daniel to 46-letni ks. Włodzimierz Zieliński, urodzony w Buczaczu i wykształcony na katolickich uczelniach w USA (m.in. w waszyngtońskim seminarium dominikańskim) prawosławny biskup z Chicago, od 2013 r. zwierzchnik Cerkwi ukraińskiej w USA. Bp Hilarion zaś to ks. Roman Rudnyk, rówieśnik Daniela, tyle że rodem ze Lwowa, wykształcony teologicznie w Grecji zwierzchnik tejże Cerkwi w Kanadzie. Obaj nowi kijowscy egzarchowie należą do nieuznawanego przez Moskwę Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego, który swą autokefalię (czyli w praktyce niezależność od Moskwy) uzyskał w 1919 r., a potem został zniszczony na Ukrainie przez bolszewików, lecz przetrwał na emigracji. Teraz Daniel i Hilarion stają się namiestnikami patriarchy konstantynopolitańskiego Bartłomieja, który zlecił im misję zorganizowania całkiem na nowo prawosławia na Ukrainie w taki sposób, aby definitywnie je odciąć od zwierzchnictwa Moskwy.

Misja ta z pewnością nie należy do łatwych i po prawdzie nie wiadomo ani kiedy, ani jak się skończy. Moskwa jest bowiem właścicielem i religijnym zwierzchnikiem 52 diecezji oraz ponad 12 tys. parafii na Ukrainie. To oznacza nie tylko trudny do przecenienia wpływ na umysły oraz uczucia milionów Ukraińców, lecz także potężny majątek i świetną bazę dla rosyjskich agentów oraz prowokatorów. Jest najzupełniej jasne, że Moskwa tego bezcennego politycznie zasobu dobrowolnie się nie pozbędzie. Ukrainę czeka więc zapewne przewlekła wojna religijna, w której oliwy do ognia dolewać będzie liczna w Cerkwi

eprasa.pl a83b4f9e6a



Fot. E.Kryzhanivsky/Shutterstock.com

agentura rosyjskich służb specjalnych. Jak to może wyglądać w praktyce, pokazał nie tak dawno pogrzeb kijowskiego patriarchy Włodzimierza, w trakcie którego wrodzy nawzajem duchowni siłą wyrywali sobie trumnę. Ani cienia wątpliwości nie pozostawia zresztą sławny metropolita Hilarion (ale nie ten egzarcha ukraiński, lecz szef wydziału stosunków zewnętrznych Cerkwi moskiewskiej), który przy dość niskim autorytecie patriarchy moskiewskiego Cyryla, oskarżanego o złodziejstwo, lewy handel papierosami i agenturę KGB, jest dziś najbardziej autorytatywnym głosem rosyjskiego prawosławia. Wedle jego słów Bartłomiej zrobił „krok zdradziecki" i „wkroczył na drogę wojny".

Zebrany 14 września synod moskiewski ogłosił, że żadnemu prawdziwie prawosławnemu księdzu nie wolno odtąd odprawiać mszy razem z duchownym lojalnym wobec Fanaru ani wymieniać imienia Bartłomieja w trakcie prawosławnej Boskiej Liturgii. Synod zawiesił przy tym wszelkie kontakty Cerkwi rosyjskiej z Fanarem, domagając się zarazem zwołania „panprawosławnego soboru".

> Historia prawosławnego Wschodu może się teraz cofnąć o cztery wieki, do czasów sprzed króla Jana III Sobieskiego

Najwyraźniej w Moskwie uznano, że wywierając presję na liczne narodowe Cerkwie, uda się wyizolować Bartłomieja, a w rezultacie podporządkować Fanar polityce Moskwy. To o tyle ciekawe, że niemal dopiero co, w 2016 r., Moskwa zbojkotowała próbę zwołania przez Bartłomieja pierwszego od tysiąca lat soboru całego Wschodu na Krecie. Teraz zaś chce zwołać taki sobór po to, aby potępić na nim najważniejszego i jedynego patriarchę, który od czasów rzymskich uznawany jest za ekumenicznego (czyli wszechświatowego). To prawie tak, jakby na Zachodzie domagać się soboru dla obłożenia klątwą papieża Franciszka.

MOSKIEWSKI PLAN

Podporządkowanie sobie patriarchatu konstantynopolitańskiego jest od dawna nie tylko celem ambitnych hierarchów rosyjskich, lecz przede wszystkim politycznym celem Kremla. Cele rosyjskiej polityki na tym polu zostały wyznaczone jeszcze w głębokich czasach carskich i nie zmieniły się od tamtej pory. W Moskwie nie od dziś kombinowano, jak doprowadzić do takiej zmiany reguł wyboru przyszłego patriarchy konstantynopolitańskiego, aby zapewnić przewagę głosów biskupom prorosyjskim. Jeden ze znanych pomysłów zmierzał do tego, aby ów wybór na przyszłość „zdemokratyzować", oddając go w ręce wszystkich biskupów prawosławnych. Rozmiar terytorialny i liczba „szabel" podległych Moskwie mogłaby dać Rosjanom przewagę i zwycięstwo. Nic wtedy nie stałoby już na przeszkodzie, aby Święty Synod Patriarchatu Ekumenicznego na Fanarze zepchnąć do roli historycznej rekonstrukcji, kultywującej stare obrzędy i tradycje. Moskwę zaś przekształcić w wymarzone jeszcze przez carów faktyczne i jedyne centrum kierownicze globalnego prawosławia. Dla Kremla i jego służb specjalnych jest to cały czas cel strategiczny, którego spełnienie dałoby polityce rosyjskiej trwały i potężny wpływ na kluczowe dla rosyjskich interesów politycznych państwa prawosławne. Dość wspomnieć Serbię, Grecję czy Białoruś – kraje tradycyjnie lojalne politycznie wobec Moskwy. Ale także Rumunię czy Gruzję, gdzie Rosja utraciła swoje wpływy, no i przede wszystkim Ukrainę, o którą teraz właśnie rozpoczyna się wielka batalia.

Na Faronie już jakiś czas temu zorientowano się w tych zamiarach, a otoczenie Bartłomieja skłoniło go do większej asertywności wobec Rosjan. Bodaj przełomowym momentem był tutaj ów kreteński sobór, z którym nad Bosforem wiązano spore nadzieje, a który poniósł fiasko z powodu bojkotu i dywersji Moskwy. Sam patriarcha Bartłomiej do tej pory wielokrotnie powtarzał, że Cerkiew moskiewska jest jedynym „kanonicznym" prawosławiem na Ukrainie, lekceważąc dwie działające tam obecnie Cerkwie narodowe. Dopiero pamiętając o tym, można docenić skalę zmiany stylu myślenia, jaka następuje właśnie wśród Greków, dominujących w ekumenicznym patriarchacie nad Bosforem. Wygląda na to, że zorientowali się oni, iż w jakimś sensie „walczą o życie", gdyż stawką jest uratowanie wielkiej tradycji konstantynopolitańskiego zwierzchnictwa nad światem prawosławnym. W tym religijno-politycznym konflikcie Ukraina stała się nagle kluczowym polem bitwy.

Kiedy w kwietniu 2018 r. prezydent Petro Poroszenko, a za nim ukraiński parlament, nadał polityczny impet staraniom o ukraińską autokefalię, widać było, że sam Bartłomiej się jeszcze waha. Musiał być przecież świadom, że wyganiając Moskwę z prawosławia ukraińskiego, stanie się zaciekle zwalczanym wrogiem nie tylko rosyjskiej Cerkwi, lecz przede wszystkim rosyjskiego państwa. Państwa dysponującego przecież (zwłaszcza w obecnej sytuacji na Bliskim Wschodzie) sporymi możliwościami

eprasa.pl a83b4f9e6a

oddziaływania na islamistycznego prezydenta Turcji Erdoğana, dla którego – jeśli tylko uznałby to za przydatne dla swej polityki – wszczęcie na rosyjskie zamówienie fali szykan wobec Fanaru i jego duchownych nie stanowiłoby wielkiego problemu. W końcu carowie nieraz w historii robili takie intrygi z osmańskimi sułtanami. Po wielkanocnej wizycie na Fanarze Poroszenko publicznie zapowiadał, że autokefalia Cerkwi ukraińskiej zostanie ogłoszona już na św. Włodzimierza, czyli 28 lipca, w 1030. rocznicę kijowskiego chrztu Rusi. Ale Bartłomiej zwlekał z decyzją. W końcu nie ogłosił jednak wprost tzw. tomosu (czyli bulli – mówiąc po zachodniemu) o autokefalii, ale mianował egzarchów, aby „przygotowali" organizacyjnie narodowe zjednoczenie Kościoła na Ukrainie. Ma jeszcze chwilę, aby popatrzeć na to, co uda się faktycznie zdziałać obu egzarchom, a także na ile groźna okaże się karząca ręka Rosji. A w Moskwie liczą jeszcze ciągle na to, że zmuszą jakoś Bartłomieja do upokarzającej rejterady, gdyż na razie (według metropolity Hilariona) „dostał on tylko żółtą kartkę".

Oczywiście do tak gwałtownego sporu o prymat, jaki rozgorzał między Fanarem a Moskwą, walnie przyczyniła się wojna na Ukrainie, zwłaszcza idące w ślad za nią próby zrywania przez rząd w Kijowie dawnych i mocnych dotąd więzi politycznych oraz kulturowych z Moskwą. Po wprowadzeniu obowiązku nauki w języku ukraińskim batalia o uniezależnienie Cerkwi stała się dla politycznej elity Kijowa głównym instrumentem budowy narodowej tożsamości Ukraińców. A dla mało dziś popularnego w swoim kraju prezydenta Poroszenki – być może ostatnią szansą na wygraną w przyszłorocznych wyborach. Sondaże pokazują, że większość Ukraińców chciałaby powołania Cerkwi narodowej, która – wedle tych nadziei – miałaby zlikwidować obecne podziały religijne. Można przypuszczać, że powodzenie misji dwóch egzarchów oznaczać by musiało również poważne osłabienie katolickiego Kościoła unickiego, zjednoczonego z Rzymem, gdyż część patriotycznie nastawionych parafii katolickich zapewne zgłosiłaby akces do nowego narodowego prawosławia. Nawiasem mówiąc, w ten sposób osłabłyby także polityczne wpływy nacjonalistów w Kościele unickim, co nie jest bez znaczenia z polskiej perspektywy. To, co jednak najważniejsze, to fakt, że w wyniku decyzji podjętych przez Bartłomieja na Ukrainie nastąpić może odwrót historycznego dzieła rosyjskich carów i powolnych im moskiewskich patriarchów, którzy za pomocą wojskowej potęgi i umiejętnej dyplomacji zawładnęli niegdyś nie tylko Ukrainą i jej mieszkańcami, lecz także ich religią.

> Daniel i Hilarion otrzymali misję zorganizowania całkiem na nowo prawosławia na Ukrainie w taki sposób, aby definitywnie odciąć je od zwierzchnictwa Moskwy

POWRÓT PO CZTERECH WIEKACH

Ów polityczno-religijny akt, który teraz faktycznie ma szansę być unieważniony – to poddanie Kijowa pod władzę Moskwy, które nastąpiło w 1686 r. Ten rok to znana każdemu w Polsce data tzw. pokoju Grzymułtowskiego, uroczyście zaprzysiężonego przez króla Jana III Sobieskiego we lwowskiej katedrze. Polska uznała wtedy ostatecznie prawa Rosji do Kijowa i lewobrzeżnej Ukrainy, co w konsekwencji przyniosło natychmiastowy koniec historycznej potęgi prawosławnej metropolii kijowskiej i jej podległość Moskwie. Podobno dyplomaci regentki Zofii Romanowej mieli wówczas przekupić sułtański dwór, aby ten kazał słabemu patriarsze Dionizemu IV zrobić to, czego oczekiwała Rosja. A warto pamiętać, że końcówka XVII w. była czasem bezhołowia na Fanarze, gdy urząd patriarchy obsadzany był za łapówki przez tureckich wielkich wezyrów. Kwestia ważności tamtej zgody, cofniętej zresztą przez Fanar w XX w. po upadku Osmanów, jest prawno-kanoniczną osią sporu, jaki rozgorzał teraz wokół Ukrainy.

Z czysto politycznej perspektywy istotna jest wielka porażka dyplomatyczna Moskwy, która groźbą, dywersją usiłowała nieskutecznie zapobiec obecnemu rozwojowi zdarzeń. Grekom z Fanaru grożono drugą wielką schizmą, na wzór tej z 1054 r., która trwale oddzieliła Wschód od Zachodu, a po cichu także politycznym odwetem wykonywanym rękami Erdoğana. Dywersję Moskwa prowadziła niemal we wszystkich autokefalicznych Cerkwiach narodowych, niektóre z nich (jak białoruską czy serbską) skłaniając do odcięcia się od posunięć Bartłomieja. Presji została poddana także polska Cerkiew autokefaliczna, która po wizytach rosyjskich duchownych i prorosyjskiego oligarchy z Ukrainy Wadima Nowińskiego zaczęła również (choć niezdecydowanie i mało wyraziście) stawać w tym sporze po stronie Moskwy, wbrew oczywistym interesom państwa polskiego. Nad Fanarem Moskwa próbowała rozciągnąć także sieci dyplomatyczne, paradoksalnie próbując użyć Rzymu do lobbingu na swoją rzecz. Nie ma pełnej jasności, czy Watykan uległ tej presji i starał się wspomóc Moskwę, co wydaje się całkiem możliwe, zważywszy na niebywałą pozycję, jaką w Rzymie mają ostatnio dygnitarze Cerkwi moskiewskiej, a zwłaszcza sławny metropolita Hilarion, będący w sprawach zagranicznych prawą ręką prezydenta Putina, a teraz przechwalający się swoimi możliwościami wejścia do papieża, kiedy tylko chce. Sam patriarcha moskiewski Cyryl zaś jeszcze 31 sierpnia zawitał nad Bosfor, aby użyć swego osobistego wpływy na Bartłomieja. Tak czy owak, wszystkie te zabiegi wywołały zapewne na Fanarze trochę konfuzji, ale nie skłoniły Bartłomieja do powrotu do uległości wobec Moskwy.

W rezultacie wygląda na to, że historia prawosławnego Wschodu może się teraz cofnąć o cztery wieki, do czasów sprzed króla Jana III, który uznając prawa młodych carów Iwana i Piotra do Kijowa oraz lewobrzeżnej Ukrainy, przesądził także o losie ukraińskiej religii.

11/0718/F

eprasa.pl a83b4f9e6a

EUROPA CHRISTI

100 LAT NIEPODLEGŁOŚCI, 40. ROCZNICA WYBORU JANA PAWŁA II

II Międzynarodowy Kongres „Wizja Europy w ujęciu św. Jana Pawła II"

14-22 października 2018 r.

CZĘSTOCHOWA – WARSZAWA – RZESZÓW – LUBLIN – ŁÓDŹ – KRAKÓW

Częstochowa	**Otwarcie Kongresu**	**14 X g. 21.00 –** Apel Jasnogórski, Kaplica Cudownego Obrazu Matki Bożej na Jasnej Górze – przew. abp Wacław Depo
Warszawa	**Kościół w Europie**	**15 X g. 11.00 –** Aula im. Jana Pawła II UKSW, *ul. Dewajtis 5*
Rzeszów – Podkarpackie 2018	**Młodzi o Europie**	**15 X g. 18.00 –** Spotkanie młodzieży, *G2A Arena – Jasionka*
	Św. Jan Paweł II Patronem Europy	**16 X g. 15.30 –** Projekty, panele i wystawy, *G2A Arena – Jasionka* **g. 17.15 –** Msza św. dziękczynna, *G2A Arena – Jasionka* **g. 20.00 –** Koncert „Dekalog", *G2A Arena – Jasionka*
Lublin	**Prawo a wartości w Europie**	**17 X g. 9.00 –** Aula im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego KUL, *Al. Racławickie 14*
Warszawa	**Rechrystianizacja Europy**	**18 X g. 11.00 –** Senat RP, *ul. Wiejska 6 (obowiązują zaproszenia imienne)*
Łódź	**Europa Męczenników**	**19 X g. 9.00 –** Szkoła Wyższa Ekonomii i Zarządzania, Aula Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego, *ul. Pomorska 171/173*
Warszawa	**Silna rodzina siłą Europy**	**20 X g. 11.00 –** Aula im. Jana Pawła II UKSW, *ul. Dewajtis 5*
Częstochowa	**Ekonomia w kontekście „Europa Christi"**	**22 X g. 10.00 –** Aula Redakcji Tygodnika Katolickiego „Niedziela", *ul. 3 Maja 12* **g. 15.30 –** Msza św., Kaplica Cudownego Obrazu Matki Bożej na Jasnej Górze – przew. abp Wacław Depo
Kraków	**Zakończenie Kongresu**	**22 X g. 12.00 –** Msza św. – Sanktuarium św. Jana Pawła II, *ul. Totus Tuus 32*

Zaproszenie na Kongres

Drodzy Rodacy!

Zapraszam na II Międzynarodowy Kongres Ruchu „Europa Christi" 2018, który będzie przebiegać pod hasłem: „Wizja Europy w ujęciu św. Jana Pawła II". Kongres odbędzie się w 6 polskich miastach w dniach 14-22 października br.

„Europa Christi" to nazwa Ruchu, który podejmuje sprawy wielkich zagrożeń dla Europy, dla jej tożsamości i kultury, kształtowanej przez ponad 2 tys. lat przez chrześcijaństwo. Europa jest zagrożona ateizmem, neomarksizmem, nihilizmem i hedonizmem. Widzimy także ogromne zagrożenie powodowane islamem. O tych niebezpieczeństwach mówił wiele św. Jan Paweł II. Dlatego chcemy przypomnieć jego świętą postać i nauczanie. Pragniemy również, żeby papież Franciszek włączył św. Jana Pawła II do grona Patronów Europy.

Chrześcijanie, katolicy Europy, stańmy razem pod patronatem św. Jana Pawła II. On może nas zjednoczyć. Podobnie i w Polsce – niech połączy nas osoba Papieża Polaka. Porzućmy groźne spory, zniewalającą nienawiść i zdradę. Ewangelia może uczynić z nas prawdziwą wspólnotę. „Omnia instaurare in Christo" – wszystko odnowić w Chrystusie – to hasło św. Piusa X, które chcemy dziś urzeczywistniać pod opieką św. Jana Pawła II.

Jeszcze raz wołamy: Chrześcijanie Europy i polscy chrześcijanie, katolicy, policzmy się! Są nas miliony! Ta świadomość pozwoli nam powrócić do naszej wielkości i prawdziwej wolności.

Serdecznie zapraszam na II Międzynarodowy Kongres Ruchu „Europa Christi" 2018.

Ks. Ireneusz Skubiś, moderator Ruchu

Organizatorzy:

eprasa.pl a83b4f9e6a



Z ministrem ***Adamem Kwiatkowskim****, sekretarzem stanu w Kancelarii Prezydenta RP, o sukcesach polskich firm, budowaniu gospodarczego patriotyzmu i Polskiej Wystawie Gospodarczej, rozmawia Maciej Wośko („Gazeta Bankowa”)*

Zdjęcia Andrzej Wiktor

To jest budowanie normalnej gospodarki

Panie ministrze, polskie firmy coraz śmielej wychodzą za granicę, chcą brać udział w globalnej grze rynkowej. Jak pan ocenia nasz potencjał w światowym wyścigu gospodarczym? W jakich branżach mamy na tyle dużo sił i możliwości, żeby zawalczyć o miejsce na podium?

Adam Kwiatkowski: Nie tylko mamy potencjał, lecz w wielu dziedzinach uczestniczymy w tym wyścigu. Mamy też wiele firm i produktów, które są liderami w swoich segmentach. Często nie wiemy nawet, że są to polskie produkty wytwarzane przez polskie firmy. Pan prezydent podczas swoich podróży spotyka się z przedsiębiorcami i okazuje się, że w licznych segmentach to właśnie polskie podmioty lub firmy zakładane przez Polaków są liderami w wielu miejscach na świecie. Wszelkie inicjatywy, które służą promowaniu polskiej gospodarki, z jednej strony powinny wykazać, jak duże osiągnięcia mają polskie podmioty gospodarcze, ale z drugiej – zapoznać nas, Polaków, z tymi osiągnięciami. Prowadzimy wiele cennych inicjatyw promujących polską przedsiębiorczość – kongresów, spotkań, konferencji, takich jak Kongres 590 w Jasionce koło Rzeszowa, podczas którego głowa państwa wręcza najlepszym podmiotom gospodarczym w kraju Nagrody Gospodarcze Prezydenta RP. To także aktywność rządu czy Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu. Wszystko to sprawia, że o polskich produktach mówimy bardzo wiele.

Prezes Banku Pekao Michał Krupiński powiedział, że jednym z elementów zagranicznej ekspansji kierowanej przez niego instytucji jest tworzenie przedstawicielstw poza krajem, także w oparciu o współpracę z Polonią. „Przede wszystkim Polonia zgłasza zapotrzebowanie na produkty i usługi finansowe polskiego banku" – mówił w Krynicy prezes Krupiński. Jak pan ocenia możliwość wyjścia w świat we współpracy z liczną przecież polską emigracją?

Najlepszą odpowiedzią będzie przykład ze Stanów Zjednoczonych. Największa etniczna unia kredytowa w USA to Polsko-Słowiańska Federalna Unia Kredytowa, której zdecydowaną większość klientów stanowią właśnie Polacy. Ta ogromna instytucja finansowa jest dowodem na to, że możemy i potrafimy. Tworzymy poza granicami potężne instytucje – nie tylko w oparciu o iskrę z Polski, lecz również samodzielnie. Instytucje, które wspierają życie polonijne, także polonijne firmy.

Wspieramy te firmy tam, za granicą, czy też należałoby tworzyć mechanizmy ułatwiające powrót przedsiębiorców do Polski?

Jest wiele przedsiębiorstw stworzonych za granicą przez ludzi, którzy pamiętają, że są Polakami, i dają swoją działalnością dobre świadectwo, wspierając właśnie środowiska polonijne. To jeden z istotnych elementów wiązania naszych rodaków z ojczyzną. Mamy do czynienia z poważnymi inwestycjami, choćby na rynku europejskim, a wspieranie współpracy takich firm z Polską jest nie tylko projektem gospodarczym, lecz i koniecznością. Pan prezydent jest aktywny w sferze polityki gospodarczej, zwłaszcza zagranicznej, nie tylko poprzez spotkania podczas wizyt poza granicami kraju, nie tylko w ramach Kongresu 590 i wspomnianych już Nagród Gospodarczych. Odwiedzamy laureatów tych nagród, utrzymujemy z nimi kontakt – stąd wizyty w Wieltonie, w Toruńskich Zakładach Materiałów Opatrunkowych, w Melexie. Ale realizujemy też ciekawe programy wsparcia, choćby Startupy w Pałacu – projekt, który wspiera innowacyjne polskie firmy w rozwoju, poszukiwaniu inwestorów, partnerów biznesowych i nowych rynków zbytu. Dzisiaj wiele z nich to małe, średnie, prężne przedsiębiorstwa, które podbijają rynki na całym świecie. Tworzymy dobre, rozpoznawalne i cenione marki. Te przedsięwzięcia tworzą trwałe zręby polityki gospodarczej pana prezydenta.

I pojawia się w tym roku nowa inicjatywa prezydenta Andrzeja Dudy – Polska Wystawa Gospodarcza.

Celem pana prezydenta jest pokazanie poprzez wystawę, w jak wielu obszarach, dziedzinach – jako Polacy – jesteśmy aktywni, i że nasza pozycja na rynku światowym oraz europejskim jest bardzo dobra. W codziennym pośpiechu nie zdajemy sobie sprawy z tego, że polskie firmy dostarczają na rynek innowacyjne i konkurencyjne produkty, że są liderami w wielu obszarach. Ta wystawa ma nam wszystkim pokazać polskie sukcesy i pozwolić dotknąć tych produktów. I poczuć dumę. Także w kontekście stulecia odzyskania niepodległości. Mamy piękną historię, w dwudziestoleciu międzywojennym potrafiliśmy scalić rozerwaną zaborami Polskę, zbudowaliśmy port w Gdyni, Centralny Okręg Przemysłowy, skonstruowaliśmy Luxtorpedę, mieliśmy wielu wybitnych naukowców. O tym wszystkim chcemy opowiedzieć na Polskiej Wystawie Gospodarczej.

Zostańmy na chwilę przy tej analogii do Polski międzywojennej. Dziś, o ile nie brakuje nam determinacji – odnoszę czasem takie wrażenie – wciąż mamy do czynienia z niedostatkiem optymizmu społecznego, brakuje takiego „ducha w narodzie"... Wystawa organizowana z inicjatywy prezydenta RP ma ten optymizm, wiarę w sukces obudzić?

To jest proces. Inicjatywy pana prezydenta, również wystawa gospodarcza, mają nam pokazać siłę polskiej gospodarki oraz wzbudzić dumę z dokonań kolejnych pokoleń Polaków. W tym roku na pl. Piłsudskiego chcemy otworzyć ekspozycję, która będzie dopiero zapowiedzią dużej, przyszłorocznej Polskiej Wystawy Gospodarczej. Pokażemy na niej m.in. laureatów Nagrody Gospodarczej Prezydenta RP – czyli firmy, które doskonale radzą sobie na polskim rynku, ale inwestują też na rynkach zagranicznych. Chcemy pokazać osiągnięcia polskich firm, które przyczyniają się do rozwoju naszego kraju, dlatego zapraszamy w tym roku na pl. Piłsudskiego, a w przyszłym roku na błonia stadionu PGE Narodowego.

28 września odbędzie się inauguracja tegorocznej wystawy na pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Podczas uroczystości

eprasa.pl a83b4f9e6a



z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy poznamy ideę wystawy, jej symbole oraz przesłanie. Wiemy już, że wystawa obejmuje pięć zakresów tematycznych związanych z polską gospodarką: Solidarność, Nowe technologie, Kreatywność, Rozwój i Przyszłe pokolenia.

Chcemy promować patriotyzm gospodarczy. To od nas przecież zależy, czy polska firma ma szanse na sukces. Często to kwestia wyboru produktu w sklepie. W gospodarkach, z którymi się mierzymy, to procesy zupełnie naturalne. Chcemy rozpocząć swoisty dialog między tymi, którzy przyjdą na wystawę, a tymi, którzy ją stworzą. Chcemy pokazać tych, którzy od lat działają na rynku, ale też młode firmy, przedstawić pozytywne procesy gospodarcze i odkryć te firmy, o sukcesach których nie pamiętamy lub nie wiemy. W przyszłym roku będziemy obchodzić 90-lecie Powszechnej Wystawy Krajowej z 1929 r. Pokazała ona światu Polskę rozwijającą się, odnoszącą sukcesy, nowoczesną i atrakcyjną dla partnerów z zagranicy.

Dzisiejsza wystawa nawiązuje do tamtej, zorganizowanej zaledwie 11 lat po odzyskaniu niepodległości, a hasłem wystaw 2018 i 2019 r. będzie „Siła wspólnoty”.

Tak. Każdy z nas jest elementem takiej wspólnoty. Jeśli będziemy tego świadomi, to siła naszej wspólnoty będzie rosła. A o to nam chodzi.

Entuzjazm i dumę z tej wspólnoty budować będziemy podczas głównego wydarzenia w 2019 r.

Tegoroczna, miesięczna ekspozycja jest zapowiedzią przyszłorocznej, dużej wystawy gospodarczej. Wierzymy, że uczestnicy podejmą się także wykreowania jej charakteru, że wiele firm dostrzeże potencjał tego wydarzenia. Zależy nam, by ta wystawa stała się nie tylko elementem wspólnoty, lecz również miejscem wymiany informacji i wiedzy o polskich firmach i ich sukcesach.

Także o możliwości kooperacji, w niektórych przypadkach zmierzającej do konsolidacji lub fuzji. Dostrzega pan takie procesy na całym rynku? Budujemy siły w branżach, konsolidując przedsiębiorstwa przed globalnym starciem? Mówię o rynku paliwowym, zbrojeniowym, ale też polskich kolejach, rynku wydobywczym, energetycznym...

Przykładów jest mnóstwo. Choćby branża lotnicza. To nie tylko firmy państwowe, lecz i sektor prywatny. Myśląc o sile wspólnoty, mówimy też o gwarancjach bezpieczeństwa. Wracam także do wspomnianego patriotyzmu gospodarczego. To ma znaczenie, że jeżdżąc po Europie, rozpoznajemy stacje, które należą do PKN Orlen, największej firmy w naszym regionie. To jest właśnie promocja Polski. Musimy pokazać wszystkim Polakom, ale też potencjalnym partnerom z zagranicy, że mamy nowoczesne firmy, wytwarzające bardzo dobre, innowacyjne produkty. Trzeba być z tego dumnym, korzystać z tych produktów i warto z tymi firmami kooperować. To wytworzenie pozytywnych emocji, które mają ogromne znaczenie w gospodarce.



Polska Wystawa Gospodarcza to wyjątkowe przedsięwzięcie wystawiennicze zainicjowane przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudę. Celem wystawy jest prezentacja dorobku ostatniego stulecia polskiej gospodarki oraz promocja współczesnej polskiej myśli technicznej i technologicznej. Misją PWG jest rozpowszechnienie wśród Polaków patriotyzmu gospodarczego oraz wzbudzenie szacunku dla efektów pracy pokoleń naszych rodaków – w kraju i za granicą. Nowoczesna ekspozycja zaprezentuje wiodące rodzime firmy, a odbiorcy poznają ich dokonania i sukcesy.

Wystawa prezentowana będzie w cyklu dwuetapowym, w latach 2018–2019. Pierwsza część Polskiej Wystawy Gospodarczej, stanowiąca zapowiedź jej głównej odsłony w 2019 r., eksponowana będzie od 28 września do 28 października 2018 r. na pl. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Myślą przewodnią premierowej odsłony PWG w tym roku jest „Siła wspólnoty”, a na symboliczny atrybut ekspozycji wybrano biało-czerwoną wieżę, która z jednej strony nawiązuje do symbolu Powszechnej Wystawy Krajowej z 1929 r., z drugiej zaś odzwierciedla ideę wspólnoty i współpracy Polaków na całym świecie oraz polskich firm w kraju i za granicą.

Więcej informacji na stronie www.pwg.prezydent.pl

45/0818/F

eprasa.pl a83b4f9e6a

Ja słyszę, że wciąż brakuje nam „polskiej Nokii”...

Nie wiem, czy Nokia to dobry przykład... Powinniśmy wspierać gospodarkę tam, gdzie się dobrze rozwija – możemy obserwować, przejeżdżając obok polskich stref ekonomicznych, że inwestowanie w Polsce i rozwijanie tu działalności ma sens. Osiągamy sukcesy i musimy umieć się tym chwalić.

Pokonaliśmy już utarty przez dziesięciolecia, niesprawiedliwy wizerunek, że polski produkt oznaczał taką „bylejakość”. Czy tylko nad dumą powinniśmy teraz popracować?

Nadrabiamy stracony czas. Dzisiaj w wielu miejscach w Polsce możemy przegrywać choćby brakiem infrastruktury, dobrej komunikacji. Współpraca państw w obrębie Trójmorza polegać ma właśnie m.in. na zniwelowaniu różnic rozwojowych w komunikacji. Wspomnę o Via Carpatia. Tam, gdzie infrastruktura już się rozwinęła, widać, jak szybko doceniają to przedsiębiorstwa. Ostatnie trzy lata pokazują, że można zrobić bardzo wiele. Przed nami też praca związana z edukacją zawodową. Przykładem pozytywnym może być choćby wspomniany już Wielton. W jednej ze szkół w Wieluniu jest klasa pod patronatem tej firmy, kształcąca przyszłych pracowników. To jest budowanie normalnej gospodarki, gdy firma potrzebująca fachowców bierze udział w ich kształceniu, a potem pomaga zapewnić im godne warunki do życia. I w wielu miejscach w Polsce tak to już działa.

Kogo i co zobaczymy na Polskiej Wystawie Gospodarczej?

Lista i program wciąż powstają, bo wystawa jest projektem żywym. Na tegorocznym etapie wystawy zaprezentujemy m.in. rodzime firmy, które od 100 lat lub dłużej działają na polskim rynku. Ich sylwetki będziemy mogli zobaczyć na wystawie zewnętrznej. Oprócz nich pokażemy laureatów oraz firmy nominowane do Nagrody Gospodarczej Prezydenta RP oraz uczestników projektu Startupy w Pałacu. Ponadto w pawilonie PWG znajdą się strefa z ekranami AR, wirtualna przymierzalnia, a dzieci będą mogły się nauczyć podstaw kodowania robotów. Scenariusz wystawy zakłada dedykowane różnym przedsiębiorstwom i branżom dni tematyczne oraz wydarzenia towarzyszące. W pierwszym tygodniu PWG zaprezentowana zostanie m.in. wystawa „Dzieje Złotego” zorganizowana przez Narodowy Bank Polski. Mogę zapewnić, że w czasie ekspozycji wiele będzie się działo, zatem warto obserwować nas w mediach społecznościowych na specjalnie utworzonych profilach, także na stronie internetowej i... w mediach.

Również na stronie wgospodarce.pl, w tygodniku „Sieci” i w „Gazecie Bankowej”.

Do zobaczenia na wystawie.

REKLAMA

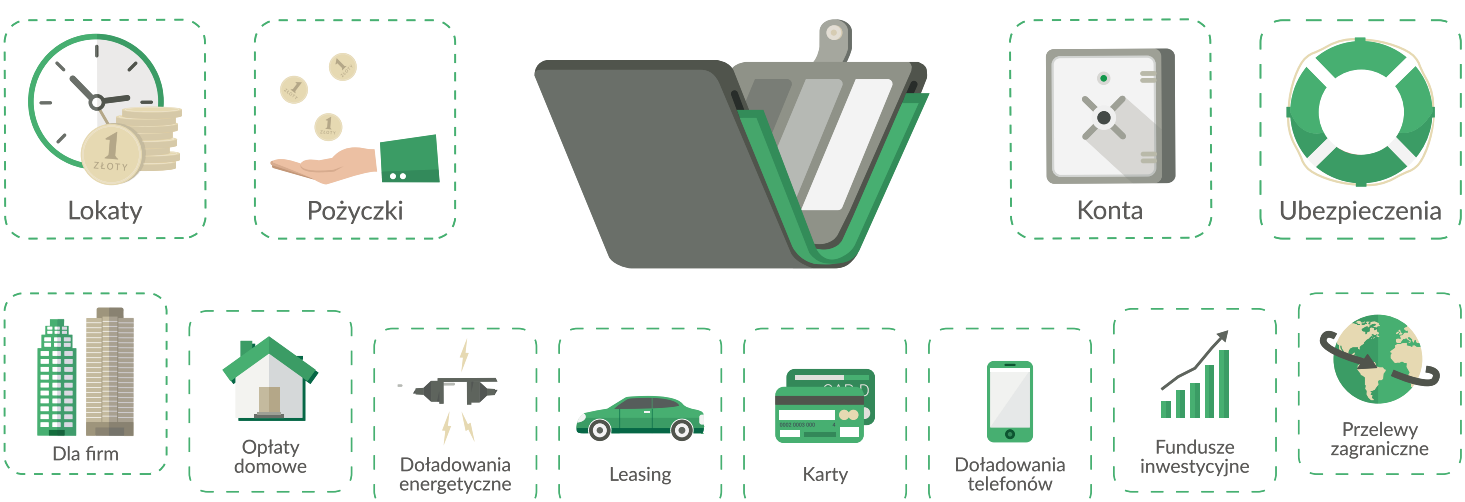
STEFCZYK FINANSE

To samo miejsce – większe możliwości

W codziennym biegu czas, wygoda i profesjonalna obsługa są wyjątkowo cenne. Wiemy o tym! W naszych placówkach przygotowaliśmy kompleksowe rozwiązania dla Ciebie i Twojej Rodziny.

Przyjdź do placówki Stefczyk Finanse, sprawdź szeroką ofertę i przekonaj się, jak wiele możemy Ci zaoferować.

POZNAJ DOSTĘPNE PRODUKTY:



eprasa.pl a83b4f9e6a

Ekstradycja do Polski Dariusza Przywieczerskiego raczej nie uruchomi lawiny ani nie odsłoni pełnego obrazu afery FOZZ – matki wszystkich afer III RP. Przywieczerski bowiem nie powie nic. Tak mówią m.in. inni uczestnicy tamtych zdarzeń. A najgłośniej z nich prof. Leszek Balcerowicz. Przyjrzyjmy się jego reakcji na niedawne wydarzenia



Dariusz Przywieczerski podczas procesu w sprawie FOZZ (Warszawa, październik 2002 r.)

Co Balcerowicz wiedział o FOZZ

Dariusz Przywieczerski miał wyprowadzić z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego ok. 1,5 mln dol. Za udział w aferze został skazany na 3,5 roku więzienia. Ukrywał się w Stanach Zjednoczonych, był poszukiwany listem gończym. Aresztowanie Przywieczerskiego i jego powrót do kraju wywołały sporo komentarzy. Było trochę publicystycznej piany i kilka mocniejszych wypowiedzi. Chyba bardziej wymowne było milczenie kilku osób.

Nie było w tej grupie prof. Leszka Balcerowicza. Ojciec polskiej transformacji gospodarczej opublikował sążniste oświadczenie, w którym odżegnywał się od jakichkolwiek związków z aferą FOZZ i odnosił się do wcześniejszej wypowiedzi ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. Warto na spokojnie przeanalizować słowa profesora. To ciekawe doświadczenie.

Balcerowicz zaczyna swój list tak:

„Przy okazji ekstradycji z USA do Polski Dariusza Przywieczerskiego Z. Ziobro powiedział:

»Były osoby, które znajdowały się również w radzie nadzorczej i nadzorowały funkcjonowanie tego funduszu. Wśród nich były m.in. Pan Leszek Balcerowicz, człowiek, który kreuje się na autorytet moralny i to on ponosi również polityczną (dziś możemy tylko o takiej mówić) odpowiedzialność za to, że do takich gigantycznych nadużyć i malwersacji doszło«. Ta wypowiedź powinna oburzać każdego przyzwoitego człowieka – i to z kilku powodów".

Zanim dojdziemy do tego, z jakich to powodów każdy porządny człowiek powinien być oburzony słowami ministra Ziobry, sprawdźmy, co tak naprawdę minister powiedział. A wcale nie powiedział w wywiadzie udzielonym TVP, że Leszek Balcerowicz zasiadał w radzie nadzorczej FOZZ. W tym kontekście padło nazwisko Dariusza Rosatiego, który w radzie nadzorczej FOZZ był.

„To jest dobre pytanie do pana Rosatiego, bo przecież był odpowiedzialny za nadzór tego, co się działo w FOZZ-ie. No i, delikatnie mówiąc, z tego obowiązku się co najmniej nie wywiązał. Dzisiaj, gdybyśmy do tej sprawy wracali do odpowiedzialności prawno-karnej, to wśród zarzutów kryminalnych, jakie mogłyby się pojawić, jest artykuł 231 paragraf 2. Również wchodziłaby w grę odpowiedzialność karna. I ocena tej odpowiedzialności w każdym razie, bo nie przesądzajmy jej finału, pana Leszka Balcerowicza, który jako minister finansów nadzorował i miał możliwość oddziaływania na tenże FOZZ".

Ziobro mówił więc o odpowiedzialności Balcerowicza jako ówczesnego ministra finansów, którym dzisiejszy „obrońca demokracji", pełniąc jednocześnie funkcję wicepremiera, był w rządach Tadeusza Mazowieckiego (wrzesień 1989 – styczeń 1991) i Jana Krzysztofa Bieleckiego (styczeń–gru-

eprasa.pl a83b4f9e6a


Fot. Adam Tuchliński/REPORTER

dzień 1991). Zdaniem Balcerowicza nie może być jednak mowy, by politycznie odpowiadał on za aferę FOZZ.

„W przypadku Polski, kraju uważającego się pod względem kulturowym za część Zachodu, trzeba popatrzeć, jak traktuje się tam odpowiedzialność polityków za problemy czy afery wybuchłe w jednostkach sektora finansowego, w tym – w podlegających władzy publicznej" – twierdzi Balcerowicz. I wymienia przykłady afer finansowych, które wybuchły za granicą i za które żaden z tamtejszych polityków nie poniósł odpowiedzialności. Profesor zapomniał najwidoczniej o wytycznych Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego dotyczących kwestii odpowiedzialności ministra finansów. A te są jednoznaczne: ministrowie finansów ponoszą polityczną odpowiedzialność za sposób zarządzania finansami państwa i podległych im agend. Taką instytucją z całą pewnością był FOZZ w czasie, gdy ministrem finansów był Leszek Balcerowicz.

Reszta oświadczenia byłego przewodniczącego Unii Wolności to już czysta polityka. W stylu znanym z wielu swoich ostatnich wystąpień obraża Ziobrę, premiera Mateusza Morawieckiego, senatora Grzegorza Biereckiego i posła Janusza Szewczaka. Nie odnosi się jednak ani słowem do tego, co jako minister finansów wiedział o aferze FOZZ i jak reagował na sygnały o nieprawidłowościach.

Przypomnijmy więc w skrócie fakty, szczególnie te z gorącego czerwca 1991 r. To właśnie wtedy szef Najwyższej Izby Kontroli Walerian Pańko, wraz z dyrektorem analiz systemowych NIK Anatolem Lawiną, decydują, że trzeba przekazać Balcerowiczowi szczegóły ustaleń Izby dotyczące FOZZ, a także Banku Handlowego. Kilka dni później dochodzi do spotkania kierownictwa NIK z premierem Janem Krzysztofem Bieleckim i ministrem finansów Leszkiem Balcerowiczem. Balcerowiczowi zostaje wręczona ośmiopunktowa notatka dotycząca wątpliwości związanych z procesem obsługi zadłużenia zagranicznego i wskazująca na możliwość liczonych w miliardach dolarów strat wynikających z działalności FOZZ. Niedługo potem na biurku Balcerowicza ląduje kolejna notatka. Jej autorem jest Michał Falzmann, inspektor NIK, odkrywca afery FOZZ. Falzmann zadaje w niej Balcerowiczowi pytanie, co zrobił, by doprowadzić do zwrotu lub wypłacenia rekompensat za zagrabione dewizy. Jeden z uczestników czerwcowych narad, Jerzy Zbiegniewski, sporządził protokół ze spotkania.

> Michał Falzmann, inspektor NIK, odkrywca afery FOZZ, w swojej notatce zadał Balcerowiczowi pytanie, co zrobił, by doprowadzić do zwrotu lub wypłacenia rekompensat za zagrabione dewizy

„Dyskusję wywołał fakt zamieszczenia w końcowej wersji opracowania pytań pod adresem wicepremiera Balcerowicza, który stwierdził, że narada ma mieć charakter informacyjny i podał w wątpliwość potrzebę odpowiadania na pytania" – czytamy w dokumencie.

O tym, że ówczesny szef resortu finansów nie bardzo chciał w 1991 r. odpowiadać na pytania o FOZZ, pisał w swoich notatkach także Falzmann: „Balcerowicz odmawia udzielenia odpowiedzi na pytania. Bielecki mówi, abym kontynuował; mam wyjaśnić wszystko do końca".

A jak będzie dzisiaj? Czy Balcerowicz zechce odpowiadać na pytania o FOZZ? Czy ktoś mu te pytania zada?

Kajetan Kutnowski

eprasa.pl a83b4f9e6a

Hit tygodnia

Canon EOS R



Czy kończą się złote żniwa dla Sony i jego serii bezlusterkowych aparatów fotograficznych? Do niedawna japońska firma rozdawała karty, jeśli chodzi o sprzęt foto z matrycami APS-C, a w kategorii pełnej klatki (czyli full frame) nie miała konkurencji. Teraz sytuacja uległa (drastycznie?) zmianie. Jakiś czas temu Nikon pokazał swoją pierwszą bezlusterkową puszkę FF, a zaraz po nim uczynił to kolejny gigant branży fotograficznej – Canon, ze swoim modelem EOS R. Wraz z aparatem na rynku pojawią się oczywiście obiektywy do nowego systemu (zoomy i stałki) oraz trzy adaptery. EOS R został wyposażony w bagnet – RF, 30,3-megapikselową matrycę z technologią Dual Pixel CMOS AF. Podstawowy zakres ISO to 100–40 000, działający w oparciu o detekcję fazy autofokus ma aż 5 655 punktów. Tryb seryjny zdjęć to maksymalnie 8 kl/s. Aparat nagrywa również filmy w 4K przy 30 kl/s. Sam korpus ma kosztować w Polsce 11 109 zł. Czy to wystarczy, by podbić rynek? Na pewno inaczej teraz będzie wyglądać sytuacja, gdy zamiast jednego, mamy trzech graczy... oby z korzyścią dla kupujących.

premiera

Plusy i minusy

+ nowy system – nowe gadżety, nowe zdjęcia
– chyba to, że trzeba przeznaczyć na dzień dobry minimum 15 tys. zł, ale – jak wiemy – tanio już było

Słuchawki Plantronics

Marka Plantronics wprowadziła na rynek aż 8 nowych produktów. Model BackBeat FIT 3100 zainteresuje osoby aktywne, przede wszystkim biegaczy. Dla osób, które większość czasu spędzają w podróży, Plantronics wprowadza bezprzewodowe słuchawki douszne BackBeat GO 410. BackBeat FIT 2100 to najnowsza wersja modelu BackBeat. BackBeat FIT 350 to kolejna bezprzewodowa propozycja dla osób aktywnych, które cenią dopasowanie urządzenia podczas ćwiczeń. BackBeat GO 810 to bezprzewodowe, douszne słuchawki, których bateria umożliwia aż 20 godzin słuchania.



Seria RIG 300 została zaprojektowana dla początkującego gracza. Seria RIG 400 jest przeznaczona dla graczy korzystających z 40-milimetrowych sterowników audio. Seria RIG 500 jest kompatybilna z tradycyjnymi komputerami i zaawansowanymi platformami do gier, z przetwornikami 50 mm.

cena (w zależności od modelu) od 169 do 649 zł

Laptop HIRO 950



HIRO, polska marka komputerów i akcesoriów dla graczy, wprowadza do swojej oferty nową serię laptopów, wyposażonych w kartę graficzną GTX 1070. To jeden z najmocniejszych układów graficznych. W połączeniu z procesorami z rodziny Intel Core 8. generacji sprawiają, że seria 950 jest także doskonałym wyborem pod kątem przenośnego komputera do zastosowań profesjonalnych. W najnowszej serii laptopów HIRO zamontowano także dwa banki pamięci DDR4, obsługujące aż do 32 GB danych, aby wspierać płynną obsługę nawet najbardziej wymagających gier czy aplikacji. Możliwość zainstalowania dysku SSD o pojemności aż do 2 TB za pośrednictwem złącza M.2 sprawia, że przepływ danych będzie aż pięciokrotnie szybszy w porównaniu ze zwykłym dyskiem SSD. Laptop wyposażony został również w komplet niezbędnych portów (USB 2.0, USB 3.0 USB 3.0 Type – C, HDMI, Mini Display, wyjścia audio, gniazdo zasilania itp.), a dzięki baterii litowo-jonowej o mocy 55WH laptop działać może bez podłączenia do źródła zasilania aż do 7 godzin. Wszystko zamknięto w smukłej obudowie o wymiarach 380 x 252 x 186 mm i wadze niespełna 2 kg. Laptopy dostępne są w wielu różnych konfiguracjach sprzętowych.

premiera

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl a83b4f9e6a



Enea w trosce o klientów, którzy stracili sprzedawcę prądu

W ostatnich tygodniach część firm sprzedających energię elektryczną zdecydowała się na zaprzestanie tej działalności. W wyniku tego kroku wiele gospodarstw domowych i biznesów z dnia na dzień straciło sprzedawcę prądu, wchodząc automatycznie w tzw. sprzedaż rezerwową. Sytuacja ta pokazuje, jak ważne jest posiadanie umów z rzetelnym i wiarygodnym sprzedawcą energii elektrycznej

Sprzedaż rezerwowa jest uruchamiana w awaryjnej sytuacji, gdy klient nie posiada ważnej umowy sprzedaży z żadnym ze sprzedawców prądu. Do grona takich sprawdzonych sprzedawców należy m.in. firma Enea, która pełniąc funkcję tzw. sprzedawcy rezerwowego, gwarantuje klientom poszkodowanym przez nieprofesjonalnych sprzedawców energii elektrycznej zachowanie ciągłości dostaw prądu – to najważniejsze zadanie mechanizmu sprzedaży rezerwowej.

Taryfa sprzedawcy rezerwowego jest z założenia rozwiązaniem przejściowym. Klienci biznesowi i indywidualni objęci sprzedażą rezerwową powinni się zwrócić do sprzedawcy rezerwowego, np. Enei, w celu podpisania nowej umowy na możliwie najkorzystniejszych warunkach.

– Enea w szczególny i odpowiedzialny sposób podchodzi do taryfy rezerwowej skierowanej dla gospodarstw domowych, dlatego zaproponowane w niej przez Eneę warunki nie będą stanowiły istotnego, dodatkowego obciążenia. Jednocześnie, dla zapewnienia oferty jak najlepiej dopasowanej do potrzeb klienta, zachęcamy do kontaktu z naszą infolinią 611 111 111, wejścia na naszą stronę internetową www.enea.pl lub odwiedzenia naszych biur obsługi klienta – mówi Bartosz Zieliński, dyrektor Departamentu Sprzedaży w Enei.

Enea dodatkowo na swojej infolinii uruchomiła specjalną linię dla osób, które straciły dotychczasowego sprzedawcę energii. To duże ułatwienie dla klientów, którzy poszukują kontaktu w kwestii rozwiązania tej niecodziennej sytuacji. Informacje na temat sprzedaży rezerwowej znajdują się również na stronie internetowej www.enea.pl. Pomocy można szukać oczywiście również w biurach obsługi klienta Enei.

Klienci z gospodarstw domowych w przypadku przejścia na umowę kompleksową (dystrybucja i sprzedaż) mogą skorzystać z zakupu energii po cenach zatwierdzonych przez prezesa Urzędu Regulacji Energetyki w taryfie dla gospodarstw domowych, tzw. taryfie G.

– Klientów biznesowych, którzy nagle zostali bez sprzedawcy energii elektrycznej i stoją w obliczu konieczności zakupu energii w cenie wyższej niż uzgodniona z dotychczasowym sprzedawcą, zapraszamy do jak najszybszego kontaktu z naszymi przedstawicielami w celu zawarcia nowej umowy na warunkach rynkowych – mówi Bartosz Zieliński, dyrektor Departamentu Sprzedaży w Enei.

MR

eprasa.pl a83b4f9e6a



Hit tygodnia

Ferrari dla najbardziej wymagających

Monza SP1 i SP2, bo takie właśnie modele pokazał włoski producent, to małe dzieła sztuki techniki samochodowej, odwołujące się do pięknych lat 50. i jakże włoskiego dolce vita (choć chciałoby się raczej powiedzieć dolce farniente, ale z takim autem?).

SP1 i SP2 to prawie identyczne modele, jedyną drobną różnicą jest to, że SP1 jest jednoosobowym pojazdem, do SP2 wejdzie też pasażer.

Silnik to V12 generujące 810 KM, Monza do setki potrzebuje 2,9 s, a prędkość maksymalna to ponad 300 km/h. Naprawdę, czego chcieć więcej?



AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Fani i wszyscy chętni na kupno Volkswagena Beetle, bądźcie gotowi na smutne wieści. Ten jakże zasłużony dla motoryzacji model powoli acz nieubłaganie przechodzi do historii. Już nie powstanie kolejna wersja, a przyszły rok będzie ostatnim dla „żuka". Od jakiegoś czasu sprzedaż Beetle'a spadała, dlatego nie powinien dziwić taki ruch producenta. Ale żeby nie było zbyt ponuro, Volkswagen przygotował pożegnalną wersję Beetle Final Edition, która pojawi się właśnie w przyszłym roku.

Producenci czasami to lubią tak kombinować z nazwami poszczególnych modeli, że nawet autofan może się pogubić. Tym razem chyba zmiana nazw może wyjść wszystkim na dobre. Otóż z rynku zniknie Toyota Auris, ale tylko z nazwy, tj. już nie będzie Auris, a pojawi się znana skądinąd nazwa... Corolla. Tak, powraca Corolla, i to w wersjach kombi oraz hatchback.

Na jesieni pojawią się na polskich drogach chińskie samochody elektryczne. Pierwszym modelem, który ruszy na podbój naszych dróg, jest dwuosobowy ZD D2S: zasięg na jednym ładowaniu – 150 km, prędkość maksymalna – 90 km/h. Firma wprowadzająca na nasze drogi pojazdy elektryczne to spółka Electric Vehicles Poland (EVP), która będzie się specjalizować w sprzedaży i serwisowaniu właśnie tego typu pojazdów, czyli w pełni elektrycznych. Adam Pietkiewicz, prezes Holdingu 1, właściciela Electric Vehicles Poland, wierzy, że tak jak utworzona niemal 30 lat temu Grupa PGD stała się potentatem polskiego rynku dealerskiego, tak spółka Electric Vehicles Poland zostanie liderem w segmencie elektrycznej mikromobilności. „Wszyscy jesteśmy świadomi, że motoryzacyjny świat idzie w kierunku elektryfikacji i zmniejszania wymiarów. Spółka EVP rusza w tę samą stronę i – zapewne wytyczając nowe szlaki w organizacji sprzedaży – w specjalistyczny sposób odpowie na szybko budzący się popyt w zakresie mikromobilności" – mówi Adam Pietkiewicz.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

27/0818/F

eprasa.pl a83b4f9e6a

Szybki dostęp do lekarza

bez skierowania i kolejki



Wybierz prąd z pakietem medycznym

Zapewnij sobie i swojej rodzinie wsparcie medyczne najwyższej jakości. Zyskaj szybki dostęp do wykwalifikowanych lekarzy (do 24h u lekarza podstawowej opieki oraz do 5 dni roboczych u specjalisty), badań laboratoryjnych, USG i RTG.

Zamów już dziś na energa.pl/nazdrowie

Energa

W ramach Oferty „Energia na zdrowie Premium Rodzinna", obowiązującej od dnia 10 lipca 2018 do dnia 31 stycznia 2019 r., Klienci, którzy są konsumentami, są przyłączeni do sieci dystrybucyjnych Operatorów Systemów Dystrybucyjnych - Enea Operator Sp. z o.o., ENERGA OPERATOR S.A., PGE Dystrybucja S.A. innogy Stoen Operator Sp. z o.o., Tauron Dystrybucja S.A. (zwanych dalej OSD), korzystają z jednostrefowych grup taryfowych lub dwustrefowych grup taryfowych u swojego OSD i nie korzystają z taryfy antysmogowej (grupa taryfowa G12as u dystrybutora), zawrą Umowę kompleksową ze Sprzedawcą i nie korzystają z liczników przedpłatowych zostaną objęci Pakietem medycznym od dnia wskazanego w umowie, nie wcześniej niż po skutecznym przeprowadzeniu procesu zmiany sprzedawcy. Oferta obowiązuje przez okres 24 miesięcy. Zakres usług medycznych oraz świadczeń wykonywanych przez placówki medyczne jest zróżnicowany w zależności od wybranego Pakietu medycznego. Oferta nie obejmuje opłat za dystrybucję prądu. Szczegóły znajdują się u przedstawicieli ENERGA – OBRÓT SA.

eprasa.pl a83b4f9e6a



DOMINIKA ĆOSIĆ KORESPONDENTKA TVP W BRUKSELI

Zupa „co się nawinie” i białe piwo

Jestem pół Polką, pół Serbką. Rodem z Krakowa i Belgradu. Moje pierwsze kulinarne wspomnienia biegną w dwie różne strony. Do krakowskiego domu i najlepszej na świecie szarlotki, którą moja babunia Zosia piekła z cynamonem i kruszonką, oraz Belgradu, gdzie czekał na mnie bałkański przysmak (pochodzenia tureckiego) – baklawa. Babcia Dobrila, która w ogóle nie umiała gotować (w czasie wojny walczyła w partyzantce i nie była typową panią domu), baklawę robiła genialną. I to był jej dowód miłości dla mnie, jedynej wnuczki.

Nie mam zdolności kulinarnych, więc długo stroniłam od kuchni, choć jednocześnie potrafiłam docenić dania przygotowane przez innych. Kiedy przeprowadziłam się do Brukseli w 2005 r., zostałam zmuszona niejako do gotowania.

Przygotowuję najprostsze potrawy: różnego rodzaju pasty, spaghetti, dania z kurczaka. Robię też zupy i sałatki. Przez przypadek wyspecjalizowałam się w przyrządzaniu steku. Belgia, poza mulami, słynie właśnie ze steków. Któregoś razu chciałam, zgodnie z przepisem, przygotować mięso z pieprzem i solą. Zamiast pieprzu sypnęłam jednak cynamon, a że jestem oszczędną krakuską i żal mi było wszystko wyrzucić, dodałam jeszcze pieprzu i od tamtego czasu stosuję te trzy przyprawy: efekt jest genialny!

Bruksela skupia ludzi z różnych stron. Poznają się także przy stole. Przy czym najciekawsze spotkania kulinarne odbywają się nie tyle w eleganckich restauracjach, do których bywam zapraszana w związku z zawodowymi obowiązkami, ile w domach znajomych, którzy starają się przygotować najczęściej to, co lubią.

Trzeba tu podkreślić, że Belgowie rzadko podejmują gości u siebie. Spotykają się raczej na mieście. Nie zapomnę więc, jak niedługo po moim przyjeździe do Brukseli poznałam wdowę po wieloletnim redaktorze naczelnym „Le Soir”. Pani Claire przygotowała dla mnie belgijską specjalność: po polsku można by ją nazwać zupa „co się nawinie”. Ze wszystkich możliwych składników: bardzo gęsta, przypominająca trochę gulaszową. Dużo mięsa, dużo warzyw.

Z kolei kolega Włoch, kiedy robił kolację dla swoich znajomych rodaków i dla mnie, przygotowywał chyba z siedem różnych rodzajów past. Jego tata przywoził mu z Włoch oryginalne składniki: suszone pomidory, oliwę z oliwek, makarony specjalnie przygotowywane przez mamę.

Czasami zaglądam też na Molenbeek (to dzielnica marokańsko-turecka) i przywożę stamtąd znakomite rzeczy do jedzenia. Nic jednak nie zastąpi smaków, które łączą się z domem i kuchnią mojej mamy. Na przykład uwielbiany przez rodzinę niedzielny rosół: poza makaronem mama dodaje do niego ugotowane wcześniej ziemniaki. Genialny jest też jej krupnik. I placki ziemniaczane. I flaczki. I golonka... Rzeczy niekoniecznie zdrowe, ale pyszne. Kiedy jestem w Polsce, intensywnie chłonę smaki, których na co dzień bardzo mi w Brukseli brakuje.

Tym, co polską kuchnię wyróżnia, jest duża różnorodność zup. Od żurku, przez grzybową, pomidorową, ogórkową... po niedzielny rosół. Ale są też placki ziemniaczane, są pyzy i pierogi, bo schabowy nie jest wcale typowo polski. Obcokrajowcy mieszkający w Brukseli, kiedy słyszą: „polska kuchnia”, najczęściej mówią: „pierogi i barszcz”.

Notowała
Jolanta Gajda-Zadworna

Mój stek



W miarę cienko pokrojone kawałki steku z mięsa wołowego obsypuję solą, pieprzem i cynamonem, zostawiam na chwilę, potem duszę pod pokrywą, aż zrobi się własny sos. Obracam kilka razy, żeby było dobrze przypieczone, bo nie lubię krwistego mięsa. Na koniec dodaję jeszcze sowicie przypraw i serwuję z belgijskimi frytkami, a właściwie pokaźnymi frytami. Jako dodatek sprawdza się też sos pieprzowy, a nawet zwykły majonez. Do tego białe pszeniczne piwo Hoegaarden, ewentualnie białe wino.

Fot. Podlewski/AKPA, Shutterstock

eprasa.pl a83b4f9e6a



SŁODKO-SŁONY

Kuszące związki

ANNA MONICKA

Każdy z was widział na pewno, choćby na lekcji plastyki, paletę kolorów pokazującą, jak jedne odcienie przechodzą w drugie. Ułatwia to dobieranie do siebie barw. Otóż podobnego rysunku – powiązań smakowych – doczekało się jedzenie, a właściwie produkty, z których je robimy. „Leksykon smaków" (GW Foksal) stworzyła Niki Segnit, londyńska dziennikarka i smakoszka, która pewnego dnia ze zdumieniem odkryła, że... takiej książki jeszcze nikt nie napisał. Impulsem zaś była kolacja u przyjaciółki, która podała danie złożone tylko z dwóch składników, ale zestawionych tak nieoczekiwanie, że Niki nigdy by na to nie wpadła. Tak ją zaintrygowały ta pomysłowość i odwaga, że zaczęła drążyć temat.

My wiemy, że podstawowych smaków jest pięć: słodki, słony, kwaśny, gorzki oraz umami. Niki wyodrębnia 99 rodzajów pożywienia, dzieli na 16 kategorii smakowych (np. cytrusowe, kwieciście owocowe, morskie, leśne, serowe) i łączy w 4 851 par. Co ciekawe, przepisów kulinarnych, których mamy się kurczowo trzymać w czasie gotowania, w tej książce nie ma. Jest za to mnóstwo anegdot i opowieści, i tak sugestywnych opisów jedzenia, że natychmiast wyobrażałam sobie siebie, jak mieszam, kosztuję, sprawdzam, czy moje kubki smakowe czują to, o czym czytam.

Zaczynamy od czekolady. Gorzkiej, mlecznej oraz kakao. Otóż świetnie smakuje z wędzonym na drewnie jabłoni bekonem, chili (ale o tym wie każdy, kto obejrzał film „Czekolada"), kardamonem (już szczypta sprawia, że najzwyklejsza gorzka czekolada smakuje jak z wyższej półki), a nawet czarną porzeczką – choć to połączenie mroczne i ciężkie jak fińska poezja gotycka, wymaga więc złagodzenia nabiałem, np. bitą śmietaną.

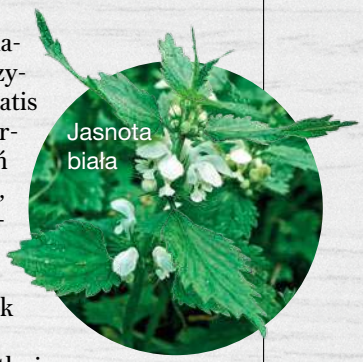
Mnie zastanowiło połączenie z pomidorami. Niki pisze, że warto wykorzystać doświadczenia meksykańskich kucharzy, dla których kakao jest przyprawą, a nie tylko dodatkiem do deserów. Dodaje głębi i bogactwa potrawom słonym oraz łagodzi wyrazisty smak takich pokarmów jak pomidory. Pasuje do domowego ketchupu, sosów pomidorowych czy chili con carne.

Czas przetworów w pełni, warto spróbować. A w jesienne wieczory poczytać „Leksykon" okrzyknięty biblią smaków.

WILCZYM OKIEM

Okno do przeszłości

PRZEMYSŁAW BARSZCZ


Jasnota biała

Jakiś czas temu na łamach wydawanego przez Polskie Towarzystwo Botaniczne „Acta Societatis Botanicorum Poloniae" ukazał się artykuł podsumowujący wyniki badań zespołu naukowców z Polski, Włoch, Hiszpanii, Estonii i Szwecji pod kierunkiem dr. hab. Łukasza Łuczaja: „Dziko rosnące rośliny jadalne użytkowane w XXI wieku w Europie: zanik dawnych tradycji [...]".

Wraz ze zmianą trybu życia skutkującą coraz krótszym czasem, jaki ludzie spędzają na zewnątrz – np. podczas pracy na roli czy pilnowania stad, i w związku z przenosinami ze wsi do miast – znacznie spadło wykorzystanie oraz znajomość roślin, które mogą uzupełniać naszą dietę. W Finlandii, w której występuje 37 dzikich gatunków roślin dających mięsiste, jadalne owoce, obecnie wykorzystuje się jedynie 16 z nich. W Polsce zanik znajomości i spożycia tego, co rośnie wokół nas, jest jeszcze wyraźniejszy.

Paradoksalnie proces zapominania „dzikiej spiżarni" nasilił się wraz z upowszechnianiem metod konserwacji owoców. Jak stwierdzają autorzy badań, jeszcze w XVII i XVIII w. w Polsce stosowano słodycz z kandyzowanych kłączy tataraku. Cukier, dobrze konserwujący przetwory, był drogi i dostępny tylko w zamożnych dworach. Pasteryzacji jeszcze nie znano. Trzeba było umieć rozpoznać i wykorzystać na bieżąco wszystko, co akurat wyrosło i nadawało się do zjedzenia.

Dopiero cukier z buraków, którego upowszechnienie było jedną z ubocznych konsekwencji wojen napoleońskich i odcięcia dostaw cukru trzcinowego (potrzeba matką wynalazków), sprawił, że cena cukru znacznie spadła i coraz większą liczbę ludzi stać było na jego zakup. Po co zawracać sobie głowę zbieraniem szczawiku zajęczego, jeżeli na półkach stoją konfitury?

Moją uwagę zwróciła jedna z konkluzji badań: oknem do zapomnianej wiedzy są zachowania dzieci. Nawet współcześnie potrafią one wskazać więcej dzikich roślin, które można zjeść, niż dorośli, którzy zapomnieli swoje dziecięce obyczaje. Wysysanie słodkich kwiatów przypominającej pokrzywę jasnoty białej i koniczyny, skubanie płatków dzikiej róży i sercowatych nasion tasznika to nie tylko zabawa. Naukowcy uważają, że są to reliktowe zachowania, analogiczne do tych, jakimi wiedzę o dzikiej, roślinnej spiżarni zdobywali nasi przodkowie.

Fot. Shutterstock (x2)

eprasa.pl a83b4f9e6a

Anna, Adam, Alexis

PIOTR SKWIECIŃSKI

Alexis de Tocqueville był francuskim arystokratą. Jego ojciec i matka cudem uniknęli gilotyny, stracili wszystko, a społeczną pozycję odzyskali dzięki restauracji Burbonów. Ich syn miał wszelkie powody, aby rewolucji nienawidzić. A jednak to właśnie on potrafił zanalizować ją na chłodno. I przedstawić atrakcyjną intelektualnie do dziś wizję przyczyn rewolucji. Bez fascynacji, a wręcz zdradzając fascynację odwrotną, czasami ancien regime'u, ale zarazem zupełnie inaczej, niż chcieliby jego przyjaciele i krewni – zwolennicy wizji pt. „Trzeba po prostu przywrócić dobry ład". I analizę miejsca, zajmowanego w historii Francji przez dziejową burzę, która omal nie zabiła mu rodziców.

Tocqueville pisał wprawdzie kilka dekad po rewolucji, ale z drugiej strony dziś świat biegnie o tyle szybciej... Można by więc sądzić, że elity III RP, których przecież nikt nie zabijał, ba – które wręcz pozycji społecznej nie utraciły – mogłyby już teraz zdobyć się na refleksję dotyczącą przyczyn tego, co się zadziało.

Mającym tego typu nadzieje zalecałbym jedną lekturę i jeden filmik na YouTube.

Lektura – to poświęcony Polsce, choć nieco i Węgrom, a mający wyraźne ambicje powiedzenia czegoś o tzw. ogólnoświatowym zwrocie populistycznym, artykuł Anne Applebaum w „The Atlantic".



Nie rozumieją. I nie chcą zrozumieć

Ten tekst naprawdę robi wrażenie. Nie tylko przez to, że w pewnych fragmentach pani Anna po prostu kłamie. Przy czym używam tego słowa świadomie i w jego słownikowym, a nie przenośnym znaczeniu. Applebaum kłamie rozmyślnie choćby dlatego, że przywołując (by wykazać swą martyrologię w obecnej Polsce) dwa poświęcone jej teksty z tygodników „Sieci" i „Do Rzeczy", pisze, jakoby oba te pisma, opisując jej aktywność w atakowaniu rządów PiS, podkreślały jej żydowskie pochodzenie, i sugeruje, jakoby tym pochodzeniem wyjaśniały one jej postawę polityczną. Nie trzeba tłumaczyć, że to bzdura, którą znająca polski i czytająca poświęcone jej teksty Applebaum musiała wyprodukować świadomie.

Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejszy jest cały obraz polskiej i węgierskiej rzeczywistości przedstawiony anglojęzycznemu czytelnikowi przez ową damę. Wizja to standardowa – kiedyś było dobrze, wręcz pięknie, Applebaum z Sikorskim gościli w swym dworze zakochanych w nich polskich intelektualistów, a potem władzę przejęli nieudacznicy, którzy zazdrościli rządzącym dotąd merytokratycznym elitom pieniędzy, statusu i po prostu tego, że są one lepsze od nich, i dlatego, podle kłamiąc, odebrali im panowanie.

OK, ciemny anglosaski lud to kupi, ale nie wdając się w dyskusję z tą uroczą w swej prostocie wizją, trzeba stwierdzić, że niektórzy Polacy, nawet generalnie podzielający pogląd na świat pani eksministrowej, mogliby odczuć pewien niejasny, intelektualny niepokój. No bo tak, oczywiście, źli i zazdrośni ludzie krzyczeli i kłamali, zwłaszcza o rzekomych winach rządu PO w sprawie Smoleńska, to jasne. Ale przecież oni nie narodzili się w 2015 r., istnieli i wcześniej. Też wtedy krzyczeli i kłamali. Tylko że jakoś przegrywali wybory. Przegrali też te rok po Smoleńsku, w 2011 r. Więc chyba analiza cenionej intelektualistki jest jakoś niepełna? Coś się musiało stać, że stosowane przez 20 lat bezskutecznie niecne metody niecnych (pod)ludzi nagle przyniosły im zwycięstwo i większość Polaków odrzuciła szczęśliwy, krystalicznie piękny świat III RP, który Applebaum opisuje piórem godnym samej Krystyny Jandy.

Musiał zaistnieć jakiś nowy czynnik, ale tego czynnika nie ujawnia też sam Adam Michnik, który ostatnio w Moskwie odbył publiczną dyskusję z Glebem Pawłowskim, rosyjskim polittechnologiem, intelektualistą, niegdyś bliskim Putinowi, obecnie w opozycji. Tematem rozmowy były „niepowodzenia demokracji w Rosji i we wschodniej Europie".

Pawłowski spotkał się z Michnikiem nie pierwszy raz. I duchowo jest po jego stronie – za porządkiem liberalnym, a przeciw całej „światowej fali populizmu". Też tak jak Michnik uważa Putina, Kaczyńskiego, Erdoğana, Orbána i Trumpa za przejaw tego samego, bardzo złego zjawiska. A przecież elukubracje Michnika (podobne do Applebaumowych, tyle że z mniejszym naciskiem położonym na zazdrość Złych Ludzi, a większym – na ich nacjonalizm i ogólną podłość) budzą w nim wyraźne, skrywane rozbawienie. I kilkakrotnie delikatnie sugeruje on, że ogniste, a zwrócone przeciw Złym Ludziom filipiki rozmówcy tak jakby niewiele tłumaczą. Ironizuje wręcz: „Mówisz więc, że byliśmy aniołami, tylko nagle pojawili się kosmici i wszystko to nam zrobili? Ach, nie kosmici, tylko diabły wstąpiły w ludzi? A ja myślę, że nie tylko przegraliśmy, ale też coś ważnego przeoczyliśmy, a to jeszcze gorzej...".

A Michnik – i to jest najbardziej uderzające – wydaje się w ogóle nie rozumieć, o co błyskotliwemu Rosjaninowi chodzi.

Applebaum też by nie zrozumiała. W formacji III RP ewidentnie nie ma zapotrzebowania na Tocqueville'a.

Fot. Andrzej Wiktor 6/0818/F

eprasa.pl a83b4f9e6a

Niepodległa – Od Chopina do Paderewskiego

Tegoroczny 14. Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Chopin i jego Europa" doskonale wpisuje się w obchody stulecia odzyskania niepodległości. Także z okazji tej rocznicy Narodowy Instytut Fryderyka Chopina zorganizował I Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych

Chopin i Paderewski – to dwie ikony polskiej kultury. Kompozytorzy, których twórczość przyczyniła się odzyskania przez Polskę statusu wolnego państwa. Chopin w najtrudniejszych chwilach, gdy o wolności można było tylko marzyć, opiewał ją w swoich dziełach. Paderewski czynnie o nią walczył, wykorzystując swój status artysty legendarnego. Paradoksalnie niedoceniany przez współczesnych sobie rodaków jako kompozytor pozostawił utwory wyjątkowej urody i niezaprzeczalnej wartości. Udowodnił to bogaty również w kompozycje Paderewskiego program warszawskiego festiwalu.

Obaj mistrzowie patrioci pozostawili nam arcybogaty dorobek muzyki polskiej i stali się inspiracją do pochylenia się nad muzyką – zarówno tą z okresu rozbiorów w XIX w., jak i tą wieku XX i XXI.

W sierpniu br. na Festiwalu Muzycznym „Chopin i jego Europa" mogliśmy usłyszeć różne formy oraz gatunki: od pieśni i miniatur instrumentalnych, poprzez utwory symfoniczne i kameralistykę, po operę wyprzedzającą Rok Stanisława Moniuszki i dzieła Palestra oraz Panufnika. Tradycyjnie wystąpili wielcy mistrzowie fortepianu – i tego współczesnego, i historycznego – wirtuozi wielu innych instrumentów, ale także liczna młodzież, również talenty wyłonione na Konkursie Wiolonczelowym im. Witolda Lutosławskiego.

Ten wyjątkowy rok był też okazją, aby wybrzmiały wykonania premierowe. Usłyszeliśmy wśród nich „Poloneza" na orkiestrę symfoniczną Krzysztofa Pendereckiego, „Fireworks" – światową premierę utworu Agaty Zubel, pierwsze koncertowe wykonanie Schubertowskiej „Winterreise" ze słowami Stanisława Barańczaka – wyjątkowy, symboliczny wkład kultury polskiej w ten tak głęboko zakotwiczony w aurze XIX-wiecznej Europy idiom romantyzmu.

Jubileuszowy rok obfituje w wielkie wydarzenia muzyczne. Niemal tuż po festiwalu, bo w dniach 2–14 września, odbył się I Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych. Poszukując „prawdziwego brzmienia" muzyki Chopina, Narodowy Instytut Fryderyka Chopina kolekcjonuje instrumenty historyczne. W skład kolekcji Instytutu wchodzą fortepiany ulubionych marek kompozytora (Pleyel i Erard), brytyjski Broadwood i współczesne rekonstrukcje instrumentów, jakie Chopin miał do dyspozycji we wczesnym okresie twórczości (kopie warszawskiego Buchholtza i francuskiego Pleyela, które zostały ufundowane przez PKN Orlen oraz wiedeńskiego Grafa). To na nich grali uczestnicy konkursu.

Laureatem I Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych został Tomasz Ritter, 23-letni polski pianista studiujący aktualnie w Moskiewskim Konserwatorium im. Piotra Czajkowskiego. Drugą nagrodę zdobyli ex aequo Naruhiko Kawaguchi, reprezentant Japonii, oraz Aleksandra Świgut, absolwentka Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie i Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Na trzecim miejscu uplasował się Krzysztof Książek, półfinalista i laureat dwóch nagród pozaregulaminowych XVII Międzynarodowego Konkursu im. Fryderyka Chopina w Warszawie w 2015 r. Tomaszowi Ritterowi przyznano dodatkowo nagrodę dla pianisty reprezentującego Polskę najwyżej ocenionego przez jury konkursu, ufundowaną przez PKN Orlen. Laureatowi wręczył ją Wiesław Protasewicz, członek Zarządu ds. Finansowych PKN Orlen.

Wydarzenie było dostrzeżone i przychylnie komentowane w polskich oraz zagranicznych mediach, m.in. w „The New York Timesie", „The Washington Post", we francuskich „Le Nouvel Observateur" i „Le Soir", japońskiej telewizji NHK, Kioto News Japan czy Bachtrack i wielu innych.

Następna edycja Konkursu Chopinowskiego na instrumentach historycznych planowana jest na rok 2023, a już za dwa lata, w październiku 2020 r., po raz kolejny Warszawa stanie się stolicą muzyki Fryderyka Chopina za sprawą XVIII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina.

AR



WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Romantyzm celów i...



Patryk Jaki, jak wygra, będzie musiał zmienić nie tylko głównego architekta Warszawy, lecz cały jego wydział

Jaka piękna futurystyczna wizja, rozmach i wyobraźnia, i to w czasie, gdy prezydencka para czytała fragment „Przedwiośnia" Stefana Żeromskiego. Patryk Jaki, kandydat na prezydenta stolicy, naprawdę nam zaimponował. Obejrzeliśmy wizualizację nowej, 19. dzielnicy Warszawy o nazwie Dzielnica Przyszłość. Wysokie domy całe pokryte roślinnością, strzelista brama nad wodą, która ciągnie się równolegle do Wisły, a w dole łodzie, może wodne miejskie tramwaje? Dzielnica powstała z niczego, z szuwarów, wydm, olszyn i grabów tak charakterystycznych dla prawego nieuregulowanego brzegu rzeki, która tak niebezpiecznie szeroko potrafi się wylewać. Dzielnica ma być mieszkaniowa i biurowa, a równocześnie ekologiczna, rekreacyjna i sportowa. Któż nie chciałby w takiej dzielnicy zamieszkać, a któż z mojego pokolenia nie chciałby o niej choćby pomarzyć. Jak byłoby pięknie pokazać znajomym z Paryża czy Nowego Jorku fragment nowej Warszawy. Miasta, które w niczym nie przypomina zbolałego gruzowiska wciąż uzupełniającego swoje puste miejsca wyszczerbione wojną, często chaotyczną i przypadkową zabudową. Jak ten nowoczesny budynek tuż przy placu Zamkowym z oknami, witrynami i szarym dachem stojący kompletnie obcy w centrum Starego Miasta z takim pietyzmem odtworzonego dla historii przed laty.

Tak, Patryk Jaki, jak wygra, będzie musiał zmienić nie tylko głównego architekta Warszawy, lecz cały jego wydział. A co z Pałacem Kultury i Nauki, który wbrew zapowiedziom architektów nadal góruje nad miastem, z każdej perspektywy, choć tyle już powstało wieżowców. Miały być przecież wyższe, żeby go zasłonić. Gdyby chociaż zdjęto mu te sowieckie ozdóbki przypominające zamki na piasku morskim budowane przez dzieci. A co z uczczeniem 100. rocznicy Bitwy Warszawskiej? Czy Cud nad Wisłą doczeka się godnego pomnika, o co tak usilnie zabiega Jan Pietrzak? Na przykład w kształcie łuku triumfalnego spinającego oba brzegi rzeki? Patryk Jaki! Do roboty!

A jednak na wskroś polska jest wizja Warszawy Patryka Jakiego. Chciałoby się powiedzieć za Janem Starzewskim o Józefie Piłsudskim: „Romantyzm celów, pozytywizm środków". Skąd Patryk Jaki znajdzie fundusze na nowe miasto? Czy będzie stać warszawiaków na wizję dzielnicy realizowaną przez naszych rodzimych, bynajmniej nie romantycznych deweloperów? A unijne środki? Do tego czasu Unia Europejska może się sama zlikwidować.

Wizja Patryka Jakiego dodała nam skrzydeł. Lubimy zagrzewać się do wielkich idei i lubimy ludzi, którzy mają plany oraz ten tak rzadki dziś, niezrozumiały dla wielu, entuzjazm do pracy.

Ale jest i druga strona medalu. Jego konkurent Rafał Trzaskowski, który mocował szybę w drzwiach taśmą klejącą. Taka Polska też istnieje, widzimy ją na co dzień. Polska byle jaka. Nasze ulice i drogi nigdy nie będą „europejskie", jeśli studzienki kanalizacyjne nie będą instalowane w środkowej części jezdni, a nie na poboczu. To dlatego jeździmy niebezpiecznymi zygzakami, a po roku lub dwóch studzienki zapadają się, tworząc głębokie doły, wtedy wracamy do peerelowskich kocich łbów. A nasze zarastające chwastami chodniki, których nikt nie oczyszcza. Linię krawężnika wytycza zielona wstęga roślin, która z czasem rozsadza i krawężnik, i chodnik.

Nawet się nie spodziewałem, że tym felietonem odpowiadam na oczekiwania tych moich przyjaciół, którzy zarzucają mi „tematy polityczne", gdy tymczasem potrzeby ludzi są oczywiste. Weźmy ulicę Puławską w Warszawie, ciągnącą się od centrum miasta aż do Piaseczna na południu. Dziś, kiedy już prawie wszyscy mają własne samochody, dojazd do centrum w godzinach rannych to horrendum. Podobnie z powrotem. Potrzebne są nowe drogi, w tym druga, szeroka i równoległa do ulicy Puławskiej. Dlaczego w latach 70. zlikwidowano tu linię trolejbusową, jak tramwaje w Olsztynie, które dopiero teraz wracają na dawne i nowe trasy. Gdzie byli tamci radni, planiści, architekci, wszyscy ci odpowiedzialni za planowanie rozwoju miasta i realizowanie potrzeb mieszkańców? Dlaczego nie potrafili wyobrazić sobie własnego miasta za lat 20, 30 czy 50? Dlatego potrzebne są nowe elity i ich zaangażowanie. Niech w warunkach naszej wolności, z której dziś tak korzystamy, przekonają nas do siebie. Jak kiedyś sprawdzony polski romantyzm celów, który potrzebował pozytywizmu środków.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl a83b4f9e6a

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Modlitwa o wstyd



Witold Gadowski

Wiele można, ale bardzo wiele nie wypada. Stare porzekadło naszych babć dziś budzi jedynie zniecierpliwione wzruszenie ramion. Obecnie zdaje się dominować zupełnie inne – niepochodzące z naszej tradycji – zdanie: co nie jest zabronione, jest dozwolone.

Otóż przyznam, że mam już serdecznie dosyć takiego stawiania sprawy. Tęsknię do czasów, gdy tzw. obyczaj i zasady wyniesione z dobrego domu były najważniejszą przepustką do elity, gdy ludziom z elity po prostu nie wypadało pewnych rzeczy robić.

We wspomnieniach mojego nieżyjącego wuja opisana jest scena, gdy w czasie defilady koń zrzucił prowadzącego ją oficera KOP. Dzień później nieszczęsny oficer palnął sobie w łeb – nie mógł znieść publicznej kompromitacji, dręczył go straszliwy, niepozwalający żyć WSTYD.

Politycy są z reguły ludźmi o bardzo elastycznej moralności, jednak w porządnie zorganizowanych krajach muszą – często hipokrytycznie – stosować się do pewnego niepisanego katalogu zachowań i zasad. I właśnie o tym chcę dziś wspomnieć – w naszym życiu publicznym brakuje znaczącego regulatora, jakim jest WSTYD. Coś jest dozwolone, na coś zezwalają przepisy i luki w prawie, jednak tego nie wypada robić i ludzie chcący uchodzić za elitę tego po prostu nie uczynią. O ileż znośniejsze stałyby się nasze życie i przestrzeń publiczna, gdyby powrócił WSTYD.

Oj, pomarzyć można – zniknęłyby wszelkie dziennikarskie i aktorskie podróby, które dziś święcą triumfy nie dlatego, że tworzą coś znaczącego, że doskonalą swoje rzemiosło, lecz dlatego, że odsłaniają cycki na czerwonych dywanach i pielęgnują wstydliwe onegdaj zboczenia publicznie. Kiedyś świat był taki sam, ale ludzie publiczni mieli więcej WSTYDU. Homoseksualiści istnieli i żyli, ale nie paradowali obleśnie po ulicach dużych miast.

Dziś wstydliwe stało się mówienie o Panu Bogu, mówienie o ważnych problemach duchowych, a zewsząd zalewają nas reklamy środków na odgrzybianie pochwy, tamponów, tabletek i lewatyw, na usuwanie starości oraz nieświeżego oddechu. Aktorzy, dziennikarze, sportowcy, nawet politycy występują w przedsięwzięciach, które żenują już samym swoim pomysłem.

Nie ma WSTYDU – rośnie całe nowe pokolenie ludzi, którzy nie znają nawet tej kategorii pojęciowej. Ludzie w mediach rozmawiają z sobą językiem najgorszej więziennej grypsery. Powszechnie oglądane są programy, w których kobiety i mężczyźni za parę groszy sprzedają swoją intymność.

Dopóki pospolite kur...wo będzie królowało na salonach, dopóty będziemy mieli speluny zamiast salonów i burdel zamiast kultury. Polska nie zasłużyła jednak na takie traktowanie!

Fundament polski



Lech Makowiecki

Wiara i polskość. Złączone z sobą nierozerwalnie. Wrogowie planowo wybijali polskie elity, niszczyli naszą tradycję i kulturę, próbowali wynarodowić, zdegenerować młodych Polaków. Bez skutku. To dzięki Kościołowi katolickiemu po każdej hekatombie odradzaliśmy się znów jako Polacy. W tej religijnej wspólnocie przechowały się w czasach zniewolenia nasze najważniejsze wartości: umiłowanie wolności, unikatowa tożsamość, ojczysty język i chwalebna historia. Stawiając na Dekalog i rodzinę, wygraliśmy wojnę demograficzną wydaną nam przez zaborców i okupantów. Euforia Polaków podczas wizyt papieża Polaka, żarliwe msze pod gdańską stocznią czy patriotyczna manifestacja na pogrzebie ks. Jerzego Popiełuszki walnie przyczyniły się do „odnowy oblicza tej ziemi"; bez wsparcia Kościoła wielki ruch „Solidarności" nie miałby żadnych szans na zaistnienie.

Ale to już przeszłość. Trzy ostatnie dekady zmasowanej lewackiej ekspansji (w kulturze, sztuce, edukacji) rozpoczęły w Polsce (wzorem Niemiec, Hiszpanii, Irlandii, Włoch czy Francji) lawinowy proces sekularyzacji, psucia społeczeństwa. Genderowy atak na szkoły, wyuzdana inwazja LGBT, homoseksualna V kolumna rozsadzająca od środka Kościół i narzucana nam odgórnie unijna, przecząca rozsądkowi poprawność polityczna niszczą dziś fundament naszego narodu. I to w chwili, gdy w Europie gwałtownie narasta zagrożenie terroryzmem i wojną hybrydową.

Bez odwojowania rządu dusz młodego pokolenia i bez jednoczącej nas idei przewodniej (niegdyś Bóg–Honor–Ojczyzna; dla agnostyków niechby tylko sam Honor i Ojczyzna) będziemy musieli się ugiąć przed tymi, którym od wieków stawialiśmy skuteczny opór. Jagiełło, Sobieski czy Piłsudski przewracają się w grobach! Serwowanie Polakom jedynie igrzysk i „ciepłej wody w kranie" to równia pochyła. Rozwój ekonomiczny musi iść w parze z wpajaniem wartości; to najważniejsze zadanie rodziców, szkoły, rządu. Nadchodzi czas patriotów!

eprasa.pl a83b4f9e6a

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Łomot



Aleksander Nalaskowski

Żyjemy w swoistym tyglu, w którym wiry obracają się w takim tempie, że wystarczy się na parę dni oderwać od spraw bieżących i usilniej poświęcić temu, co naprawdę dla każdego osobiście ważne, czyli pracy, aby stracić kontakt z rzeczywistością. Niemal na amen. Zbliża się rok akademicki i trzeba się przygotować do wykładów, uzupełnić spisy lektur dla studentów, wypełnić mnóstwo formularzy, bo uczelnia nie jest bynajmniej wolna od biurokracji. W tym okresie pojawia się prawdziwy wysyp zebrań, konsultacji i posiedzeń. A wszystko to przypomina trochę szykowanie się armii do długiej ofensywy bojowej. A gdy się jest w tej armii jednym z żołnierzy, to trudno, aby owych przygotowań uniknąć.

Aliści pozostaje mniej czasu, a szczerze mówiąc, wcale go nie ma, na śledzenie bieżącej polityki, bieżące korygowanie mapy odbywających się akurat strajków, demonstracji, ujawnionych afer i przekrętów, potknięć i wzlotów polityków, bredni wypowiedzianych przez telewizyjnych ekspertów, byłych prezydentów i innych celebrytów. I gdy się na chwilę, bo od pracy też można dostać czasem kręćka, wróci do naszej „nadrzeczywistości", zwłaszcza tej medialnej, to z całkowicie nieaktualną orientacją, o co chodzi. Jak w tym dowcipie. Gość nieźle podpity wsiada do taksówki. Szofer pyta: „Dokąd jedziemy?", a gość odpowiada pytaniem: „Ale o co chodzi?". Szofer znów pyta: „No, dokąd jedziemy?", a gość znów bełkoce: „Ale o co chodzi?". I tak kilka razy. Aż wreszcie taksówkarz nie wytrzymuje i wyrzuca pijaka z auta, spuszczając mu przy tym ostry i bezpardonowy łomot. Wtedy gość, siedząc na ulicy, konstatuje: „Aha, to o to chodzi". Ja też, gdy oderwawszy się od terminowych robót, na chwilę przycupnę przed telewizorem, pytam: „O co chodzi?". Tyle że w ogóle nie piję. A z telewizji nieodmiennie dostaję łomot i w ten sposób już wszystko wiem.

Gdy oderwawszy się od terminowych robót, na chwilę przycupnę przed telewizorem, pytam: „O co chodzi?"

Nie tak dawno Andrzej Olechowski, osobnik dla mnie nadzwyczaj podejrzany, w jakimś wywiadzie stwierdził, że w Polsce podtrzymywana jest koncepcja i narracja dwóch wrogów. Że leżymy pomiędzy Niemcami i Rosją, odwiecznymi wrogami Polski. A tymczasem jesteśmy członkami Unii Europejskiej i Niemcy są naszymi przyjaciółmi. Zapomniał chyba tylko dodać, że prastarymi przyjaciółmi. Jasne, w ramach UE jesteśmy jako to jedno, bo kochamy się do upojenia, a nawet wręczamy sobie walentynki. I tak dostaliśmy od Niemców walentynkę w postaci Nord Stream 2, której największą wartością jest obrona polskich interesów przed Rosjanami. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale dostałem od Olechowskiego łomot i już wiem. Najciekawsze, że ten śliski i zupełnie niejasny dla mnie polityk powiedział to w telewizji 17 września w rocznicę zadziałania układu Ribbentrop-Mołotow, który – jak wiemy – był dla Polski niezwykle przyjazny. Nawet bardziej niż rura pod Bałtykiem. Można powiedzieć, że łomot był z bardzo grubej gazrurki przypominającej czasem lufę czołgu.

Niemiecka miłość do Polski ujawniła się też inną walentynką. Nazywa się Ludmiła Kozłowska. Ta pałająca żarem uczucia do Polski Ukrainka (Ukraina nie jest w UE) pojechała do Niemiec (członka Unii, która ją wprzódy karnie wydaliła), aby podzielić się swoją troską o Polskę. Na najwyższych szczytach niemieckiej władzy się tym żarem dzieliła. To zupełnie tak, jakbyśmy zaprosili do naszego parlamentu Duńczyka, aby wylewał żale na to, co się dzieje w Portugalii. Znów dostałem łomot. Absurd niemal mnie pozbawił przytomności. Tym razem ze śmiechu.

Łomotu nie oszczędza mi premier Morawiecki. Ten nieprawdopodobnie pracowity polityk, o którym się mówi, że do Warszawy przyjeżdża tylko po nowy zapas upranych koszul, jest wszędzie i wszędzie mówi to samo. Mówi o dbałości jego rządu o Polskę, którą są dlań nieodmiennie Polacy, o Polskę pozawarszawską, wiejską (brawo Ardanowski!). Na czym zatem polega łomot? Ano na tym, że chyba każdy to u licha widzi, każdy to odczuł! Nie jestem zamkniętym w laboratorium profesorem. Znam mnóstwo ludzi, sporo jeżdżę, słucham różnych głosów. Polacy naprawdę wiedzą to, co przypomina bez końca premier. Z czasem więc zaczynam myśleć, że jesteśmy narodem jakichś głupców, którym trzeba to bez końca powtarzać, powtarzać „oczywiste oczywistości", którym trzeba mówić „pada deszcz", gdy pada, albo „jest wiatr", gdy wieje. Ci, którzy tego nie widzą, są albo idiotami, albo skończonymi zaprzańcami i żaden łomot ich z tego nie wyleczy. Nawet ten przy urnach. Zatem po co ich łomotać, a przy okazji i mnie? Jak powiedział pewien klasyk z Arizony: „Z głupkami się nie rozmawia, przed głupkami trzeba się bronić". A tutaj najlepszy jest prymitywny, jak oni, łomot. Na razie są to sondaże, ale już niebawem prawdziwe wybory. I będzie łomot.

A więc, o co chodzi?

eprasa.pl a83b4f9e6a

PRZEZ ŚWIETLIK

„Masa” dla każdego

Zauważyłem, że wśród różnych kategorii, takich jak biografie, historia albo literatura faktu, w polskich księgarniach mogłaby dojść kolejna, całkowicie osobna – masologia. Liczba książek, w których pan Jarosław Sokołowski opowiada o różnych aspektach swojego życia, przemyśleniach dotyczących rozmaitych kwestii, sprawia, że pozycje te zasługują na specjalne wydzielenie. Być może z czasem powstaną nawet specjalne księgarnie poświęcone wyłącznie przemyśleniom pana „Masy”, tak jak można znaleźć księgarnie poświęcone tylko literaturze katolickiej, feministycznej czy sportowej. Na razie, jak się dowiaduję z mediów, opowiada o swoich kontaktach z Bohdanem Łazuką. Zapewne wkrótce powstanie książka kucharska Jarosława Sokołowskiego, seria przewodników wakacyjnych, a także leksykon elegancji i savoir-vivre'u.



Wiktor Świetlik

Kto by się spodziewał? Niecałe dwie dekady temu bawiłem na nartach w słowackim Martinie. Jak szybko się zorientowaliśmy, do tego narciarskiego miasta zawitali też dużo bardziej prominentni goście z Polski. Byli to właśnie podwładni pana Jarosława wraz nim samym. Ich obecność można było odkryć m.in. po złamanym nosie kelnera w jednej z restauracji. Zapamiętałem to, bo chwilę potem pana Jarosława zjeżdżającego do ojczyzny na sylwestra zatrzymano na granicy.

Potem został najsłynniejszym w Polsce świadkiem koronnym, a naiwni wierzyli, że to będzie taki świadek koronny jak ci z amerykańskich filmów. Będzie ze zmienionym nazwiskiem, a może i twarzą, mieszkał w skromnym domku gdzieś na prowincji, przycinał trawnik lub pracował w zakładzie mechanicznym pod dyskretną opieką, ale i kontrolą policji. Tymczasem mamy celebrytę, przy którym chowają się Pudzian, Andrzej Gołota i Dawid Podsiadło razem wzięci. Celebrytę, poczytnego autora i autorytet w jednym. Kwestia czasu, kiedy pan Jarosław zacznie kandydować na prezydenta jakiegoś miasta. Skoro Al Capone zrobił burmistrzem Chicago niejakiego Thompsona, to czemuż u nas pan „Masa” nie miałby sam kierować miastem? Szczególnie że pod kątem uczciwości w Warszawie i Gdańsku mamy, zdaje się, ekipy niewiele gangsterom z Pruszkowa ustępujące.

Rozumiem – jest popyt, to jest i podaż. Wolny rynek jest bezwzględny, a jego zalety – wciąż w nie wierzę – przeważają wady. Do pana Jarosława też trudno mieć pretensje. Skoro ma potrzebę wypowiadania się, lud głodny jego słów, a książki schodzą jak ciepłe bułeczki. Jednak to, co jest zwane statusem świadka koronnego, działa chyba w Polsce specyficznie, a akurat ta sfera raczej nie powinna być poddawana mechanizmom rynkowym. Nie mam syna, ale nie chciałbym, by koledzy moich córek brali przykład akurat z tego idola i obiektu pobudzania masowej wyobraźni.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

SIECI
ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO: PIOTR SKWIECIŃSKI
E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL, ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna
WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 101 980 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL
KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR X2

eprasa.pl a83b4f9e6a



Maciej Kaziński – pożegnanie

Choć kilkakrotnie rozmawiałem z nim telefonicznie – osobiście nie spotkaliśmy się nigdy i niestety wiem, że już go tu nie spotkam

JAN POSPIESZALSKI

W piątek 14 września, w uroczystość Podwyższenia Krzyża Świętego, zmarł Maciej Kaziński – długoletni dyrektor festiwalu Pieśń Naszych Korzeni w Jarosławiu. Muzyk, kompozytor, myśliciel, sprawca niesamowitych muzycznych zdarzeń. Był absolwentem Akademii Muzycznej w Gdańsku, kształcił się też we Francji na kursach muzyki dawnej. Publikował, tłumaczył, grał, prowadził badania, podróżował, rekonstruował i budował instrumenty. Przeprowadzając z nim telefoniczny wywiad, miałem wrażenie, że znamy się od lat. On, dekadę młodszy, też kontrabasista i też niepoprzestający na akompaniowaniu na grubych strunach. Kontrabas w jego przypadku okazał się drogą do fascynacji innymi instrumentami smyczkowymi, najbardziej violą da gamba. Podziwiałem też jego pasjonowanie się liturgią i dramatem liturgicznym.

Chyba za ciasno mu było w Starym Sączu, gdzie przez kilka lat tworzył Festiwal Muzyki Dawnej, potem zaangażował się w niezwykłe zjawisko, jakim był teatr i Schola Węgajty. Muzyka dawna nie jest zjawiskiem muzealnym, twierdził, nie rekonstruował jej, lecz chciał, by ożyła i brzmiała w kontekście. Dlatego właśnie jarosławski festiwal – Pieśń Naszych Korzeni – najlepiej odpowiadał jego bogatej wizji. Zarażał nią pasjonatów, skupiając w Jarosławiu przedziwne grono. Od wymuskanych melomanów, przez kleryków i księży, muzyków ludowych i trzecie pokolenie hipisów. Odrzucił myślenie klasyfikujące poszczególne dyscypliny – klasyka, muzyka dawna, folklor, chorał, rekonstrukcja, muzyka sakralna, liturgia różnych obrządków, dramat liturgiczny, teatr, peformance, misterium. Bo właśnie on, wymyślając kolejne edycje festiwalu, potrafił łączyć (tylko pozornie, jak się okazywało) te wszystkie gatunki w jedno imponujące uniwersum. A ten wspólny motyw znajdował... sięgając w głąb. Bo to, co o zmarłym można na pewno powiedzieć, to to, że Maciej był człowiekiem niezwykłej głębi. Tak jak fotograf, filmowiec, dokumentalista, rusza w pogoń, tropiąc ślady swojego obiektu, tak on docierał do najróżniejszych miejsc – do Grecji, Rumunii, Ukrainy, Gruzji, Iranu, Syrii, Egiptu. Podróże śladami dawnych kultur muzycznych przynosiły zwykle zaskakujące rezultaty. Swoje „odkrycia" potem prezentował w festiwalowych koncertach. Niesamowite spotkania muzyczne odbywały się też na Sardynii i Korsyce. Wiele z tych tropów potrafił przekuć na nie tylko festiwalowe wydarzenie.

Z racji ścisłej współpracy z Programem II Polskiego Radia jednorazowe koncerty inspirowały redakcje muzyczne, stawały się punktem odniesienia dla naszych muzyków, wpływały na programy innych festiwali, prowokowały kompozytorów i instrumentalistów, a w końcu, co może najważniejsze, kształtowały naszą wrażliwość muzyczną – naszą, czyli słuchaczy Dwójki. O tym, jak Maciej potrafił zdobywać serca ludzi, świadczy wizyta wybitnego speca od muzyki baroku, wiolonczelisty Bruno Cocseta w Maćka pracowni lutniczej. W drodze powrotnej, po koncertach, namówiony przez przyjaciół Bruno zajechał do Macieja na Dolny Śląsk. Krótka wizyta Francuza przerodziła sie w całodniowe szalone jam session, w którym uruchomiona została cała kolekcja starych, pieczołowicie rekonstruowanych przez gospodarza instrumentów. Choroba artysty mobilizowała przyjaciół do organizowania specjalnych charytatywnych koncertów. Teraz, po śmierci, środowisko w kościele w Lubomierzu zorganizowało czuwanie modlitewne z udziałem wybitnych śpiewaków, chórów i kantorów gregoriańskich, mszę w obrządku katolickim i prawosławną Panichidę. „Muzyka, a zwłaszcza święta liturgia to przedsmak liturgii niebiańskiej. To przedsmak nieba, gdzie nieustannie Boga chwalą aniołowie" – mówił Maciej. A potem cytował fragment hymnu gregoriańskiego Regina Caeli: „Byśmy się też tam spotkali i na wiek wieków śpiewali Alleluja".

eprasa.pl a83b4f9e6a

Uzdrowienie moralne służb



Jerzy Jachowicz

W moje ręce przypadkowo wpadł dokument wzbogacający naszą stałą rubrykę „Z życia tajnych służb". Materiał ten wprost wskazuje, co nie powinno dla nikogo być zaskoczeniem, że służby specjalne za poprzednich rządów pogrążały się w chaosie i degrengoladzie. Jakże odmienna jest obecna sytuacja. Wiele spraw zmienia się na korzyść. Nie wszystkie jednak bolączki, wynika z raportu, da się usunąć jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Niektóre nawarstwiły się przez wiele pokoleń służb. Oto ten dokument (bez skrótów):

Ściśle tajne. Notatka nr 11, wrzesień 2018 r., Dyrektor Departamentu XI

Z satysfakcją informuję, że po roku od czasu rozpoczęcia operacji wewnętrznej „Uzdrowienie moralne" realizującej zalecenie Pana ministra, możemy się pochwalić skutecznym działaniem na kilku płaszczyznach. Niemal całkowicie zlikwidowany został zwyczaj „cichego" obchodzenia prywatnych uroczystości w pomieszczeniach Agencji, w rodzaju imienin, urodzin, awansów czy rozwodów, z zużyciem wysoko procentowych napojów wyskokowych. Obecnie, jeśli nawet mają miejsce tego typu imprezy, to nie zdarza się jak wcześniej, że sprzątaczki znajdowały na parapetach okiennych baterie butelek, na podłodze walające się po wszystkich kątach pety, a nierzadko nie tylko nieusuwalne plamy na obiciach foteli i krzeseł, lecz także przepalone w nich dziury. Ponieważ sprawców tych ekscesów zwykle trudno było ustalić, naprawy mocno nadwyrężały fundusz remontowy, przyznawany z ogólnego rocznego budżetu Agencji.

Jak w każdym raporcie, mam jedną rzecz złą i drugą dobrą. Pierwsza to fakt, że niestety nie możemy się uporać z bogatym życiem osobistym naszych oficerów – ani panów, ani pań. Na tym tle dochodzi do konfliktów, co niekiedy u bardziej nerwowych funkcjonariuszy odbija się na jakości pracy.

Dobra wiadomość – wcześniej niektórzy oficerowie, chcąc być hojni wobec swoich nieformalnych partnerów, sięgali po pieniądze z funduszu operacyjnego. Z dumą mogę zameldować, że moje zarządzenie o zakazie takich praktyk położyło im kres.

CO MNIE WZRUSZA

Mistrz



Katarzyna Łaniewska

„Mistrz" to tytuł spektaklu telewizji z lat 60. Sztuka napisana przez pana Zdzisława Skowrońskiego i wyreżyserowana przez Jerzego Antczaka.

Kilka dni temu w TVP Kultura oglądałam Teatr Telewizji. Niestety w godzinach nocnych – tuż przed północą. A szkoda, bo był to wielki popis tegoż mistrza, czyli starego przedwojennego aktora i reżysera – pana Janusza Warneckiego. To był mistrz tego przedstawienia, ale partnerowali mu po mistrzowsku wszyscy koledzy z tamtych lat.

Zobaczyłam kawał historii Polski. Rzecz działa się tuż po powstaniu warszawskim. Bohaterowie znaleźli się z różnych powodów w starym klasztorze, gdzie Ryszarda Hanin przygarnęła bezdomnych. Mogła ich częstować już tylko pieczonymi ziemniakami. Sztuka pokazała kunszt Janusza Warneckiego. Mówił o swoim zawodzie we wspaniałych monologach. Wiedział, z czym ten zawód się je. Miał do niego szacunek, nawet do najmniejszych ról granych po peryferyjnych teatrzykach. Marzył o zagraniu w Warszawie. Jak relikwie trzymał wizytówkę jednego z wielkich aktorów, który polecał go w 1939 r. do Teatru Narodowego – niespełnione marzenie. Grał tam też młody Ignacy Gogolewski. Miał znakomitą rolę, człowieka zaplątanego w walkę z Niemcami, marzącego o zawodzie aktora. W prologu sztuki wspaniale wykonał monolog Makbeta. Występowali tam również Henryk Borowski, Andrzej Łapicki, Józef Nalberczak czy Igor Śmiałowski – który zagrał Niemca, nie nazistę – Niemca wybierającego ludzi na rozstrzelanie za to, że został wysadzony pociąg jadący na front wschodni. To wielkie przedstawienie i wspaniałe role. Powinna je oglądać młodzież, nie tylko ta, która marzy o zawodzie komika czy aktora, lecz i taka, która chce stanąć przy ściance. Nie do rozstrzelania, ale do fotografowania. Ta młodzież, która mając do pomocy technikę i mikroporyt, mówi tak, że jej nie słychać.

Tych aktorów było słychać. Wymawiali wszystkie trudne litery języka polskiego. Trudna, ale piękna mowa polska nie traciła tu na naturalności. Nie na darmo poeta mówił: „Mowo polska, Wisło rodzinna". Tam mowa płynęła z ust, które cenią słowa, a nie zmiękczają i bełkoczą. Jestem dumna, że żyłam i występowałam na scenie w tamtych czasach.

eprasa.pl a83b4f9e6a

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Dziennikarskie kukiełki

Satyryczny filmik Barbary Pieli wywołał medialny rejwach

Barbara Piela zamieszcza w internecie przygody kukiełek, które sama powołuje do życia. Odcinek „Jak powstaje Ruda Konstytucja" spotkał się z wyjątkowo żywym odbiorem. Widzimy, jak z taśmy produkcyjnej schodzą klony słynnej „Rudej". W produkcji uczestniczą znaczące postacie bojówkarskiej opozycji. Całość jest niezwykle sprawnie zrealizowana i zabawna. Jak się okazało, nie dla wszystkich. Dla rezerwatowych zwolenników darcia się „Konstytucja! Konstytucja!" nawet zupełnie nie.



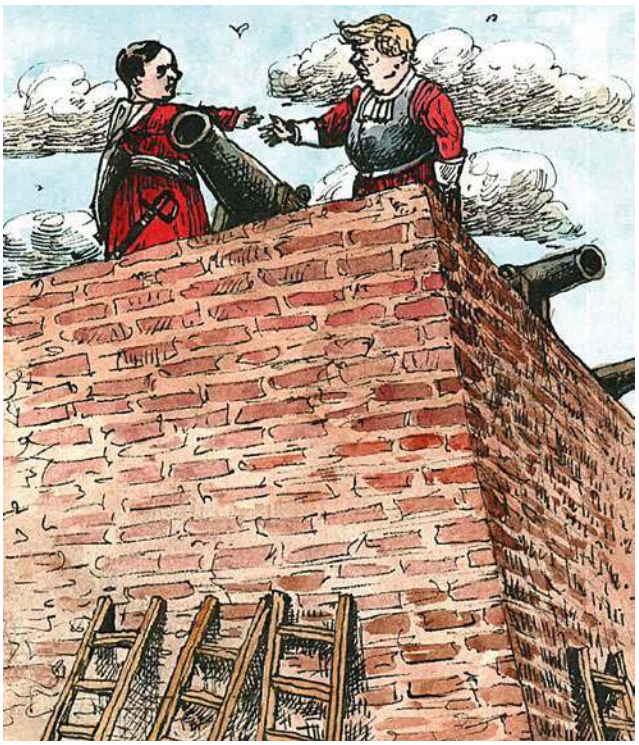
Ryszard Makowski

Sygnał do ataku dał stojący jak zwykle na straży tolerancji i wolności słowa redaktor Konrad Piasecki: „Propagandowe zabiegi jak z lat 50. I jeszcze wątek żydowski... Co za hańba". Wsparli go inni dziennikarze, choćby Wojciech Szacki i Michał Szułdrzyński, także rozpaczając nad „wątkiem żydowskim". Poszło o postać mężczyzny ubranego na czarno z siwą brodą wręczającego różę. W tej kukiełce znani żurnaliści dopatrzyli się postaci Żyda i podnieśli wrzawę. Nawet jak się okazało, że to jest „Farmazon", kodowski komandos powszechnie znany z ulicznych zadymek, to też nie ukoiło ich wyjącego bólu. Konrad Piasecki: „Postać ubrana na czarno z długą brodą rodzi jednoznaczne skojarzenie...".

Dobrze, że mamy takich gorliwych i fachowych tropicieli antysemityzmu. Znajdą go nawet tam, gdzie go nie ma. A jacy czujni i oddani sprawie. Jakiej sprawie? No... Dziennikarskie kukiełki potrafią być śmieszniejsze od tych z plasteliny.

eprasa.pl a83b4f9e6a

Zawistowski prezentuje: Fort Trump



Wycinki z przeszłości

Tym razem nieco luźniejszy fragment. Oto uroczy obrazek z tygodnika „Niwa Polska" z 1910 r. i wierszyk – zabawny, ale i będący przestrogą (nie tylko) dla zakochanych.

Zakochał się dziedzic
W pięknej dziedzicównie,
Ale jeździć nie mógł,
Listy pisał głównie.

Ta robota w polu,
To czas znowu mglisty,
A więc sam nie jeździł,
Jeno pisał listy.

Mija wiosna, lato,
Dziedzic doma siedzi,
Lecz na oświadczyny,
Niema odpowiedzi.

Więc się żeni z flintą
I z konikiem karym.
„Kiej mnie nie zechciała,
Będem chłopcem starym".



W dziesięć lat dopiero
Spotkał pannę w mieście
Jął jej opowiadać
Przeżyte boleście.

Panna wpadła w spazmy
Aż trzęsła się cała,
Bo i ona jego
Okrutnie kochała.
I ona mu ongi
Słała listy co dnia,
Że nie odpisywał,
Miała go za zbrodnia.

Ale przeznaczenie
W miłość młotem wali...
Nie wyszli za siebie,
Chociaż się kochali.

Bo – jak się wykryło
(By to wilcy zjadły)
Ich listy miłosne
Na poczcie przepadły!

A jesienią w Bieszczadach...

Jerzy Harasymowicz
1933–1999



Leszek Długosz

W górach jest wszystko co kocham
Wszystkie wiersze są w bukach
Zawsze kiedy tam wracam
Biorą mnie klony za wnuka

Zawsze kiedy tam wracam
Siedzę na ławce z księżycem
I szumią brzóz kropidła
Dalekie miasta są niczem

Ja się tam urodziłem w piśmie
Ja wszystko górom zapisałem czarnym
Ja jeden znam tylko Synaj
Na lasce jałowca wsparty

I czerwień kalin jak cyrylica pisze
I na trombitach jesieni głosi bór
Że jedna jest tylko mądrość
Dzieło zdjęte z gór

* * *

Nic nie mam
zdmuchnęła mnie ta jesień
całkiem
Nic nie mam
tylko z daszkiem nieba
zamyślony kaszkiet

* * *

Miałem sen
że byłem jesionem sypiącym
stąpki metafor

Miałem dzień
że byłem człowiekiem sypiącym
chmury liści

Mam życie
lecące z Bogiem
w zawody

* * *

Kiedy jak buki na mróz serce mi pęknie
położcie mnie na wóz z widokiem na Bieszczady
na wielki pożar gór na wielką jesień
którą sam roznieciłem pisaniem
Niech ten wóz sam jedzie w zawieję liści
Niech tam na wieki zostanie

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl a83b4f9e6a

OD A DO ZYBERTOWICZA

Przeszliśmy obok prawdy?

Dawno temu na jednej z filozoficznych konferencji usłyszałem takie oto słowa: „Między człowiekiem a rzeczywistością, między naszymi odczuciami a tą prawdziwą rzeczywistością jest gruby mur. W toku dziejów, na szczęście, w murze tym wybiliśmy cztery okna. Przez nie możemy wyjść z naszych imaginacji, subiektywnych wyobrażeń, z dziwacznych nierzadko tworów naszej głowy, ku zewnętrznej prawdziwej rzeczywistości".

CZTERY OKNA

Te okna – mówił referent, którego nazwiska już nie pamiętam – to: wiedza potoczna, religia, sztuka oraz nauka.

Intryguje to, że wyglądając z tych okien, przez każde dostrzegamy nieco inną rzeczywistość albo co najmniej inne aspekty tej samej rzeczywistości. Opowiadając sobie, innym bliźnim, a zwłaszcza swoim dzieciom – zanim przez te okna nauczą się samodzielnie wyglądać – co tam widzimy, głosimy opowieści, które się od siebie różnią.

WIELKIE PYTANIA

Ludzkość, patrząc przez te okna, stara się znaleźć odpowiedź na liczne pytania, z których dwa są chyba najważniejsze. Pierwsze: kim jest człowiek? Drugie: jak najlepiej zorganizować życie społeczne?

Co najmniej od wieku XVII, czyli epoki europejskiego oświecenia, powtarzając z uporem te pytania, ludzkość wypatruje szans na lepsze życie. Tak gorliwie, że czasem można odnieść wrażenie, iż ogarnięta została obsesją postępu. Przy tym często słychać głosy, że doskonalenie naszego życia ma być oparte na dociekaniach rozumu. A najlepszym tego rozumu wcieleniem jest okno historycznie najpóźniej otwarte: nauka.

To nauka ma nam powiedzieć, kim naprawdę jest człowiek i jak powinien urządzać swoje życie.



Dla dobrego, względnie racjonalnie zorganizowanego społeczeństwa niezbędne jest trzymanie ciągle otwartego okna religii

HOLOKAUST I GUŁAG

Tymczasem, jak wskazywali już niektórzy myśliciele epoki oświecenia, rozum ludzki często ulega rozkazom naszych pragnień i namiętności. A dziś my, nauczeni doświadczeniami niemieckiego Holokaustu i sowieckiego GUŁagu, wiemy, że te wielkie zbrodnie były podbudowane naukową technologią albo ideologią. Słowem: rozum wystąpił tu w roli gorliwego sługi zła.

Kanadyjski profesor psychologii Jordan B. Peterson, określany mianem najbardziej dziś wpływowego intelektualisty świata Zachodu, z uporem podkreśla, że człowiek jest istotą z gruntu irracjonalną. Ten nietuzinkowy badacz czyni to, bazując na wiedzy naukowej. Ale przy tym wskazuje: może chrześcijaństwo jako formacja kulturowa daje nam maksimum tego, co racjonalnego z człowieka można wydobyć.

Peterson, podbudowując swoje przemyślenia wynikami licznych badań naukowych, podkreśla, że dla dobrego, względnie racjonalnie (na tyle, na ile to w ogóle możliwe) zorganizowanego społeczeństwa niezbędne jest trzymanie ciągle otwartego okna religii.

ZNALEŹLIŚMY JĄ, ALE MINĘLIŚMY?

Jeśli Peterson ma rację, może to znaczyć, że w pewnym sensie prawdę już znaleźliśmy. Że posiadamy już właściwe odpowiedzi na pytania: kim jest człowiek? Jak najlepiej urządzić świat społeczny?

Że do prawd na ten temat już dotarliśmy, ale być może – pośpiesznie goniąc za postępem – prawdy te niebacznie minęliśmy. Zachłystujemy się nowymi poszukiwaniami, lekceważąc stare prawdy.

STARE PRAWDY

Jest człowiek, który posiada (obok innych darów) rozum. Rozum umożliwia ogląd tego, czego jeszcze nie ma. Pozwala wyobrażać sobie, co się wydarzy, jeśli coś zrobimy lub tego zaniechamy, czyli umożliwia nam dokonywanie wyborów. Nie w pełni racjonalnych, nie w pełni niezawodnych, ale jednak...

Jako posiadacz rozumu dającego wgląd w to, czego jeszcze nie ma, człowiek może korzystać z wolności, ale – -uwaga! – jest odpowiedzialny za swe działania i ich konsekwencje.

Jest kobieta i mężczyzna. Dobrze, gdy mają dzieci i gdy troszczą się o ich przyszłość. Troska o dzieci jest wyższą szkołą odpowiedzialności.

Człowiek jest słaby i grzeszny, ale jest w stanie się podnieść – zwłaszcza gdy ma stróża, brata swego. Stąd potrzeba solidarności międzyludzkiej.

Nie masz Żyda ni Greczyna, są tylko Dzieci Boże.

Pokój jest lepszy od wojny, ale czasem trzeba iść na wojnę, aby ocalić pokój.

Andrzej Zybertowicz

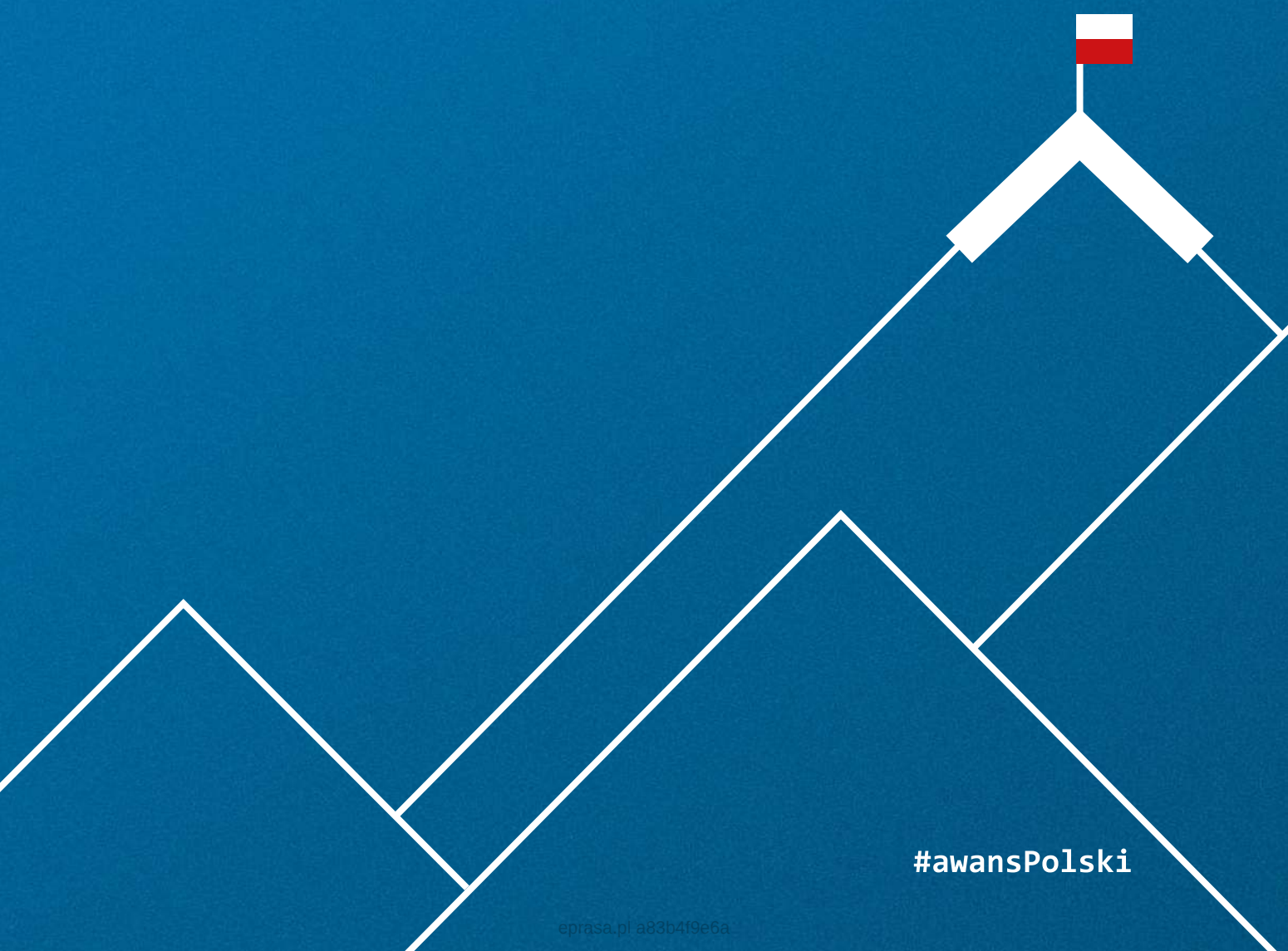
25/0418/F | 36/0918/F

eprasa.pl a83b4f9e6a


Już 1 PAŹDZIERNIKA w tygodniku SIECI
Polacy, którzy zmienili świat
SERIA DODATKÓW EDUKACYJNYCH
Radio, walkie-talkie i pojazdy kosmiczne
Jan Szczepanik • Henryk Magnuski • Mieczysław Bekker
PARTNER DODATKU
ORLEN
W każdy pierwszy poniedziałek miesiąca do końca roku kolejne odcinki o polskich wynalazcach, odkrywcach, innowatorach, którzy uczynili świat lepszym
niepodległa
POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

24 września FTSE Russell

Polska wśród najlepszych



#awansPolski

eprasa.pl a83b4f9e6a